

NR 6 (29)
czerwiec
2003

BIULETYN

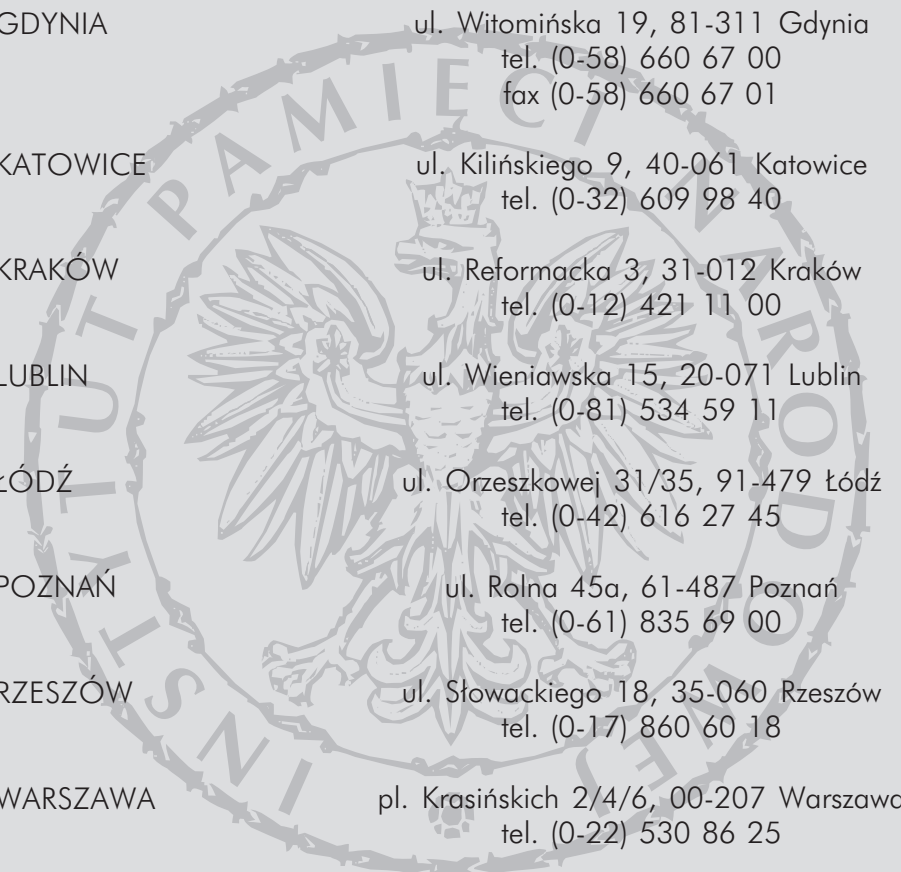
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

ISSN 1641-9561

Mistrz krawiecki przy pracy; lata pięćdziesiąte
Fot. A.B.



ADRESY I TELEFONY ODDZIAŁÓW IPN W POLSCE



BIAŁYSTOK	ul. Warsztatowa 1a, 15-637 Białystok tel. (0-85) 664 57 03
GDYNIA	ul. Witomińska 19, 81-311 Gdynia tel. (0-58) 660 67 00 fax (0-58) 660 67 01
KATOWICE	ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice tel. (0-32) 609 98 40
KRAKÓW	ul. Reformacka 3, 31-012 Kraków tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	ul. Wieniawska 15, 20-071 Lublin tel. (0-81) 534 59 11
ŁÓDŹ	ul. Orzeszkowej 31/35, 91-479 Łódź tel. (0-42) 616 27 45
POZNAŃ	ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań tel. (0-61) 835 69 00
RZESZÓW	ul. Słowackiego 18, 35-060 Rzeszów tel. (0-17) 860 60 18
WARSZAWA	pl. Krasieńskich 2/4/6, 00-207 Warszawa tel. (0-22) 530 86 25
WROCŁAW	ul. Sołtysowicka 23, 51-168 Wrocław tel. (0-71) 326 76 00

BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Redaguje Biuro Edukacji Publicznej IPN

Zespół redakcyjny: Władysław Bułhak (redaktor naczelny),
Janusz Kotański, Małgorzata Łętowska, Paweł Machcewicz,
Krzysztof Madej, Barbara Polak

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński

Skład i łamanie: Wojciech Czaplicki

Adres: ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa
Tel. (0-22) 581 89 25, fax (0-22) 581 89 26

e-mail: bep@ipn.gov.pl

<http://www.ipn.gov.pl>

Druk: Dom Wydawniczy Bellona
ul. Grzybowska 77, 00-844 Warszawa

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 6 (29)
CZERWIEC
2003

SPIS TREŚCI

■ KALENDARIUM IPN	2
■ ROZMOWY BIULETYNU	
O OBSZARACH WOLNOŚCI W PRL z Januszem Kotańskim, Janem Żarynem i Jackiem Teofilem Żurkiem rozmawia Barbara Polak	4
■ KOMENTARZE HISTORYCZNE	
Krzysztof Madej – „CELNICZY” PEERELU	28
Tomasz Toborek – ARTYŚCI CZY CHULIGANI? O POCZĄTKACH JAZZU W „POLSCE LUDOWEJ”	34
Aleksandra Pietrowicz, Przemysław Zwiernik – U PINGWINÓW ZA METALOWĄ BRAMĄ	41
Tomasz Chinciński – „NASZA SŁUŻBA TRWA”	49
Sławomir Cenckiewicz – ZAKAZANE PIOSENKI’81	54
Bogusław Kopka, Grzegorz Majchrzak – NIE KRACZ SŁOWIK!	58
Marcin Kapusta – ESBECKIE PODCHODY	65
Jan Miłosz – JAK ROZWALIĆ MINISTRANTÓW?	70
■ RELACJE I WSPOMNIENIA	
JAZZ – WYJŚCIE Z PODZIEMIA – relacja z filmu Jacka Sawickiego	74
Miroslaw Szlżzak – POZNAŃSKI CZERWIEC’56	80
■ DOKUMENTY	
Paweł Sasanka – „CHCIAŁEM TOWARZYSZOWI MINISTROWI PODZIĘKOWAĆ...”	86

Kalendarium IPN

maj 2003

- 3 maja** – w Sopocie odbyły się uroczystości zorganizowane przez środowisko żołnierzy **5. Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”**, OBEP IPN w Gdańsku i prezydenta miasta Jacka Karnowskiego, w trakcie których Wiesława Siedzik-Korzeniowa, siostra zamordowanej przez UB sanitariuszki 5. Brygady Danuty Siedzikówny „Inki”, oraz jej były dowódca Olgierd Christa odsłoniли poświęcony jej kamienny obelisk. Rzeźbę poświęcił ks. arcb. Tadeusz Gocłowski, metropolita gdański.
- 4 maja** – dzięki inicjatywie ks. prałata Romana Wiśniowieckiego, członków Ostródzkiego Stowarzyszenia Kulturowego SASINIA, dyrektora oddziału Gdańskiego IPN Edmunda Krasowskiego i pracowników OBEP IPN w Gdańsku w kościele Niepokalanego Poczęcia NMP w Ostródzie odsłonięto tablicę upamiętniającą żołnierzy **5. Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”**, którzy w latach 1945–1946 działali na terenie Warmii i Mazur.
- 6 maja** – w Muzeum na Zamku w Lublinie tamtejsze OBEP IPN i Związek Sybiraków – Środowisko Borowiczan zorganizowały pod honorowym patronatem Jana Turckiego, kierownika Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych i prof. Leona Kieresa, prezesa IPN międzynarodową konferencję naukową **„Dla pamięci... ku przestrodze. Represje komunistyczne 1944-1945 wobec żołnierzy Polski Podziemnej”**. W sesji uczestniczyła delegacja władz obwodu nowogrodzkiego Federacji Rosyjskiej, na terenie którego znajdował się obóz w Borowiczach.
- 9 maja** – OBEP IPN w Gdańsku, Stowarzyszenie Rodzina Ponarska oraz Szkoły Okrętowe i Ogólnokształcące „Conradinum” zorganizowały w Gdańsku konferencję **„Zbrodnie na Polakach w podwileńskich Ponarach 1941-1944”**. Na spotkaniu dyskutowano o polskiej konspiracji niepodległościowej na Wileńszczyźnie w latach 1939–1944, w tym o konspiracji młodzieżowej, oraz o eksterminacji patriotów polskich. Odczytano także komunikat gdańskiej KŚZpNP dotyczący prowadzonego śledztwa w sprawie zabójstwa obywateli polskich w Ponarach.
- 14 maja** – Prof. Witold Kulesza, zastępca prezesa IPN i dyrektor GKŚZpNP poprowadził sesję Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grota” **„Zbrodnie przeciwko ludności polskiej na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej w świetle działalności śledczej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu”**.
- 19 maja** – w Instytucie Biochemii Lekarskiej Collegium Medicum UJ w Krakowie otwarto wystawę **„Małopole w katyńskich dokumentach dr. Jana Robla”**, przygotowaną przez Oddział IPN w Krakowie. W trakcie uroczystości odsłonięto tablicę poświęconą dr. Roblowi.
- 19–21 maja** – w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie odbył się przegląd filmowy **„Obraz polskiego podziemia w filmie fabularnym i dokumentalnym”**, przygotowany przez OBEP IPN w Rzeszowie. Pokazano polskie kroniki filmowe z lat 1945–1947 oraz filmy fabularne „Popiół i diament”, „Amnestia”, „Pierścionek z orłem w koronie”.
- 20 maja** – OBEP IPN w Łodzi wraz ze Stowarzyszeniem Szarych Szeregów – Oddział w Łodzi zorganizował pieszą wycieczkę edukacyjną dla uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych **„Zrzutowiska Armii Krajowej Obwodu Łowickiego »Łyska« 1941–1944, Czatownin 2003 r.”**. Uczniom towarzyszyli kombatanci – żołnierze AK. W imprezie wzięło udział prawie 250 osób, w tym licznie mieszkańcy wsi Czatownin.
- 27 maja** – w Oratorium Marianum Uniwersytetu Wrocławskiego odbyła się dyskusja panelowa **„Przeszłość, która dzieli. Eksterminacja ludności polskiej na Wołyniu i w Galicji**

Wschodniej w latach 1943–1945”, przygotowana przez BEP IPN, Wydział Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Kolegium Europy Wschodniej. Dyskusję podzielono na dwa bloki tematyczne. Pierwszy – „Fakty” dotyczył wyników aktualnych badań nad tragedią, która wydarzyła się na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1943–1945. Blok „Pamięć” poświęcono pamięci o tych wydarzeniach i ich wpływowi na relacje polsko-ukraińskie.

- 28 maja** – w siedzibie IPN podpisano **umowę o współpracy pomiędzy IPN a Fundacją Ośrodka KARTA**. Dotyczy ona finansowania przez IPN realizowanego przez KARTĘ projektu **„Indeks Represjonowanych”**, polegającego na pozyskaniu, weryfikacji i udostępnieniu danych o obywatelach polskich prześladowanych na Wschodzie w latach 1939 – 1959.
- 29 maja** – odbyła się – zorganizowana przez OBEP w Łodzi i Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego – **konferencja naukowa „Działalność Wojskowego Sądu Rejonowego w Łodzi 1946–1955”**. Przedstawiono dzieje WSR w Łodzi w tym: organizację sądu i ludzi, którzy działali w jego strukturach oraz procesy członków największych łódzkich organizacji niepodległościowych działających po 1945 r., a także sprawy przeciw przedstawicielom duchowieństwa i członkom niepodległościowych organizacji młodzieżowych.

Opracowali: Agnieszka Bajor-Zagórska i Michał Durakiewicz

W zbiorach IPN znajdują się materiały filmowe, których odtworzenie nie jest możliwe za pomocą współczesnego sprzętu audiowizualnego. W związku z tym zwracamy się do Czytelników Biuletynu z prośbą o nieodpłatne przekazywanie sprzętu starego typu na potrzeby BUiAD IPN. Przede wszystkim poszukujemy projektorów filmu 8 mm, zestawów montażowych 16 mm oraz magnetofonów kasetowych monofonicznych.

Kontakt: Jacek Sawicki tel. (0-22) 581 86 43.

STATYSTYKA PRZYJMOWANIA WNIOSKÓW O UDOSTĘPNIENIE DOKUMENTÓW/ZAPYTANIE O STATUS POKRZYWDZONEGO

	maj 2003 r.	od początku wydawania
BIAŁYSTOK	9	788
GDAŃSK	31 (11* + 4**)	2049 (615 + 263)
KATOWICE	18	1338
KRAKÓW	26	1452
LUBLIN	9	642
ŁÓDŹ	2	726
POZNAŃ	19	1396
RZESZÓW	8	881
WARSZAWA	15	148
WROCŁAW	9	934
BUiAD	20 (2***)	1331 (79***)
KONSULATY	1	217
RAZEM	165	13241
WNIOSKI ZREALIZOWANE		2638

wnioski przyjmowane w delegaturach: *Bydgoszcz, **Koszalin, ***Radom

O OBSZARACH WOLNOŚCI W PRL

**Z JANUSZEM KOTAŃSKIM, JANEM ŻARYNEM I JACKIEM
TEOFIEM ŻURKIEM ROZMAWIA BARBARA POLAK**

B.P. – W książce Władimira Bukowskiego *I powraca wiatr* jest opowieść o tym, jak w więziennej celi, w całkowitej izolacji od świata, nie wiedząc, czym skończy się śledztwo – budował w wyobraźni zamki, zaludniał je. Nigdy ani później, ani wcześniej nie doznał takiego uczucia wolności jak wtedy, pozbawiony wszystkiego. Przytaczam ten fragment dlatego, że byłem świadkiem budowania takiej wewnętrznej wolności – co nie znaczy ucieczki w głąb siebie samego – jeszcze za czasów Nicolae Ceaușescu w Rumunii. W Bukareszcie spotykałam ludzi bardzo mądrych, świetnie wykształconych, wielkich erudytów, którzy nigdy nie byli za granicą. Czytali europejską literaturę w oryginale, prowadzili niesłychanie bogate życie duchowe, zarówno w obrębie prawosławia, protestantyzmu, jak i katolicyzmu. Miałam tam dojmujące przeświadczenie, że obcuje z ludźmi naprawdę wewnętrznymi wolnymi. Byli dla mnie przekonującym przykładem, że dyktatorowi nie udało się zbudować dość szczelnej klatki.

J.Ż. – Od 1989 r. w gronie polskich historyków i politologów trwa dyskusja (wcześniej taka debata odbywała się na Zachodzie) dotycząca modelu państwa totalitarnego. W jej ramach poszukuje się także odpowiedzi na pytanie, czy istnieje idealny ustrój totalitarny. Oczywiście, odpowiedź jest jedna – nie ma idealnego ustroju totalitarnego. Na szczęście człowiek jest istotą, która nie daje się do końca zniewolić. Nie ma też człowieka, który by był idealnie sprawny w niszczeniu ludzkiej osobowości. Zatem wszystkie modele totalitarnego państwa są teoretyczne, a praktyka polityczna jest gdzieś obok tych wymyślonych przez ludzki umysł koncepcji. Nie ma wewnętrznej sprzeczności w tym, że żyjąc w ustroju totalitarnym, mieliśmy nisze wolności. Człowiek może normalnie funkcjonować tylko w warunkach wolności.

B.P. – Niemniej obszary wolności w różnych państwach totalitarnych są mniejsze lub większe, w zależności od różnej sytuacji politycznej i społecznej, wynikającej z odrębnej historii, tradycji itd.

J.K. – Warto zauważyć, że komunizm bez wątplenia był bardziej niebezpieczny od narodowego socjalizmu. Wymagał bowiem nie tylko posłuszeństwa, ale także duszy człowieka. Chciał go zniszczyć i skłonić do entuzjazmu. Człowiek miał wierzyć i czynić tak, a nie inaczej. Obszary wolności, o których będziemy mówić, istniały oczywiście we wszyst-

kich krajach komunistycznych. Komunizm w Polsce napotykał wyjątkowo niepodatny grunt. Okazało się, że wyklinany polski indywidualizm i rzekomo anarchiczne polskie narowy wytworzyły naturalne przywiązanie do wolności i sprzeciw wobec tego, co jest odgórnie narzucane, zupełnie niezgodne z naturą człowieka, który pragnie duchowości i nieśmiertelności. To dlatego enklawy wolności w Polsce były większe.

J.Ż. – Jest wielką, niejako pośmiertną, zasługą II Rzeczypospolitej, że w 1945 r. wymęczone i upodlone sześćioletnią wojną i okupacją społeczeństwo stanęło jeszcze raz do walki z narzuconą państwowością i mentalnością bolszewicką. Była to walka o wartości takie jak samorządność i prawo do samostanowienia w grupach naturalnych – rodzinie oraz środowiskach: lokalnym, zawodowym, ideowym, czyli stowarzyszeniach czy partiach. Tę wartość próbowało po sześciu latach okupacji odtwarzać pokolenie Polaków ukształtowanych jeszcze w II Rzeczypospolitej.

B.P. – **W społeczeństwie II Rzeczypospolitej było też miejsce i dla wolnomyslicieli, ludzi odcinających się od tradycyjnego, polskiego katolickiego myślenia. Ludzi, którzy uważali się za Europejczyków, za socjalistów. Wolność zakłada wielość światopoglądów.**

J.T.Ż. – Wolnomysliciele ze środowiskami lewicowymi wiązały silny „anty-klerikalizm”, przy czym słowo to rozumiano swoiście. Pod tym pojęciem kryła się niechęć do wiary religijnej w ogóle, rozumianej jako akt uczuciowy, nie zaś akt woli i ludzkiego ducha.

Warto przytoczyć wspomnienie ks. Jana Zieja, który był członkiem Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Podczas zjazdu ZMW do statutu miano wprowadzić zapis, że związek walczy z klerikalizmem. Ks. Zieja wstał i wytłumaczył, że klerikalizm jest wtedy, gdy księża chcą rządzić w sprawach świeckich, co on, jako duchowny, potępia. Za to proponuje, by do statutu wstawić zdanie, że „Wici” kierują się w swej działalności zasadami wiary chrześcijańskiej. Podniósł się szum na sali, jeden z delegatów splunął i zaczął krzyczeć – „diabeł, diabeł!”, ale deklaracja – przeszła!

Środowiska *stricte* wolnomyslicielskie w dwudziestoleciu międzywojennym komuniści infiltrowali bardzo silnie. Komunistyczna Partia Polski przez cały okres nielegalnego istnienia umieszczała swoich ludzi w najróżniejszych partiach politycznych, stowarzyszeniach i organizacjach działających jawnie, legalnie czy półlegalnie, np. w *nomen omen* Stowarzyszeniu Myśli Wolnej, które miało antyklerykalny i ateistyczny charakter.

B.P. – **Jak wyglądała aktywność „wolnomyslicieli” po 1945 r.?**

J.T.Ż. – Te grupy – dla których autorytetem był prof. Tadeusz Kotarbiński – podjęły przerwana przez wojnę działalność, ale bardzo szybko zo-



stały stłamszone przez komunistów. Datą graniczną dla ich istnienia są lata 1949–1950. Odtąd nie było już miejsca na „wolną myśl”. Monopol na walkę z Kościołem miała posiadać tylko PZPR, a nie jakieś stowarzyszenie. Po 1956 r. grupy takie próbowały się odrodzić, w bardzo radykalnej formie. W trakcie zjazdu Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomysłocieli proponowano wystanie „kondolencji klerykałom-kierownikom oświaty”, czyli... ministrowi Władystawowi Bieńkowskiemu i dyrektorowi jego gabinetu, Aleksandrowi Merkerowi, później gorliwemu pracownikowi Urzędu do spraw Wyznań! Wiązało się to z zasadniczo inną wizją polityki oświatowej państwa, w tym zwłaszcza ze sprzeciwem wobec przywrócenia nauki religii w szkołach. Ostatecznie ideowi ateści zostali zmajoryzowani przez komunistów, którzy powołali do życia dość dziwny twór, Towarzystwo Szkoły Świeckiej. W 1969 r. obie organizacje połączono w Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej. Jak widać, władze nieufnie patrzyły na te grupy ludzi, a równocześnie w jakiś sposób je kokietowały. Większość z nich to ludzie „z klapkami na oczach”, niezwykle uparci w swoich przekonaniach. Uważali, że wiara religijna jest sama w sobie złem oczywistym i podstawowym, a Kościół katolicki należy bezwzględnie zwalczać, niezależnie od warunków zewnętrznych, realiów politycznych i społecznych, zawsze tak samo intensywnie, czy to w 1930, czy 1956 r.

B.P. – „Wieloswiatopoglądowość” to kluczowe hasło innej interesującej grupy w PRL – Stowarzyszenia PAX.

J.T.Ż. – Przez to pojęcie Bolesław Piasecki i jego zwolennicy rozumieли współistnienie światopoglądów – „spirytualistycznego” (jak określali mętnie własną wiarę religijną) i „materialistycznego”. W rezultacie PAX miał razem z partią sprawować rząd dusz w katolickim świecie (na to paxowcy kładli nacisk) narodzie. Gomułka owe teorie określał jednym słowem – „bzdury”, za to cenili PAX, bo ten miał „dojścia” do księży, jakich nie posiadali sekretarze partii.

PAX jednak nie był „pasem transmisyjnym” partii do mas. Dość wspomnieć ciekawą ofertę Instytutu Wydawniczego związanego z tym stowarzyszeniem. Na tle warszawskich szkół wyraźnie odróżniało się też związane z PAX Liceum Ogólnokształcące im. Świętego Augustyna.

B.P. – Trudno jednak uznać PAX za rzeczywiście niezależne katolickie ugrupowanie społeczne. Inny, bardziej wolny, charakter miały Kluby Inteligencji Katolickiej czy środowiska związane z takimi piśmami jak „Tygodnik Powszechny”, „Więź” czy „Znak”.

J.T.Ż. – Za wiele krążyło tutaj pomysłów na oświecony socjalizm. Prymas Stefan Wyszyński przypominał działaczom z tych kręgów katolickich, że o socjalizmie to Kościół wypowiedział się już dawno, bo w po-

przednim stuleciu, i na dodatek wyjątkowo dobitnie. Władze tolerowały pewną niezależność tych środowisk tylko dlatego, że uważały te kręgi za „opozycję” wobec prymasa.

Dużo ciekawszym, słabo przy tym zbadanym, obszarem działania tych organizacji były różne oddolne inicjatywy społeczne, zwłaszcza dotyczące wychowania młodego pokolenia i kultury. Np. KIK warszawski posiadał rozbudowaną Sekcję Rodzin, która jednoczyła kilka tysięcy dzieci i młodzieży, było coś w tym z atmosfery oaz, obozów ministranckich i harcerskich, klubów turystycznych. Z dalszej perspektywy oceniam, że pobudzenie owej aktywności, której owoce można obserwować po dziś dzień w rozmaitych katolickich inicjatywach, było najważniejszym dokonaniem „oświeconych katolików”.

B.P. – PRL miał to do siebie, że swoich przeciwników wsadzał do więzienia, czy i tu można mówić o polskiej specyfice – jak radzono sobie z potrzebą wolności w takich warunkach?

J.Ż. – Jest coś w psychice polskiej, może w tym właśnie polskim indywidualizmie, że na przekór losowi, dramatycznej sytuacji, która mogłaby skłaniać do upadku, Polacy, szczególnie kobiety – z tego, co wiemy ze wspomnień Fordoniarek¹ – potrafili we wspólny sposób budować w sobie tę sferę wolności i niezależności. Więźniarki tworzyły ją zarówno przez budowanie wolności intelektualnej (uczestnictwo w wykładach, nauka języków obcych i inne sposoby na zabijanie czasu), jak i wzmocnione życie religijne, które odbywało się nie tylko w wewnętrznej modlitwie, ale i w dawaniu świadectwa na zewnątrz po to, żeby tej władzy obozowej, więziennej, pokazywać, że ja jestem człowiekiem wolnym, bo mam Boga w sobie i jest mi On wystarczającą, największą siłą, która powoduje, że ty, klawiszu, jesteś w gruncie rzeczy dla mnie osobą nieważną, nie wpływasz na moje życie.

B.P. – Potrzeba wolności w warunkach państwa totalitarnego często przeradza się w opór wobec władzy.

J.K. – Jednemu się nie podobał komunizm w ogóle, walczył o niepodległość Polski. Inny przywykł do tego, żeby tkwić w lesie, i nie lubił, żeby mu narzucać, co ma robić. Chciałbym tutaj zwrócić uwagę zwłaszcza na wieś. Przez cały okres okupacji odgrywała ona ogromną rolę w podtrzymywaniu oporu (uważam, że rola Batalionów Chłopskich jest niedoceniana). Po wojnie nadal trwała w sprzeczności. Ta potężna grupa społeczna była dla komunistów niedostępna. Pod względem ideologicznym chłopów absolutnie nie dawało się do niczego przekonać. Kolektywizację w Polsce narzucono w 90 proc. siłą.

¹ Fordoniarki – więźniarki kobiecego więzienia w bydgoskim Fordonie.



J.T.Ż. – A w Sowieciech to niby dobrowolnie chłopci się skolektywizowali? Wiele milionów ludzi musieli bolszewicy wymordować i zagłodzić, żeby wieś się poddała... A wcześniejsze powstania chłopskie w całym Związku Sowieckim, wybuchające od 1918 r.? Nasz chłop miał za to większe umiłowanie wolności i poczucie narodowej i religijnej wspólnoty z innymi mieszkańcami wsi. W tym sensie opór polskich chłopów miał szerszy, nie tylko ekonomiczny, charakter.

B.P. – **Padło w czasie naszej rozmowy ważne stwierdzenie, że zarówno tęsknota za wolnością, jak i opór przeciwko władzy totalitarnej nie byłyby możliwe bez naszej wcześniejszej historii i bez „sztafety pokoleń”.**

J.K. – Widać to w najczarniejszych momentach naszej powojennej historii. Przyjrzyjmy się początkowi lat pięćdziesiątych. Stalinizm w pełnym rozkwicie, podziemie zbrojne zniszczone, Zachód pogodzony z podziałem Europy, prymas uwięziony, Kościół zepchnięty do głębokiej defensywy. W tym właśnie momencie, w początku lat pięćdziesiątych, pojawili się młodzieżowi kontynuatorzy sprzeciwu, z dzisiejszej perspektywy zdumiewająco liczni. Bezpieka nie była w stanie wykręcić wszystkich organizacji. To był masowy ruch sprzeciwu, odwołujący się do tradycji Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych, Batalionów Chłopskich. To było kolejne pokolenie, które tę pączkę wolności podniosło i przeniosło dalej, aż do 1956 r.

A przecież komuniści największy nacisk położyli w swojej indoktrynacji właśnie na młodzież, mieli jej coś do zaproponowania, nie była to tylko tępa, wulgarna indoktrynacja, jaką widzimy w wielu filmach – proponowali ewidentne korzyści, nie tylko materialne. Oplacało się być młodym komunistą. Część młodych ludzi mimo to żywiła do tych działań naturalny wstręt. Odrzucała oferowane korzyści. To właśnie była herbertowska „kwestia smaku”.

Nie mitologizuję młodzieży, bo wśród niej występuje wiele zachowań stadnych; wiedzą o tym socjologowie. Niemniej za każdym razem, do czegokolwiek by się komuniści wzięli, czymkolwiek by kusili, to się nie udawało. Młodzi Polacy nie chcieli się włączyć do czerwonego pochodu. Za bardzo przypominał im „Folwark zwierzęcy” ze znanej powieści George’a Orwella.

J.T.Ż. – Ale, ale... Kto zapisał się do słusznej organizacji, zwalczał „wrogów ludu” w osobach kolegów, nauczycieli, a czasem rodziców, ten „awansował” w przyspieszonym tempie. Ludzie tacy ulegali komunistycznej propagandzie, jak choćby twierdzeniom, że to skutkiem ich działań dokonuje się „awans społeczny” robotników i chłopów. Tymczasem ten awans trwał od dziesięcioleci.

Z kolei taki Tadeusz Lustig był na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych członkiem młodzieżowej organizacji „Orlęta”. Aresztowa-

no go w Nisku (Rzeszowskie). Opisywał, jak wszedł do pokoju śledczego w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa i zobaczył ścianę obwieszoną różnego rodzaju pałami, kijami, pejcami, batogami. Śledczy wybierał kolejne narzędzia z kolekcji i próbował je na tym biednym Tadziu. Usiłował zmusić go m.in. do zeznania, że członkiem organizacji był miejscowy katecheta, bo... uczniowie spowiadali się u niego. Tadzio zapierał się, chociaż był wiele dni bity, katowany, potwornie torturowany. Prawdopodobnie ten bezbronny uczeń uratował swego katechetę od więzienia, a może nawet od śmierci. Kto dziś pamięta o Tadzium Lustigu? Tyle o dwóch twarzach polskiej młodzieży czasów stalinowskich.

J.Ż. – Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych powstawały organizacje młodzieżowe, nie tylko nawiązujące do czasów II wojny światowej. Byli również kontynuatorzy Polskiego Stronnictwa Ludowego, członkowie Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, pozbawieni swojej organizacji. W Warszawie i na obszarze Grójeczczyzny w latach 1948–1952 działała Polska Szturmówka Chłopska, która liczyła ponad pięćuset członków. Tworzyli ją ludzie w wieku od dziewiętnastu do trzydziestu lat, a więc osoby, które nie miały szans na aktywną walkę w czasie II wojny światowej, a dorastały w okresie legalnego działania PSL i tę sytuację przyjęły jako punkt odniesienia dla swoich aspiracji wolnościowych.

B.P. – Czy można powiedzieć, że była to przegrana część młodzieży?

J.Ż. – Generalnie komuniści w każdym pokoleniu przegrywali z młodzieżą. Jednocześnie – szczególnie w latach pięćdziesiątych, ale i później – w pewnym sensie przegrywała też młodzież. Młodzież nie dzieliła się tylko na taką, która trwała w oporze dzięki temu, że miała autorytety i punkty odniesienia w przeszłości, i taką, która z różnych powodów, w tym koniunkturalnych, wpadała w komunistyczne sidła. Gdzieś pomiędzy istniała najszersza liczebnie grupa, która w gruncie rzeczy, jak to odnotował w swoich *Zapiskach* prymas Stefan Wyszyński, była poza wpływem Kościoła i jednocześnie kontestowała wzory narzucane przez reżim.

Przykładowo w latach pięćdziesiątych takim zjawiskiem, wspaniałym z punktu widzenia kulturowego, były środowiska Agnieszki Osieckiej i Marka Hłaski, a z drugiej strony Stanisława Grochowiaka i Marka Nowakowskiego. Mimo prawdziwych talentów i sporych – mimo wszystko – możliwości legalnego funkcjonowania, niektórzy z nich uciekali w dosyć dziwne rewiry. Fascynowały ich środowiska marginesu społecznego. Bunt przejawiał się przez samodestrukcję, w tym pijaństwo i beznadziejne poszukiwanie miłości. Pozostaje pytanie, czy była to ucieczka przed zakłamaniami państwa totalitarnego działającego rzekomo w imię „ludzi pracy” czy też fascynacje „półświatkiem” importowane z „wolnego świata”. Marek Hłasko, który w końcu opuścił Polskę, by uciec od złowiesz-



czej rzeczywistości, nigdy wewnątrz nie mógł dostosować się do stonków panujących w Izraelu i Niemczech. Ucieczka nie stała się synonimem wolności.

B.P. – **Interesują mnie niezależne autorytety, ludzie o pokolenie starsi, czasem jeszcze „przedwojenni” – rodzice, nauczyciele, wykładowcy, duszpasterze, przewodnicy tatrzańscy itd. Czasami tworzony przez nich obszar wolności zamykał się ścianami jednego mieszkania, kiedy indziej ścianami jednego kościoła czy sali seminarialnej, czasem obejmował większe środowisko – np. harcerskie, żeglarskie albo alpinistyczne.**

J.K. – W okresie powojennym w różnych środowiskach nadal funkcjonowały autorytety. Autorytetem moralnym i *interrexem* dla wielu osób był z pewnością kard. Adam Sapieha, a później ks. prymas Stefan Wyszyński, ale były też autorytety w środowiskach zamkniętych czy lokalnych. Często był to ktoś z tych dawnych działaczy politycznych, harcerskich czy sportowych, kto przekazywał tradycje Polski niepodległej. Można wymienić wiele nazwisk, ale chciałbym wspomnieć o jednej postaci, bardzo niezwykłej, będącej autorytetem dla piśsudczyków – o Henryku Józewskim, człowieku, który spędził wiele lat w komunistycznym więzieniu, pozostał niezłomny, a był również znakomitym malarzem.

Ku zdziwieniu wielu „starych” działaczy „Solidarności”, dla licznie powstających w końcu lat osiemdziesiątych nowych organizacji, grupujących młodych robotników i studentów, prawdziwym autorytetem i legalnym rządem był rząd emigracyjny w Londynie. Pamiętamy te polityczne manifesty, które budziły zdziwienie swoim brakiem realizmu. Otóż ludzie przez nawiązywanie wprost do Londynu, do tradycji II Rzeczypospolitej, dali świadectwo nie tylko przywiązania do tradycji idealizmu, co jest w pewnym stopniu zawsze dobre w polityce, ale także realizmu politycznego, bo to oni przewidzieli, co się stanie.

B.P. – **Nie mówiliśmy o jeszcze jednej istotnej dziedzinie, której nie udało do końca spacyfikować komunistom – o nauce.**

J.K. – Nauką – w latach pięćdziesiątych i później – oczywiście manipulowano, zwłaszcza naukami humanistycznymi. Były takie działy wiedzy, jak socjologia czy genetyka, które w ogóle nie miały prawa istnieć, ale kiedy po 1956 r. naciski na środowisko naukowe trochę zelżały, okazało się, że nauką muszą się zajmować fachowcy i że sfera niezależności myśli – zarówno jeśli chodzi o nauki ścisłe, jak i humanistyczne – istniała cały czas i tu również zachowały się autorytety. Wystarczy wspomnieć o tym, kim był prof. Władysław Tatarkiewicz, który nigdy poważnie nie angażował się jednoznacznie w politykę. To była postać dla wielu ludzi znacząca. Przypomnijmy Karola Górskie-

Fragment budynku, w którym mieścił się zakład rzemieślniczy, Warszawa, 2003 r.



Fot. W. Czaplinski

go, Henryka Elzenberga, profesorów KUL, abp. Karola Wojtyłę. Ci ludzie funkcjonowali w środowiskach naukowych i wyższych szkołach. Mimo że bardzo duży procent nauczycieli znalazł się w partii komunistycznej, można było odnaleźć takich, którzy uczyli w sposób spokojny prawdy. Było to możliwe – nie awansowali, nie zostawali dyrektorami, ale byli i uczyli. Dawali świadectwo prawdzie, oczywiście byli wśród nich również historycy i poloniści.

B.P. – Wspominałam o autorytetach „turystycznych” – przewodnikach tatrzańskich, żeglarzach...

J.K. – To m.in. było PTTK, ale żeby je utworzyć, najpierw trzeba było połączyć w 1950 r. Polskie Towarzystwo Krajoznawcze i Polskie Towarzystwo Tatrzańskie na wzór „zjednoczenia ruchu robotniczego”. W Tatrach spotykałem ludzi, którzy żyli tam jak ludzie wolni, w schroniskach, z których część była prywatna. Także w wioskach góralskich żyło się inaczej. Na dodatek wkraczało się w góralski świat, a górale to sami antykomuniści, choć w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych również byli zastraszeni. Góry przyciągały ludzi niezależnych, swobodnie myślących.

J.Ż. – Warto zwrócić uwagę, że w samym systemie PRL istniało wiele struktur (PTTK czy np. taka – wydawałoby się – zupełnie skomunizowana struktura, jak Liga Obrony Kraju) i instytucji, które wykorzystywano do tego, żeby się w nich zmieścić ze swoim pomysłem na życie. W początku lat sześćdziesiątych Leszek Prorok, pisarz, conradysta i znawca literatury marynistycznej, który intensywnie działał w poznańskim oddziale Związku Literatów Polskich, wpadł na pomysł, żeby przy pomocy tej oficjalnej organizacji zebrać fundusze na wybudowanie jachtu „Wielkopolska”. Choć różne były koleje losu tej inicjatywy, jest prawdą, że była konkretna grupa młodych ludzi zgrupowanych wokół Proroka, której udało się wybudować ten jacht i pływać na nim, korzystając z możliwości instytucjonalnych struktur powołanych przez państwo. Wiele było takich rewirów w Kościele – duszpasterstwa młodzieżowe i stanowe, a poza nim – Kluby Inteligencji Katolickiej. Istniał też drugi nurt obszarów wolności, pozainstytucjonalny, który był całkowicie niezależny – moim zdaniem – najbardziej wy wpływający z tradycji rodzinnej, z tego, co było dla Polaków podstawą bezpieczeństwa w okresie PRL. Punktem odniesienia była II Rzeczpospolita, szczególnie mam na myśli przenoszenie wzorców czy kontynuowanie rzeczywistości bardziej na poziomie lokalnym i kameralnym, np. spotkania korporantów – filistrów z czasów przedwojennych. Byli inwigilowani przez funkcjonariuszy UB, jak to wynika z akt znajdujących się w IPN, a chodziło o kontakty czysto towarzyskie. Odbywały się też zjazdy rodzin arystokratycznych czy ziemiańskich, bardzo często spokrewnionych ze sobą, które zdawały sobie sprawę, że żyją we wrogim otoczeniu, ale podtrzymywały przedwojenne więzi koleżeńskie, przyjacielskie, rodzinne.



Biesiada komersowa² z okazji 150-lecia korporacji – Konwent „Polonia”, Warszawa, 11 listopada 1978 r.

B.P. – Nie dotyczyło to tylko ziemiaństwa czy arystokracji. Odbływały się zjazdy koleżeńskie absolwentów czy absolwentek określonych szkół przedwojennych.

J.T.Ż. – Kultywowanie tradycji i wartości było szalenie groźne dla PRL. Aktywność Służby Bezpieczeństwa świadczy o tym, jak bardzo się tego przywódcy partii obawiali. Infiltrowano bowiem wszelkie takie inicjatywy – formalne, nieformalne, legalne, nielegalne czy całkowicie prywatne, jak np. zjazdy rodzinne.

Ten nurt „rodzinny” miał o wiele szerszy zasięg; chyba nie zdajemy sobie sprawy, jak duży. Przede wszystkim istniała wielopokoleniowa rodzina chłopska, dziś już na wymarciu. Sam posiadam takie gniazdo rodzinne, w rodzinie ze strony mego ojca w Wielkopolsce. Toż to byli chłopi z dziada pradziada, po wojnie żyjący z piętrem „kułactwa” („kułak” – bogatszy chłop, *de facto* pojemna etykieta dla „wrogów ludu” na wsi). Potem rodzina się rozłączyła, rozprzęgła, gniazdo istnieje, ale to nie to samo...

Jedną z głównych przyczyn (i skutków) atomizacji był rozpad wielkiej rodziny, ukształtowanie się rodziny nuklearnej (dwupokoleniowej). W efekcie wiele rodzin naturalnie garnęło się do siebie. Pamiętam z lat siedemdziesiątych wspólne wyjazdy w Bory Tucholskie i górskie wyprawy zaprzyjaźnionych kilku, kilkunastu rodzin. Spajało nas poczucie wewnętrznej solidarności, niezależności i nie była to wspólnota „przeciwko”, dystans do otaczającej rzeczywistości był naturalny, nie on jednak decydował o zadziergniętych, nieraz kilkupokoleniowych więziach (jeszcze przez dziad-

² Komers – uczta, przyjęcie, zwłaszcza korporacji studenckiej.

ków, znajdujących się z czasów okupacji). Ludzie – myślę – starali się, zapewne częstokroć nieświadomie, uzupełniać te luki czy braki, jakie w życiu codziennym niosły ze sobą zachodzące zmiany społeczne.

J.Ż. – Wróć na moment do tego podziatu, który zaproponowałem – to znaczy na nisze wolności wynikające z tradycji rodzinnej i te, które wynikają z chęci wykorzystania pewnych możliwości i struktur państwowych czy tworzonych przez Kościół – instytucji w sposób naturalny zaspokajającej potrzebę wolności. Wspominałem o PTTK, nie żeby jakoś specjalnie to towarzystwo tutaj promować, ale dlatego, że sport i wypoczynek jest tą przestrzenią, w której bardzo wielu Polaków z pokolenia na pokolenie próbowało się odnaleźć, traktując ją jako antidotum na państwową indoktrynację.

Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie przez wiele dziesięcioleci grupowało ludzi poszukujących własnego stylu życia. Przez cały czas PRL odbywano wspólne wyprawy na Mazury. To była dzika turystyka z wyłączeniem uroków cywilizacji, które mogły kojarzyć się z obrzydliwym państwem, jego nachalnością i indoktrynacją. W rewiry wioślarskie czy żeglarskie wkraczał również Kościół z duszpasterstwem akademickim. Podobnym azylem wolności były góry, o czym wspominał Janusz Kotański, od lat sześćdziesiątych – szczególnie Bieszczady.

B.P. – Korzystał z takich możliwości cały ruch oazowy.

J.Ż. – Podobnie było ze sportem – póki pewna dyscyplina sportowa nie została zauważona przez komunistów i wykorzystana propagandowo, taki sport można było traktować jako realizowanie samego siebie. Myślę o taternictwie i alpinistach, którzy podtrzymywali piękne tradycje polskiego alpinizmu, jeszcze sprzed I wojny światowej. Ta sfera sportowo-wypoczynkowa była bardzo ważna.

B.P. – Wolność można było znaleźć nawet w sporcie tak popularnym, jak piłka nożna. Istniało mnóstwo zespołów podwórkowych, dzielnicowych, przy szkołach, nie prowadzonych bynajmniej przez ludzi o temperamencie polityków czy śledczych.

J.Ż. – Warto też prześledzić historię harcerstwa w PRL, jako ruchu przyciągającego młodzież samą swoją formułą. Zaraz po 1945 r. w naturalny sposób przeniosło ono cały system wartości Szarych Szeregów i przedwojennego ZHP. Oczywiście został on brutalnie zniszczony przez komunistów w 1950 r. Początkowo, tzn. od 1947 r., próbowano to zrobić przez wprowadzenie „węża” do środka organizacji w postaci przede wszystkim Pelagii Lewińskiej, a ponieważ to się nie udało, po prostu je zlikwidowano i pod inną nazwą włączono do ZMP. W latach 1956–1958 była próba odbudowania prawdziwego harcerstwa, głównie za sprawą Aleksandra Kamińskiego i Stanisława Broniewskiego „Orszy”, szybko stłamszona. Nie-

Warszawa, dnia *Styczeń* 1977

Kochany Bracie

Zbliża się rocznica 150-lecia założenia Konwentu "Polonia".

Nieliczna gromadka Konwentowiczów w Kraju zbiera się dla uczczenia tego Święta i potwierdzenia swej wierności ideałom przyjaźni i braterstwa, które głosił Konwent wierny tradycji filareckich na przestrzeni swego istnienia.

Potwierdzamy tym raz jeszcze naszą przyjaźń i braterstwo, którymi Konwent połączył nas na całe życie.

Obchód Rocznicy 150-lecia projektujemy w Warszawie, gdzie w kościele św. Marcina /ul. Piwna 9/ znajduje się tablica ku czci Konwentu.

Wielkie Święto Konwentowe wymaga uczczenia w możliwie najbardziej uroczysty sposób. Zorganizowanie tej uroczystości pociągnie za sobą koszty, których pokrycie jednorazowo może być trudne dla wielu z nas.

Mając powyższe na uwadze, po porozumieniu się z Konwentowiczami w Warszawie, proponujemy sukcesywne przesyłanie miesięcznych wpłat w wysokości 50,-zł licząc od 1 stycznia 1977 r.

Wpłaty proponujemy przysyłać na adres: Andrzej Pikiel ul. Marzanny 4

Prosimy o nadsyłanie na ten sam adres wniosków co do programu uroczystości.

Adolf Dyrkowski
ul. Filtrowa 59
02-056 Warszawa
tel: 25-45-64

Zygmunt Augustowski
ul. Fałata 15
02-534 Warszawa
tel: 49-01-86

mniej przez całe lata sześćdziesiąte istniały drużyny, którym udało się przechować system wartości Szarych Szeregów, z pamięcią o konkretnych ludziach: „Zośce”, „Alku”, „Rudym”, Janie Rodowiczu „Anodzie”, mimo że ten ostatni – ofiara UB – był postacią na cenzurowanym.

Zatem nurt oporu i realizacji własnego pomysłu na życie w harcerstwie funkcjonował. Jego symbolem pozostaje słowna „Czarna Jedynka” (I Warszawska Drużyna Harcerzy przy VI LO im. Tadeusza Reytana). W latach siedemdziesiątych natomiast powstała grupa instruktorska, która w 1980 r., gdy nastał ku temu lepszy czas, była na tyle silna, że w dużej mierze zdominowała zjazd ZHP zorganizowany w okresie „Solidarności”. Działała pod nazwą Kręgi Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego, tzw. KIHAM. Wprawdzie wspomniany zjazd marcowy z 1981 r. zakończył się jej porażką, bo niezreformowany ZHP pozostał w strukturach reżimowych do 1989 r., niemniej zainspirował wiele harcerskich środowisk niezależnych.

J.T.Ż. – Nie chodziło tylko o tradycję Szarych Szeregów, ale przede wszystkim o tradycję polskiego skautingu, jeszcze sprzed I wojny światowej. Z takich właśnie pozycji ZHP był zwalczany od 1945 r., bo nawiązywał do „piewcy brytyjskiego kolonializmu” gen. Roberta Baden-Powella. W ogóle harcerstwo w PRL było kolejnym *curiosum*, boć to przecież ruch niewiele mający wspólnego z socjalizmem, na dodatek u swych korzeni obrzydliwie religijny.

B.P. – Służby bezpieczeństwa do 1989 r. infiltrowały wszystkie bez wyjątku środowiska, które uznawano za potencjalnie groźne ze względu na wyznawany przez nie system wartości. Przede wszystkim dotyczyło to tradycyjnych środowisk politycznych – obozu narodowego, piłsudczykowskiego, socjalistycznego, ludowego i chadeckiego. Jednocześnie, choć dysponowały ogromną liczbą informacji jednostkowych, nie były w stanie wszystkich ich wykorzystać ani przetworzyć...

J.T.Ż. – To prawda. Niemniej każdy przejaw podstawowych, ludzkich, elementarnych wartości wyznawanych przez jednego człowieka czy przez większe grono ludzi był natychmiast uważany za coś bardzo podejrzanego. MSW np. co roku organizowało akcję „Lato” (tak się nazywała od 1956 r., wcześniej były różne nazwy, ale w istocie nic się nie zmieniło). Młodzież oraz całe rodziny w lecie, jak wiadomo, wyjeżdżają na wakacje, bywa, że często z udziałem duchownych, czy to pod szyldem jakichś oficjalnych organizacji, czy zupełnie prywatnie. W PRL cała działalność organów państwowych – nie tylko MSW, również ministerstw i kuratoriów oświaty, PKP, ekspozytur Urzędu do spraw Wyznań, rad narodowych itd. – była nakierowana na to, by zidentyfikować osoby duchowne i „zneutralizować” cel tych wyjazdów, np. przez usunięcie księdza, rozwiązanie grupy itp. Był do tego zatrudniony olbrzymi aparat, od kucharki na koloniach, która donosiła o tym, że dziecko w niedzielę chce iść do kościoła,

po ministra oświaty. Sam pamiętam obozy KIK z lat osiemdziesiątych pod szyldem PTTK (koło nr 446, tę cyfrę musieliśmy znać na pamięć), które śledziła bezpieka. Kiedy byłem jako opiekun na obozie z dziećmi, zaraz zjawiała się bardzo miła delegacja z miejscowego kuratorium oświaty – byli zdziwieni, że dzieci idą do kościoła, a przecież obok jest pomnik ku czci żołnierzy radzieckich...

Inny przykład z lat osiemdziesiątych – znajomy ksiądz zajmował się duszpasterstwem małżeństw. Dla władz to już było groźne, bo spotykało się jakieś grono ludzi, duchowny musiał być więc inwigilowany i szukanowany, „opiekunowie” chodzili za nim krok w krok. Mieszkał w bloku, nie na plebanii, był zatem odwiedzany przez funkcjonariuszy SB. Przychodzili podczas jego nieobecności, zostawiali ślady swojego pobytu, zdarzyło się, że czekali na niego już w mieszkaniu. Kiedyś na plebanii obudził go ciągły dzwonek w środku nocy – pomyślał, że znów mu spać nie dają. Zszedł na dół, a tu biedny milicjant, który całą noc miał pilnować, kto wchodzi i wychodzi od księdza, zasnął i oparł się o ten nieszczęsny dzwonek. To tyle przykładów tytułem tego, że ubecy zbierali masę informacji i rzekomo nic z nią nie robili.

Otóż nie! Zbieranie informacji wykorzystywano na takim podstawowym poziomie, stosowano wobec inwigilowanych osób metodę nękania – jeśli nawet go nie złamiemy, to przynajmniej „dokuczmy”. Jeśli nie można zniewolić człowieka, trzeba go przynajmniej osłabić, maksymalnie ograniczyć zasięg jego działania, w skrajnym przypadku – zamordować, jak ks. Jerzego Popiełuszkę.

Gwoli pociechy – diabeł boi się święconej wody. Oto wspomnienie ks. Jana Twardowskiego – w czasach stalinowskich zawieźli go do UB we Włochach. Najpierw siedział wiele godzin na korytarzu (miał zmięknąć!), potem wezwali go do sali, gdzie siedzieli – jak pisał – kilku złych na niego panów i zaczęli pranie mózgu, jakiś ubek czy „wyznaniowiec” – pewnie bardziej wykształcony – nawet udawał, że za Łokietka jeden biskup miał dziecko. Na to ksiądz – „Proszę przestać, mi to wszystko niepotrzebne”. – „Jak to?” – rzucili się. – „Bo ja Boga widziałem” – odpowiedział. Oni osłupieli, a potem – „Jest ksiądz wolny”. I nigdy więcej go nie wzywali!

J.K. – Jeszcze wrócę do rodziny. Odnoszę wrażenie, że to jest teraz niedoceniane i zapominane, że rodzina była najważniejszym przekazywaniem i „przetwarzaniem” pamięci narodowej, zarówno w czasie zaborów, jak i w okresie PRL. Polskie rodziny tworzyły podstawowe i największe kręgi wolności, które pomagały w utrwalaniu i przekazywaniu całej narodowej tradycji młodemu pokoleniu.

B.P. – Namalował pan piękny obraz, sądzę jednak, że ten model rodziny nie obejmował całego społeczeństwa, szczególnie dotyczyło to środowisk, które utraciły swe korzenie na skutek przemian społecznych, myślę tu choćby o tzw. chłoporobotnikach.



J.Ż. – Adam Ważyk w swoim *Poemacie dla dorosłych* pokazuje dramat pokolenia, które zostało zauroczone wizją autentycznego postępu, czyli przejścia ze wsi do miasta, i co z tego wynikało – spędzanie płodów, prostytutkę i pijaństwo dała nowej klasie i młodemu pokoleniu Nowa Huta. Wielomilionowe rzesze młodzieży wyrwano z naturalnego kontekstu kulturowego i... porzucono.

J.T.Ż. – Ciekawe są wyniki badań socjologicznych nad religijnością tej młodzieży. W Nowej Hucie – ekscesy, brak podstawowych więzi społecznych, a w domu rodzinnym na wsi – ci sami młodzi przykładnie chodzili do kościoła, słuchali ojca i matki. Najgorsze było wykorzenienie społeczne, za nim szło wykorzenienie duchowe, religijne. Potrzebny był jakiś mocny, czytelny punkt odniesienia – w tym kontekście należy rozpatrywać trwającą kilka dziesięcioleci walkę parafian o budowę kościoła w Nowej Hucie.

J.K. – Nie chcę stwarzać sielskiej, arkadyjskiej wizji polskiej rodziny, która jest hermetyczną enklawą wolności, która nie poddaje się zewnętrznym wpływom. Trzeba jednak powiedzieć, że nawet ta demoralizacja jest przewagą władzy. Nie tak to sobie komuniści wyobrażali. Im nie zależało na tym, żeby tutaj byli chuligani i git-ludzie, którzy na każdym święcie „Trybuny Ludu” „lutowali” ormowców. Komuniści chcieli stworzyć inne wzorce osobowe, bardziej purytańskie. Prywatki miały być grzeczne – ciasteczka, jedna butelka wermutu na dwadzieścia osób. Ale tak nie było. To wszystko wymykało się spod kontroli od samego początku, ale to, co się wymykało, nie od razu musiało się wypaczać. Bardzo wiele osób nie ciągnęło specjalnie ani do Kościoła, ani do PZPR – m.in. byli to bikiniarze czy ludzie, którzy żyli po prostu swoim życiem. Partii nie udawało się przedstawić czy narzucić młodym ludziom żadnych atrakcyjnych wzorców, mimo że próbowała. Oczywiście, że kontestacja szła w różne strony. Bardziej wysublimowani zbliżali się do teatru, sztuki, inni szli w zabawę, „zbyty”, sport. To i tak nie były działania „po linii” partii.

J.Ż. – Nie o to chodzi, że partia wygrała ze społeczeństwem polskim i wyrzeźbiła je jak plastelinę zgodnie ze swoim zamysłem, niemniej znaczna część polskiego społeczeństwa przegrała. Rozbito m.in. więzi rodzinne, stymulując migracje ze wsi do miasta i budowę monstrialnej klasy robotniczej. Chociaż oczywiście przeludnienie wsi było jak najbardziej realnym problemem w czasach II Rzeczypospolitej. Nie bez znaczenia była też likwidacja takich grup społecznych jak ziemiaństwo, burżuazja, rzemieślnicy.

Dariusz Stola obliczył parę lat temu, że w latach osiemdziesiątych około miliona ludzi wyjechało z Polski na Zachód w poszukiwaniu pracy, a więc wyjechali najbardziej ambitni, operatywni. W konsekwencji mamy dzisiejsze problemy – okazuje się, że nie potrafiliśmy wytworzyć normalnych, osadzonych w realiach społecznych partii politycznych, brak nam umiejętności w działalności samorządowej, stowarzyszeniowej itd.

B.P. – Nie samym chlebem, nie samą polityką i nie samymi sprawami rodzinnymi żyje człowiek, ale jeszcze czymś innym.

J.K. – Kultura wysoka była na pewno tym miejscem, gdzie zawsze mogliśmy znajdować azyl, sanktuarium. Wiele gorzkich słów można powiedzieć o upodleniu się naszej elity, przede wszystkim znacznej części poetów i pisarzy, mam natomiast wrażenie, że kompozytorom i malarzom było łatwiej. Od połowy lat pięćdziesiątych polscy plastycy – poza doprawdy wyjątkowymi jednostkami, które były związane z PZPR – byli skrajnie apolityczni, kontestujący, często w sposób nieświadomy, ale za to jednoznaczny. Wiele wystaw było oazami wolności. Po zupełnej i natychmiastowej katastrofie socrealizmu u nas, a nie było tak w Związku Sowieckim, Rumunii czy Bułgarii, sztuka rozwijała się w różnych kierunkach i przyciągała rosnące grono ludzi, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Z muzyką było podobnie, tą, którą grano w filharmoniach czy kościołach.

Powiedziałem kilka gorzkich słów o negatywnej roli wielu polskich intelektualistów i twórców, ale trzeba także podkreślić ich ogromną pozytywną rolę. Myślę, że „nadpowietrzna walka”, jaka się toczyła o naszą ojczyznę, tu właśnie się rozgrywała, w sferze twórczości najwyższego lotu. Myślę o twórcach, którzy zachowywali niezależność duchową, nie pisali „po linii”. Tacy ludzie jak Zbigniew Herbert, Jarosław Marek Rymkiewicz, wielu zbuntowanych młodych poetów, jak Edward Stachura, Rafał Wojaczek, pisali rzeczy, które poruszały całą inteligencję. Oczywiście nakłady ich książek były ograniczane. Przed księgarniami, gdy „rzucano” Herberta czy Miłosza, ustawiały się gigantyczne kolejki, w kościołach czytano ich wiersze, docierano do wspaniałej literatury emigracyjnej, późnych wierszy Kazimierza Wierzyńskiego, Wacława Iwaniuka. Polska poezja okazała się wyspą wolności, mnóstwo ludzi wtedy ją czytało.

B.P. – Ile osób w skali kraju chodziło na koncerty, czytało poezję?!

J.K. – Zastrzegłem się, że mówię o elicie, ale w PRL elita znacznie bardziej oddziaływała w sposób kulturotwórczy na inne grupy społeczne niż teraz.

Kolejna rzecz godna podkreślenia – Polacy spotykali się ze sobą, już od młodych lat, na prywatnym gruncie. Ludzie umawiali się nie w kawiarniach, których było bardzo mało, i nie w restauracjach (o socjalistycznych kelnerach nie chce mi się nawet mówić), tylko w domach, i tu już nie byli kontrolowani. Mamy zatem kolejną enklawę wolności, na ogół związaną z rodziną, ale niekoniecznie, do której władza miała dostęp bardzo ograniczony.

J.T.Ż. – Ta polska specyfika wynikała także z „bazy” – w Polsce były nie najgorsze warunki mieszkaniowe – w porównaniu chociażby ze Związkiem Sowieckim i jego „komunalkami”, gdzie w jednym mieszkaniu



mieszkało po kilka rodzin, była wspólna kuchnia, wspólny przedpokój, łazienka...

B.P. – ...a zbyt duży pokój dzieliła tektura i mieszkały w nim dwie rodziny, nie mówiąc o tym, że w każdej takiej „komunatce” na ogół przynajmniej jedna osoba donosiła...

J.T.Ż. – Ale nie tylko. Dzieciom w Sowietach też za wiele nie można było opowiadać, by nie wygadały się w przedszkolu czy szkole. Zresztą po jakimś czasie – niech dorosną, to zobaczą same, jak jest... Istniał też zakaz „propagandy religijnej”, rodzice nie mieli prawa nauczać dzieci religii czy posyłać ich do kościoła; jeśli dziecko samo poszło, nie miało prawa zbliżyć się do ołtarza, bo konsekwencje ponosił kapłan sprawujący ofiarę i cała społeczność parafialna (i nie mówcie, że to nie był szatański ustrój!). Do lat osiemdziesiątych chrześcijanie różnych wyznań w Sowietach byli bezlitośnie prześladowani (a nawet mordowani), często przez „ideową” młodzież z Komsomołu, która w ten sposób przechodziła swój chrzest przed służbą w KGB i partii. W Polsce zbyt łatwo zapomina się, jak duży – w porównaniu z naszymi sąsiadami – był obszar wolności osobistej.

B.P. – Kolejnym czynnikiem jednoczącym ludzi są związki powstające w imię wspólnej małej ojczyzny. To byli krajanie – lwowiaci, kresowianie, wilnianie, Ślązacy, Kaszubi, ludzie z Księstwa Czarnodunajckiego czy Zatorskiego itd. Polska zmieniła granice, ludzie migrowali też i z innych powodów, rozpraszali się, potem wiedzeni sentymentem wspólnych korzeni terytorialnych odnajdywali się tylko z tego powodu. Czymś innym były związki czy towarzystwa kulturalne, którym władze PRL patronowały po to, żeby skanalizować takie narodowościowe czy terytorialne resentymenty.

J.K. – Nie sposób nie wspomnieć o tym, że to bardzo drażniło władzę, jeśli społeczności lokalne chciały swe tradycje (często pochodzące jeszcze z okresu zaborów i przed zaborami – jak Mazurzy, Warmiacy, Kaszubi czy Ślązacy) kontynuować. Z przykrością należy powiedzieć, że komunistom w dużej mierze udało się rozbić tych grup, które nie w pełni utożsamiały się z państwem polskim. To jest nasza wielka tragedia i jeden z największych grzechów komunizmu, nierozliczonych i do końca jeszcze nierozpoznanych. Tragedią jest to, że bardzo wielu ludzi, którzy w nieświadomej polskości trzymając się razem w tych lokalnych społecznościach, dotrwało aż do momentu (jak Warmiacy i Mazurzy, Ślązacy, Kaszubi), kiedy Polska, nieraz po kilku wiekach, powróciła. Ci ludzie, na skutek tego, co działo się po wejściu armii sowieckiej i po tym, co robili z nimi komuniści, zaczęli np. uznawać się za Niemców i utożsamiać z kulturą niemiecką. Dzieje się tak i obecnie – ludzie, którzy prawie nie znali języka niemieckiego, niemieckich pieśni, stawiają pomniki niemieckie, bo tak już brzydzą się polskością, która kojarzy im się z PRL. Komuniści

chcieli rozbić wszystkie więzi społeczne. Nie udało się to na Kaszubach, bo te więzi były zbyt silne – „Nie ma Kaszób bez Polonii, a bez Kaszób Polsczy”, ale udało się w pełni z Mazurami i Warmiakami. Więż wiary w tym ostatnim przypadku, po prześladowaniach w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, okazała się niewystarczająca, a i Mazurów prawie nie ma, zostało ich w kraju 8–10 tys. To jest tragedia, która świadczy o tym, jak dalece władze komunistyczne nie znosiły jakiegokolwiek stopnia zorganizowania się społeczności lokalnych, które było bardzo silne.

B.P. – Może jednak część z tych ludzi wybierała po prostu niemiecką markę, tak jak wielu rodowitych Polaków, którzy doszukiwali się niemieckich przodków po to tylko, by wyjechać do Zachodnich Niemiec.

J.Ż. – Można znaleźć i optymistyczne przykłady trwania w imię własnej tożsamości wbrew PRL, a nawet wbrew sile mamony. Mam tu na myśli emigrację zarobkową z Galicji, śladami przodków jeszcze z dziewiętnastowiecznej emigracji, do Brazylii czy Stanów Zjednoczonych. Efekty tego są widoczne do dzisiaj – na Podhalu widać masę nowo wybudowanych domów – ojcowie tych rodzin do dzisiejszego dnia przebywają w Stanach Zjednoczonych, tam zdobyli majątek, jednak nie lokują go tam, tylko wkładają tutaj w budowę domu, do którego zjadą, gdy stracą siły do ciężkiej pracy. To jest pewne zjawisko, które nasiliło się w okresie PRL, w łączności z silną na tym terenie tradycją. Dodatkowo wzmocniła się polska diaspora w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, bo z Polski np. dzieci emigrantów przywoziły żony czy mężów.

B.P. – Jeszcze kilka słów o sporcie. Sport jako pewna alternatywa dla tego, co jest proponowane np. młodzieży, pojawił się nie od razu.

J.K. – To bez wątpienia była wielka sfera wolności jednocząca wszystkie narody żyjące w krajach demokracji ludowej. Wspomnę choćby jedno wydarzenie – podczas mistrzostw świata w hokeju w Katowicach w 1976 r. wszyscy kibicowali przeciwko Sowiетom. Nasze niespodziewane zwycięstwo (6:4) przyjęto z wielkim entuzjazmem. Drugim wrogiem sportowej Polski byli wschodni Niemcy, czyli energowcy. Do historii przeszły walki na pompki polskich i wschodnioniemieckich kolarzy w czasie *nomen omen* „Wyścigu Pokoju”. Trudno też zapomnieć radosne manifestacje na mistrzostwach świata w piłce nożnej, zakończonych naszym sukcesem (trzecie miejsce) w Hiszpanii w 1982 r. A było to w czasie ciemnej nocy stanu wojennego.

B.P. – I przestrzeń, i czas wolności stworzył oczywiście Jan Paweł II. Warto przypomnieć to niezwykle dojmujące doświadczenie dla wszystkich pokoleń Polaków. Po raz pierwszy ktoś głośno, pełnym głosem mówił do nas tak jednoznacznie o wolności właśnie, że wszy-



scy uczestnicy kolejnych pielgrzymek papieskich nie mieli żadnej wątpliwości, że porwał ich huragan wolności.

J.Ż. – Aż do pamiętnego konklawe otaczający Polaka świat zmuszał do działania w zgodzie z oficjalną wizją państwa, a co najmniej oportuniźmu. Prawdziwe słowa pozostawały w domach rodzinnych i musiały być konfrontowane z oficjalnym językiem na poziomie szkoły, organizacji młodzieżowej, społecznej, mediów państwowych.

Papież w 1979 r. mówił: otwórzcie swoje skrytki, bo to, coście ukrywali, jest najważniejsze. Nie bójcie się. Co więcej, mówiąc językiem mojego domu, nadał mojej rodzinie wartość powszechną. Nie musiałem czuć się odludkiem, „frajderem”, niedostosowanym. To system okazał się kaleką. Głos papieża był ważny, bo my, Polacy, policzyliśmy się, odkryliśmy, że to, co było tłamszone i ukrywane, ma wartość.

J.K. – Polacy mieli takie przeżycia wolności związane z Kościołem już wcześniej – przynajmniej od 1956 r., od słynnych ślubów jasnogórskich, poprzez Wielką Nowennę i obchody Millenium w latach 1957–1966. Dla pokolenia, które w pełni świadomie uczestniczyło w uroczystościach milenijnych, były one niemal porównywalne z tym, co się działo w 1979 r. Oczywiście ani prymas Stefan Wyszyński, ani biskupi nie mówili wprost, bo nie mogli, ale nawiązywali bardzo czytelnie do polskiej tradycji, polskiej wolności. Z uroczystości oficjalnych ludzie uciekali na kościelne, a nie na odwrót.

Jeszcze jedna uwaga *à propos* sportu. W Archiwum IPN mamy dokumenty MSW, w których mówi się o tym, żeby organizować imprezy sportowe w czasie trwania uroczystości religijnych. One także się nie udawały, ludzie uciekali z oficjalnych uroczystości na msze. Rola Kościoła – poza normalnym duszpasterstwem – w pokazywaniu tej prawdziwej wolności w historii Polski jest nie do przecenienia. Kolejne pokolenia może nie miały tak silnego przeżycia jak w 1979 r., ale papież zawsze przypominał Polakom, kim są i z czego mają prawo być dumni...

B.P. – Inne wyznania, w tym choćby różne odmiany protestantyzmu czy religia mojżeszowa, także dawały swoim wyznawcom obszar wolności, tolerowany, czy też nie zawłaszczony w pełni przez władze.

J.T.Ż. – Sytuacja starozakonnych była dość specyficzna. Z jednej strony Żydów mocno ograniczano w ich prawach religijnych, różne przepisy Tory i Talmudu były tępione jako niepostępowe, reakcyjne, anachroniczne, jak np. obrzezanie. Trudności napotykał każdy prawowierny Żyd w nabyciu pokarmów koszernych (na dodatek nigdy nie było wiadomo, czy zawartość odpowiada zapewnieniom sprzedawcy lub napisom na opakowaniu). Wyobrażam sobie, że musiało to być bardzo męczące. Jednocześnie wielu polskich Żydów (na ogół indyferentnych religijnie)

było uwikłanych, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych, w struktury władzy, co komplikowało położenie starozakonnych.

B.P. – Jest jeszcze inny wymiar wolności. Państwo, w którym przyszło Polakom żyć bez mała pięćdziesiąt lat, brutalnie uporało się z problemem prawa własności, przejmując prawie wszystko pod swoją kontrolę. Przetrwiała wieś, na którą też były zakusy, i nieco archaiczne, zarazem wynaturzone środowisko rzemieślniczo-prywaciarńskie. Czym innym jest dobrowolne wyzbycie się majątku, czym innym jego odebranie.

J.Ż. – Pochodzę z rodziny tak zwanych „bezetów”, to znaczy „byłych ziemian” albo inaczej „bez ziemi” i mogę zapewnić – bardziej jako świadek historii niż historyk – że w mojej i wielu innych rodzinach bardzo długo, w zasadzie przez cały okres Peerelu, żywa była pamięć o nacjonalizacji. Oceniano ją jako grabież: konkretne, rzeczywiste wydarzenia – wejście jednostki NKWD do dworu, aresztowanie konkretnych ludzi, sądy. Często przed takim rewolucyjnym sądem wymuszano od chłopów deklarację, że pan był niedobry i znęcał się nad chłopami. Na przykład w dworze mojej rodziny pod Warszawą chłopci się dziwili i mówili – zaraz, zaraz, ale dziedziczka miała osiemdziesiąt lat i była niewidoma, to my jej pomagaliśmy, ona nas nie biła. Działo się to w 1944 r. i 1945 r. – wywłaszczanie i likwidowanie dobytku pokoleń było nie tylko niesprawiedliwością wobec konkretnych osób, ale przede wszystkim wobec pewnego dziedzictwa, ciągłości, pracy wielu pokoleń, które budowały to dziedzictwo. Ich dorobek zniszczono, ale warto wiedzieć, że rodziny ziemiańskie nie traktowały grabieży jako kresu swojej historii. Bardzo szybko i sprawnie potrafiły – tak jak w *Przeminęło z wiatrem* – odbudować coś, co powtórnie będzie żyło. Na przykład pamiętano przez kolejne pokolenia o tym, gdzie istniał rodzinny dwór, jak teraz wygląda ten majątek, przez kogo jest użytkowany. Różnie z tym bywało, bardzo wiele zniszczono w sposób zupełnie barbarzyński i nie wiadomo po co, bo nikomu to nie było do niczego potrzebne.

B.P. – Na tym właśnie polega barbarzyństwo.

J.Ż. – Przypomnę, że ziemianom nie wolno było do 1956 r. odwiedzać swoich rodzinnych miejsc, niektórzy więc odważyli się na to dopiero po 1989 r. Znam takie osoby, które pojechały do tego swojego dawnego dworu, starsze panie i starsi panowie, gdy zobaczyli go w stanie totalnego zniszczenia, postanowili ożywić go z powrotem. Zamieszkali w ruderze, by odzyskać dla tej rodziny dobra „gniazdowe” w drugim czy trzecim pokoleniu.

B.P. – Mówimy o wymiarze wolności, która jest wolnością do posiadania własności.



J.K. – Dla wielu ludzi sprawy materialne są istotne, ale w Peerelu, gdy ktoś nie chciał kraść i nie chciał być nieuczciwy, do wielu dóbr często nie miał dostępu i wielu potrzeb nie mógł zaspokoić.

B.P. – **Wtedy można było bez większego wysiłku realizować prymat „być nad mieć”.**

J.K. – Tyle tylko, że to nie był żaden wybór. Enklawami były bez wątpienia także bazy i bazarowy handel. Handlowali tam ludzie, którzy mieli dostęp do tego typu „dóbr”, jak bielizna czy kolorowe stroje z otrzymywanych z Zachodu paczek. Potem powstały sklepy Peweksu, które również tworzyły pewną aurę takiej wolności dotykanej, materialnej. By zrobić w tych sklepach zakupy, potrzebne były „waluty wymienne” albo tzw. bony towarowe. Obrót jednymi i drugimi był częściowo kontrolowany, częściowo jednak wymykał się spod kontroli.

B.P. – **Sądzę, że w dużej mierze esbecy penetrowali ten teren.**

J.K. – Niemniej otwierało się taką furtkę, była ona uchylona, bo przysparzała komunistom dochodów. Można było przez nią chociażby zobaczyć, jak wyglądają zachodnie towary, bo przecież praktycznie aż do lat siedemdziesiątych wyjechać było bardzo trudno. To znaczyło bardzo wiele. Bazy i Peweksy w jakiejś mierze informowały o poziomie życia społeczeństw „wolnego Świata”.

B.P. – **Pewnym fenomenem były też środowiska różnych pasjonatów, filatelistów, filumenistów, czyli zbieraczy zapalczanych etykiet, modelarzy itd. Wszelkiego rodzaju kolekcjonerstwo i zbieractwo w warunkach Peerelu nie było łatwe, ale też było przejawem wolności. Wielbiciele pięknych rzeczy – nie wyciągając mebli czy porcelany – mieli w Peerelu raj, kiedy pojawiła się moda na „nowe” i ludzie pozbywali się wszystkiego, co było stare. Powstawanie różnych kolekcji było dowodem wielkich indywidualnych potrzeb człowieka.**

J.T.Ż. – Wiązało się to z dosyć obfitą korespondencją z zagranicą, oczywiście cenzurowaną, jak większość korespondencji, ale nie konfiskowaną, jeśli dotyczyła wąskich zainteresowań. Takie zbieractwo rozszerzało horyzonty, dociekliwsi zaczęli interesować się, jak żyje się na świecie. Zaczynało się od kapsli z flagami państw, potem mogła przyjść ochota na coś bardziej wyrafinowanego. Pamiętam, jako mały chłopiec wysyłałem listy po angielsku do najróżniejszych zagranicznych firm z prośbą o naklejki, foldery, materiały reklamowe itd. To był zupełnie inny świat niż ta smutna szarzyzna Peerelu. Taki też był jeden z istotnych powodów wizyt w Peweksie – człowiek w kieszeni złamanego centa nie miał, ale z przyjemnością oglądał zakazane towary. Tak samo oglądało się znaczki pod lupą...

B.P. – Była też ucieczka w narkotyki, alkohol...

J.Ż. – Było to poszukiwanie metody zapomnienia Peerelu w narkotykach, które w latach siedemdziesiątych były już dość łatwo dostępne. Niektórzy potrafili nawet z maku przygotowywać polską odmianę heroiny na własnym poletku działkowym, gdzieś pod miastem. Młody obywatel Peerelu, pod wpływem zachodnich wzorców, często utożsamiał wolność z używką.

Autorytetami dla młodzieżowych środowisk w latach siedemdziesiątych byli poeci Stachura i Wojacek. Ich poezja była odpowiedzią na depresyjne stany, które w tym czasie w Polsce stały się dość powszechne wśród młodzieży licealnej, karmionej zakłamaną papką dezinformacyjną. Człowiek odnajdywał siebie w ich poezji i ona wyznaczała pewną sferę wolności. Istniało wtedy na tę poezję zapotrzebowanie. Za Stachurą młodzi ludzie wyjeżdżali w Bieszczady na słynne wędrówki, z piwem, śpiewaniem. Taka recepta na wolność.

B.P. – Odnajdujemy w tym jednak bardzo wiele autodestrukcji, nihilizmu.

J.K. – Mówimy o postawach sprzeciwu. Wolność jako sprzeciw. Reakcją ludzi na PRL, również starszych, była ucieczka od niego. Jeśli nie ma się odpowiednio twardego charakteru, ale ma się pewną wrażliwość, tylko ona pozostaje. Skaldowie śpiewali wtedy – „uciekaj, uciekaj, bo cię mgła zatrzyma”. Jeśli chodzi o narkotyki, to tych ludzi bez wątplenia dopadła mgła, inni uciekli w alkohol.

B.P. – Tę narodową ucieczkę w alkohol szczególnie wyraźnie widać w momentach pokryzysowej beznadziei.

J.K. – Ta ucieczka – jak sądzę – zaczęła się wcześniej, bo jeśli ktoś nie chce się zderzyć z rzeczywistością w sposób bezpośredni, to próbuje ją obejść, uciec, odsunąć się. To są naturalne postawy. Polscy bitnicy tym się różnili od bitników zachodnich, że nie mieli dostępu do wyrafinowanych halucynogenów takich jak LSD, ale w przeciwieństwie do tamtych nie żywili najmniejszych złudzeń co do tzw. rajku komunistycznego. Bikiniarze z lat pięćdziesiątych byli początkiem pewnego ruchu, niezorganizowanego, niesformalizowanego. Ich kolorowe skarpetki i „plerezy” (rodzaj fryzury) były formą ucieczki, która nie powinna wywoływać represji, a wywoływała.

Z kolei ruch długowłosych hipisów, przedstawiany często jako kalka tego, co działo się na Zachodzie, wcale taką kalką nie był. Zrodził się w latach sześćdziesiątych jako naturalna próba ucieczki od siermiężnej rzeczywistości. Trudno sobie wyobrazić kogoś bardziej nienawistnego wszelkim poczynaniom młodzieży chcącej mieć pewne minimum wolności, niż Gomułka, z całym otoczeniem komunistycznej gerontokracji. To rodziło naturalny sprzeciw, który manifestował się w muzyce; wtedy



i u nas nastąpił wspaniały rozkwit muzyki rockowej. Było czego słuchać. Zjawisko to łączyło się z określonym trybem życia, wszyscy chcieli, żeby było ciut luźniej.

Drugim takim ruchem byli git-ludzie, którzy rządzą w wielu dzielnicach i śpiewali „będzie swoboda na dzielnicy, będą rządzą garownicy”. To była subkultura ewidentnie zafascynowana przemocą, tym, co się działo w więzieniach, jej członkowie postugiwali się grypserską, która przeniknęła nawet do środowisk inteligentnych, był taki snobizm, żeby mówić „kminą” (grypsować). Nawet jeśli ten ruch inspirowała SB, kompletnie wymknął się jej spod kontroli.

J.Ż. – Pamiętam z własnego więziennego fragmentu biografii, jak na przywitaniu koleżdy powiedzieli mi „pucujesz pod celą?”. To był listopad 1982 r.

J.K. – To jest „kopytkarstwo”.

B.P. – Co to jest „kopytkarstwo”?

J.K. – To jest zgrywanie się na „kminę”. To jest frajerstwo, „ludzie” tak nie mówią (gitowcy mówili o sobie „ludzie”). Jeśli nawet udało się częściowo skanalizować hipisów przez nastanie na nich git-ludzi, to i ten ruch wymknął się spod kontroli. Za każdym razem, kiedy w latach siedemdziesiątych były jakieś zadymy, czy święto „Trybuny Ludu”, czy mecz piłki nożnej, git-ludzie natychmiast naparali się z milicją i ORMÓ. Z tych środowisk brały się później grupy pierwszych skinów – na ogół chłopców z przedmieść, ze środowisk robotniczych – w latach osiemdziesiątych zdecydowanie o charakterze patriotycznym, zgoła nacjonalistycznym. Apogeum hipisów szybko się skończyło, ruch git-ludzi rozbito pod koniec lat siedemdziesiątych.

Następnie pojawiło się mnóstwo subkultur. Część młodzieży zaangażowała się w opozycję antykomunistyczną, tak jak Grzegorz Przymyk, uczeń szkoły średniej, który pisał wiersze i konspirował. Tworzyły się środowiska punków, mocno kontestujące system i rzeczywistość. W początku lat osiemdziesiątych były one tolerowane przez władzę, zezwalało na ich koncerty, ale ten ruch też wymknął się spod kontroli. Punky kontestowały wszystko. Ruchów niszowych było znacznie więcej, wśród nich mniejszości religijne, zdecydowanie zwalczane przez komunistów – świadkowie Jehowy, buddyści, bo oni siłą rzeczy nie mogli zachwycać się polską rzeczywistością. Jeśli nawet te ruchy były w pewnym momencie inspirowane przez władzę, a w latach osiemdziesiątych miały służyć skanalizowaniu negatywnych emocji, zawsze wymykały się spod kontroli i uderzały w system.

B.P. – Czy można podsumować Peerel znanym określeniem „najweselszy barak w obozie”?

J.K. – Rzeczywiście mówiło się o Polsce jako najweselszym baraku w obozie. Może tak wesoło nie było, w latach pięćdziesiątych chyba nikomu nie było do śmiechu. Równocześnie chociażby z bogactwa tych enklaw – oaz wolności widać, że ludzie tęsknili za wolnością, a za sprawą polskiej specyfiki, tolerancji, indywidualizmu, katolicyzmu i przynależności do cywilizacji łacińskiej niebo nad Polską nie stało się takie czerwone.

J.Ż. – Rozmawialiśmy jedynie o niektórych fragmentach bogatego życia „ukrytego” przed oficjalnym Peerelem, nieobecnego w ówczesnych mediach. Zapomnieliśmy o wielu obszarach, w tym o aluzyjnych i finezyjnych dowcipach, Kabarecie Starszych Panów, Dudku, Janie Pietrzaku czy Zenonie Laskowiku. To też tworzyło rewiry wolności, kontrolowane co prawda przez cenzurę, ale pozwalające autentycznie śmiać się przez łzy z tego, że żyliśmy w najweselszym baraku.



Janusz Kotański – historyk, poeta, publicysta. Zajmuje się historią Kościoła i Kresów Wschodnich. Pracownik BEP IPN w Warszawie.



Jan Żaryn – dr historii, nauczyciel, wykładowca akademicki, publicysta. Absolwent IH UW, adiunkt IH PAN. Autor syntez i monografii z historii najnowszej, a także ponad stu artykułów naukowych i popularnonaukowych. Pracownik BEP IPN w Warszawie.



Jacek Teofil Żurek – absolwent IH UW, nauczyciel historii, doktorant Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Zajmuje się historią Kościoła katolickiego w Polsce i czasami stalinowskimi. Pracownik BEP IPN w Warszawie.



„CELNICY” PEERELU

W wielu dawnych i nowożytnych społeczeństwach funkcjonowały grupy, które ze względów ideologicznych, etnicznych czy religijnych wyzuczono poza nawias. Wykonywały one jednak wiele zajęć niezbędnych do funkcjonowania społeczeństwa, czerpiąc z tego znaczne korzyści, a jednocześnie doświadczając szykan zarówno ze strony władz, jak i reszty obywateli. Taka rola przypadła np. biblijnym celnikom, których zajęcie uważane było w starożytnym Izraelu za nieczyste. Podobną rolę odgrywali w dawnej Polsce Żydzi, jako pośrednicy ekonomiczni między szlachtą a chłopami. Wydaje się, że mniej lub bardziej świadomie władze PRL wyznaczyły taką funkcję prywatnej inicjatywie.

W wyniku rozpoczętej w 1947 r. tzw. „bitwy o handel” oraz konsekwentnego stosowania represji administracyjno-fiskalnych, a także nadinterpretowania ustawy nacjonalizacyjnej z 1946 r., na początku lat pięćdziesiątych udało się władzom PRL skutecznie wyeliminować z życia gospodarczego prywatny sektor. Niczym ostatni Mohikanie pozostali tylko szewcy, kowale czy krawcy, żyjący ciągle w strachu przed domiarem i kontrolą. Po październikowej odwilży w 1956 r. znacznie poprawiła się koniunktura dla rzemiosła i w ogóle prywatnej inicjatywy. Władze jednak szybko postanowiły ten proces ująć w karby. Taki też charakter miały ustawy z lat 1957–1958 dotyczące zlecania dostaw, robót i usług na rzecz jednostek państwowych (DzU 1958, nr 3, poz. 7) i udzielania zezwoleń na wykonywanie przemysłu, rzemiosła, handlu i usług przez tzw. jednostki gospodarki nieuspołecznionej (DzU 1958, nr 45, poz. 224). Znalazły się w nich m.in. takie dyskryminujące sektor prywatny zapisy jak możliwość odmowy zezwolenia na prowadzenie działalności gospodarczej, jeśli „zapotrzebowanie na danego rodzaju artykuł lub usługi jest pokryte pod względem ilościowym i jakościowym przez jednostki gospodarki uspołecznionej”, czy przepis o konieczności preferowania oferentów państwowych.

Prywaciarz potrzebny, ale podejrzany

Oprócz powodów ekonomicznych, czyli zwiększania podaży towarów i usług na rynku, władze – umiarkowanie popierając tzw. prywatną inicjatywę – dążyły również do poprawy sytuacji na rynku pracy. Od 1957 r. rozpoczęto redukcję w administracji centralnej i terenowej, a także w aparacie partyjnym, chciano więc znaleźć możliwości zarobkowania dla zredukowanych urzędników (tylko w 1958 r. z rad narodowych miało odejść około 16 tys. urzędników). Dzięki temu udało się np. małżeństwu urzędników z ministerstwa przemysłu chemicznego „wychodzić” koncesję na produkcję artykułów z tworzyw sztucznych (produkcję guzików). Prasa warszawska informowała zaś a to o urzędnikach z Ministerstwa Skupu, prowadzących restaurację „Pod wiechą” przy ul. Chocimskiej, a to o zredukowanym urzędniku z Ministerstwa Rolnictwa, wypożyczającym dziecinne rowerki. Do legalnej działalności powrócili również ci, którzy wcześniej w obawie przed represjami musieli jej zaprzestać – jak ukrywający się przed aresztowaniem pan Stach¹, właściciel piekarni w Ostrołęce, który mógł odtąd legalnie z dużym powodzeniem produkować... wozy dla rolników.

¹ Bohater jednej z relacji nadstawianej na konkurs Ośrodka KARTA.

Dość szybko okazało się, że władze partyjne nie życzą sobie nadmiernego wzrostu „elementów burżuazyjnych”, jak w partyjnym żargonie określano ludzi pracujących na własny rachunek. Komisja KC PZPR, analizująca w 1958 r. nadużycia w Prezydium Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej – oprócz rzeczywistych przypadków korupcji i marnotrawstwa – za patologię uznawała następujące sytuacje: „masowe wydawanie koncesji na sklepy, restauracje oraz pseudowarsztay rzemieślnicze. Wydawania te [tak w tekście] odbywały się żywiłowo, bez kontroli, bez analizy celowości [...]” oraz „Bezprawne często uchylanie zarządów nad młynami, nie podlegających zwrotowi ze względu na dochodowość i dużą zdolność przemiatową”. Również obiektywne przesłanki mogły skłonić władze do niepokoju. Wzrost przestępczości gospodarczej po 1956 r. wynikał z tego, że w gospodarce planowej zderzały się ze sobą podmioty o zupełnie różnej racjonalności ekonomicznej. Mimo tych zastrzeżeń można stwierdzić, że druga połowa lat pięćdziesiątych była korzystna dla prywatnej inicjatywy w PRL. Z 237 tys. osób zatrudnionych w 1955 r. w sektorze prywatnym liczba ta w 1959 r. wzrosła do 390 tys.

„Zielone światło” dla prywatnej inicjatywy zaczęło jednak przygasać od początku lat sześćdziesiątych. W niektórych przypadkach władze przypominały sobie nawet o nieściągniętych domiarach, nałożonych w tzw. latach stalinowskich, czy jeszcze wcześniejszym okresie „bitwy o handel” i egzekwowały je z całą bezwzględnością. Jedna z katowickich rodzin np. musiała od 1961 r. przez 11 lat spłacać domiar naliczony w ... 1949 r. Zmiana taktyki władz wobec „prywaciarzy” uwarunkowana była kilkoma czynnikami. Ekipa gomułkowska powracała do koncepcji szybkiej industrializacji PRL i redukowała wydatki o charakterze konsumpcyjnym, szukając przy tym wszędzie potencjalnych oszczędności i tropiąc rzeczywiste bądź wymaginowane nadużycia. Oprócz względów ekonomicznych istotną rolę odgrywały również przesłanki ideologiczne. Władze nie ufały prywatnej inicjatywie, ponieważ w stosunku do innych grup społecznych trudniej było sprawować kontrolę nad nią. Przykładem takich problemów może być sytuacja z 1959 r., kiedy to właściciele prywatnych punktów usługowych i sklepów bojkotowali działania władz i nie zdejmowali krzyży w nich umieszczonych – argumentując, że nie są to miejsca publiczne. Prawdziwa histeria „antyprywaciarska” miała miejsce przy okazji głośnych wówczas afer gospodarczych. W gazetach ukazywały się artykuły, w których obwiniano o patologie i korupcję w handlu zatrudnione tam osoby, wcześniej prowadzące własne sklepy. Innymi negatywnymi bohaterami tych publikacji byli właściciele prywatnych restauracji, masarni itd., którzy zawłaszczali towar i surowiec przeznaczony dla jednostek uspołecznionych.

Mimo że władzy nieobcy był taki styl myślenia, jaki w połowie lat sześćdziesiątych wyraził na zebraniu partyjnym jeden z inspektorów NIK: „ponad 50 proc. gospodarki narodowej to jest jeszcze sektor drobnokapitalistyczny. Straciliśmy ewidencję proporcji handlu państwowego i prywatnego. Na każdym kroku widać nowobogackich, którzy mówią, że przy socjalizmie można żyć, i szarpią ten bochen chleba, który ma być dzielony w miarę zasług przy budowie socjalizmu”, nie zdecydowano się jednak sięgnąć po drastyczne rozwiązania z lat pięćdziesiątych z powodów ekonomicznych (bez prywatnej inicjatywy niemożliwe byłoby jakiegokolwiek zaspokojenie aspiracji bytowych społeczeństwa). Rekomendacje przyjęte po tzw. aferach mięsnych były bardzo skromne w stosunku do całej kampanii propagandowej. Postulowano bowiem likwidację prywatnych masarni tylko tam, gdzie tego typu działalność były w stanie prowadzić zakłady państwowe. Znamienne było to, że przez cały okres lat sześćdziesiątych odsetek zatrudnionych w sektorze nieuspołecznionym (poza rolnictwem) utrzymywał się na tym samym poziomie i wynosił około 3,2 proc.

Pragmatyzm władz dobrze ilustruje sytuacja z drugiej połowy lat sześćdziesiątych na Lubelszczyźnie, gdzie władze zezwoliły na działanie prywatnych cegielni. Cegielnie te – jak wspominają ich właściciele – często musiały zaczynać swą działalność od stanu technicznego i technologii gorszych niż u schyłku XIX w.

Niespójność i sprzeczność wielu aktów prawnych w latach sześćdziesiątych mogła również powodować, że niektórzy stawali się rzemieślnikami wbrew swej woli, jak np. właścici-

ciela domów mieszkalnych, które nadal znajdowały się w gestii publicznej gospodarki lokalami, ze względu na większy niż przysługujący metraż. Ponieważ rzemieślnikom przysługiwały dodatkowe metry na prowadzenie działalności gospodarczej, więc wielu – chcąc nie chcąc – rozpoczynało fikcyjną działalność rzemieślniczą.

Mimo tej wymuszonej elastyczności władz, stosunek ekipy gomulkiowskiej do prywatnej inicjatywy dobrze przedstawia opowiadanie wydane w popularnej wówczas serii *Ewa wzywa 07*. Kiedy jego bohater, oficer MO, legitymując wyglądającego nader siermiężnie rzemieślnika, zauważa na jego ręku drogi zegarek, dochodzi do wniosku, że ten mógłby żyć na znacznie wyższym poziomie, gdyby tylko mógł oficjalnie ujawnić swoje dochody. Znamienne było dla tej serii, że szwarczarakterami bywali właśnie tzw. badylarze – to pogardliwe określenie ogrodników upowszechniła propaganda – właściciele lodziarni czy restauratory. Te stereotypy były społecznie bardzo nośne. Kiedy w łódzkim oddziale Związku Emerytów i Rencistów na początku lat sześćdziesiątych doszło do konfliktu, przeciwnicy ówczesnego prezesa, chcąc go zdezwauować przed władzami centralnymi, pisali, że nie godzi się „by na czele naszego oddziału stał były kapitalista i właściciel sklepu”. W licznie napływających do struktur PZPR donosach często mimochodem pojawiały się wzmianki o różnych osobach – że dorabiały się prywatnie i miały lub mają po kilka sklepów. Zarzuty te często występowały w parze z oskarżeniami o rzekomą kolaborację z nazistami. Wrogie tony wobec sektora nieuspokojonego nierzadko pobrzmiwały też w opracowaniach i sprawozdaniach kontrolnych. Przykładowo, analizując w 1963 r. działalność Centrali Handlu Zagranicznego





„Prodimex”, NIK uznała za poważne uchybienie to, że: „Prywatni dostawcy kurek świeżych osiągają poważne nieuzasadnione zyski z uwagi na płacenie zbieraczom runa leśnego cen skupu o około 50 proc. niższych od cen wykazywanych w kalkulacjach dostawców kurki”.

Prywaciarz tolerowany

Zmiana modelu konsumpcji, jaka nastąpiła w latach siedemdziesiątych, polegająca na odejściu od ascetycznego stylu lansowanego w czasach małej stabilizacji, stworzyła nowe perspektywy przed prywatną inicjatywą. Władze skłonne były wspierać tę działalność choćby po to, by wytworzone przez rzemiosło towary i usługi poprawiały zaopatrzenie rynku i zmniejszały tzw. lukę inflacyjną.

Szczególnie preferowano działalność w sferze usług gastronomicznych i turystyce. Jak podaje Paweł Sowiński w szkicu *Dwie dekady wypoczynku w PRL 1956–1980*, już w kwietniu 1971 r. Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki zalecał udzielenie znacznych kredytów właścicielom prywatnych kwater i pensjonatów. Ważną rolę zaczęła odgrywać również instytucja

agenta, którą na łamach „Rzeczypospolitej” następująco wspomina Michał Radgowski: „W latach siedemdziesiątych pojawił się agent, osobnik ratujący sklep czy restaurację przed planowanym deficytem. Agent nie był w istocie pełnoprawnym członkiem społeczeństwa socjalistycznego (podobnie jak badylarz), ale tolerowano go w sensie ekonomicznym i towarzyskim”. Z kolei przyjmując założenia gospodarcze na drugą połowę lat siedemdziesiątych, Ministerstwo Handlu Wewnętrznego postulowało w 1975 r. m.in. zwiększenie podaży usług na rynku o około 20 proc. i sprzedaży artykułów z grupy „1001 drobiazgów”. Wszyst-

ko to spowodowało, że w latach siedemdziesiątych znacząco wzrosła liczba osób utrzymujących się z pracy w sektorze prywatnym – o około 30 proc. – z 440 tys. w 1970 r. do ponad 600 tys. w 1980 r. Jednocześnie w ślad za rozwojem liczebnym prywatnej inicjatywy rosło zainteresowanie nią SB i MO. W dokumencie Biura do spraw Przestępczości Gospodarczej Komendy Głównej MO z października 1978 r. można przeczytać, że stale rosła liczba tajnych współpracowników (TW) wywodzących się z „sektora pozarolniczej gospodarki nieuspołecznionej” – w 1975 r. „prywaciarze” [tak w dokumencie] stanowili 52 proc. całej liczby TW Biura, w 1978 r. zaś prawie 10 proc.

Dynamiczny rozwój prywatnej inicjatywy – wspierany również regulacjami prawnymi (m.in. w 1972 r. przyjęto ustawę o wykonywaniu i organizacji rzemiosła², która była znacznie bardziej liberalna od tej z 1958 r.) – miał jednak swoje negatywy. Nadal bowiem rzemieślnik czy usługodawca zdany był na łaskę i niełaskę urzędników rad narodowych, którzy decydowali o tym, czy i jaki dostanie on przydział materiału oraz jaki domiar czeka go na koniec roku (jak wspomina wielu przedsiębiorców, była to dla nich zupełna niewiadoma i wszystko zależało od konkretnego urzędnika). W tym kontekście nie dziwią liczne przypadki korupcji, zwłaszcza w wydziałach finansowych rad narodowych i tam, gdzie przydzielano deficytowe surowce – np. blachę ocynkowaną. Sami zresztą rzemieślnicy wspominają, że warunkiem *sine qua non* prowadzenia działalności gospodarczej było posiadanie „swoich ludzi” w wydziale finansowym. Oczywiście nie chodziło tylko o miły uśmiech. O tym, jak bardzo było to ważne, przekonał się jeden z właścicieli założonej w połowie lat sześćdziesiątych cegielni na Lubelszczyźnie, który musiał ją zlikwidować dziesięć lat później z powodu domiaru.

Jak istotne były dobre relacje z urzędnikami z nadzoru budowlanego, przekonuje lektura wspomnień prywatnych budowlañców. To, że prywatna inicjatywa była na cenzurowanym i bardzo mądrze obawiać się donosów, wykorzystywali również klienci indywidualni. Właściciel jednego z zakładów stolarskich wspomina, jak w drugiej połowie lat siedemdziesiątych jeden z pracowników naukowych ze Szczecina wyłudził od niego wykonanie w domu boazerii, a następnie nie zapłacił, strasząc, że doniesie „komu trzeba”, iż ów stolarz zatrudnia więcej niż jednego pracownika, a tylko na tyłu zezwalały ówczesne przepisy.

Kryzys lat osiemdziesiątych stworzył doskonałą koniunkturę dla oficjalnej i nieoficjalnej prywatnej działalności gospodarczej. Jednak brak podstawowych towarów na rynku i potrzeba legitymizacji ekipy stanu wojennego spowodowały, że rozpoczęto nagonkę na tzw. spekulantów w stylu lat pięćdziesiątych. Jednocześnie wprowadzone wówczas przepisy otwierały nowe możliwości działalności gospodarczej, np. dla tzw. firm polonijnych. W kilku zresztą przypadkach doszło wtedy do znacznych nadużyć, przy których błędą afery lat sześćdziesiątych. Przykładem mogą być nadużycia w firmie polonijnej „Carpatia” wykryte przez SB w 1987 r. Straty skarbu państwa szacowano wówczas na około 2 mln marek i 90 mln zł.

Sprawa tzw. buteczkarza z Przemyśla w latach osiemdziesiątych również rozstawiła wrogość władz PRL do prywatnej inicjatywy. Otóż Kazimierz Szumański, pracując w stadninie koni pod Przemyślem, dorabiał do skromnej pensji w ten sposób, że wyjeżdżał o godzinie 5 rano do piekarni w Przemyślu, gdzie kupował pieczywo, a następnie odsprzedawał je w swojej miejscowości z nieznacznym narzutem. Na trop tego „groźnego spekulanta” wpadły struktury Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Wkrótce potem MO złapała Szumańskiego na gorącym uczynku. W wyniku zebranych dowodów i zdecydowanej mowy oskarżycielskiej prokuratora Sąd Rejonowy w Przemyślu w październiku 1985 r. skazał oskarżonego na dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu i około miliona złotych kar finansowych, co stanowiło cały majątek skazanego. Dopiero w wyniku licznych artykułów prasowych ośmieszających ten wyrok Sąd Najwyższy w trybie rewizji nadzwyczajnej uchylił wyrok Sądu Rejonowego, uznając jednak część zarzutów. Ostatecznie w 1987 r. sprawę umorzono.

¹ DzU 1972, nr 23, poz. 164.

Prywaciarz o sobie

Z prac nadesłanych na konkurs zorganizowany w 1998 r. przez Ośrodek KARTA wynika, że bardzo różne były motywacje osób, które zdecydowały się prowadzić działalność gospodarczą w PRL. Część zakładów rzemieślniczych kontynuowała po prostu przedwojenną tradycję, a zawód przechodził z ojca na syna, niekiedy na wnuka czy zięcia. Dla niektórych była to świadoma droga życiowa, o czym może zaświadczyć barwny i bogaty w wydarzenia życiorys pana Stacha z Ostrołęki. Bohater nie wyobrażał sobie po prostu, że mógłby robić coś innego niż praca na swoim. Nie były go w stanie złamać ani domiary, ani więzienie, z którego w pewnym momencie uciekł. Kiedy w połowie lat sześćdziesiątych okazało się, że na jego firmę wyrabiającą wozy dla rolników szykuje się już wydział finansowy, zajął się ogrodnictwem, kiedy zaś w latach siedemdziesiątych został z tego gospodarstwa wywłaszczony, szybko nabył inne. Żyjąc tak, kierował się swoistym *credo*: „Nie dać się złamać i nigdy nie być zmuszonym do podpisywania jakiejś listy”. Znamienne było, że według badań socjologicznych – prowadzonych w latach osiemdziesiątych wśród wykwalifikowanych robotników – za najlepszą alternatywę wobec swojego dotychczasowego zajęcia uważali pracę na swoim. Argumentowali, że tam przynajmniej widzi się jakiś sens pracy i jej efekt. Tę motywację potwierdzają również wspomnienia części „prywaciarzy”. Nie traktowali oni jako wielkiej dolegliwości tego, że pracowali po kilkanaście godzin na dobę. Cieszyło ich, że ten wysiłek – w odróżnieniu od pracy na państwowym – przekładał się na wynik i sukces materialny.

Sporo ludzi jednak imiało się tych zajęć z braku innej możliwości, tak jak wspomniani już zredukowani urzędnicy po 1956 r. Istotną rolę odgrywały również materialne przesłanki. Młode inteligentkie rodziny, nie mogąc utrzymać się z budżetowych pensji, decydowały się podjąć mniej lub bardziej oficjalne zajęcie w sektorze prywatnym, które z biegiem czasu stawało się głównym miejscem zatrudnienia i źródłem utrzymania. W niektórych okresach PRL praca „na swoim” stawała się istotną deklaracją polityczną. Spora część twórców, dziennikarzy i aktorów po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 r., nie chcąc legitymizować ówczesnej władzy, wołała pracować jako taksówkarze, prowadzić lodziarnie czy punkty usługowe. Przy zachowaniu wszelkich proporcji przypominało to trochę sytuację z okresu okupacji.

W 1989 r., kiedy premierem był jeszcze Mieczysław Rakowski, przyjęto bardzo liberalną ustawę o działalności gospodarczej. Stworzyła ona nowe możliwości dla prywatnej gospodarki w Polsce, która później w wyniku zmiany systemu stała się w ciągu kilku lat dominująca (obecnie sektor prywatny wytwarza ponad 70 proc. PKB). Z szansy skorzystały nie tylko takie osoby, jak Stach z Ostrołęki, który nareszcie mógł cieszyć się z obranej przez siebie drogi życiowej. Taką drogą poszło wiele tysięcy osób, które chroniąc się przed bezrobociem, musiały podjąć własną działalność gospodarczą. W nowej rzeczywistości różnie potoczyły się losy prywatniarzy z PRL. Paradoksalnie, bardzo wielu z nich zaniechało swojej działalności, gdyż – jak wspomina jeden z autorów wspomnienia nadesłanego na konkurs Ośrodka KARTA – choć potrafili już sobie radzić z peerelowską biurokracją, brakami w zaopatrzeniu i innymi absurdami realnego socjalizmu, to przegrali z wolnym rynkiem.

W tekście wykorzystano m.in. prace konkursowe zgromadzone w Ośrodku KARTA nadesłane na konkursy *Na marginesie: „prywatna inicjatywa” 1945–89* (1998 r.) oraz *Prywaciarze 1945–1989* (1999 r.), a także publikacje: *PRL. Trwanie i zmiana* (tom dedykowany Marcinowi Kuli), pod red. Dariusza Stali i Marcina Zaremby, Warszawa 2003; *Praca a uczciwość*, studia pod red. Anny Pawełczyńskiej, Warszawa 1992.

ARTYŚCI CZY CHULIGANI?

O POCZĄTKACH JAZZU W „POLSCIE LUDOWEJ”

„Fruwa twoja marynara do sufitu
Aktywista nie przestaje wciskać kitu”.

Wojciech Młynarski

Choć nietatwe były początki jazzu w powojennej Polsce, to jednak trudno znaleźć w pierwszej dekadzie „Polski Ludowej” dziedzinę aktywności, która dawała jej uczestnikom tyle swobody. Jazzowi muzycy i ich publiczność stworzyli niewątpliwie wokół swojej muzyki otoczkę, która pozwalała im odreagować komunistyczną rzeczywistość.

„A ja jestem i dobry Polak, i dobry demokrat, bardzo lubię słuchać muzyki polskiej (polka, krakowiak, kujawiak, mazur). [...] Nastawiam Katowice. Szum, zgrzyt, hałas, awantura. Ale w końcu eliminuję wszystko niepotrzebne i nareszcie... muzyka. Ale w tym miejscu szlag mnie na stojąco trafia. Owszem, muzyka jest, ale szarpana. Jazz. Dzikie murzyńskie dźwięki. Zwariowana melodia bez melodii, której żaden wariat nawet nie pojmie”¹.

Bez patosu

Tuż po zakończeniu wojny społeczeństwo zajmowało się bardziej poważnymi problemami niż jazz. Trudno się było temu dziwić po tragicznych przejściach minionych sześciu lat. Jednocześnie naturalna potrzeba zabawy, rozładowania emocji skłaniała ludzi do rozrywki, a jedną z nich był właśnie jazz.

Już w 1946 r. pojawiły się pierwsze jazzowe zespoły, a garstka zapaleńców tworzyła w największych miastach swoje kluby. W 1947 r. w Poznaniu znany artysta Jerzy Grzewiński² rozpoczął współpracę z Leopoldem Tyrmandem³, propagując podczas klubowych spotkań tradycyjną muzykę jazzową. Tyrmand wygłaszał prelekcje, a Grzewiński ilustrował je muzyką. W tym czasie w Warszawie zaczęto organizować *jam session*. Pierwsze, legendarne spotkanie odbyło się jeszcze nieoficjalnie w 1946 r. w Jazz Clubie polskiej Ymki⁴, przy ul. Konopnickiej (dziś teatr „Buffo”).

W Łodzi w Grand Hotelu jazz grała orkiestra braci Harris. Kolejnym centrum ruchu jazzowego stawał się Kraków.

Początkowo była to muzyka garstki wtajemniczonych, spotykających się w tym samym towarzystwie. Z biegiem czasu sytuacja zaczęła się zmieniać – na koncerty przychodziło

¹ Szarpana muzyka, „Gazeta Robotnicza”, 24 I 1946.

² Jerzy Grzewiński, lider najbardziej znanej poznańskiej grupy jazzowej w latach pięćdziesiątych, puzonista. Początkowo jego grupa była zespołem swingowym, później dixielandowym. Podczas I Festiwalu Jazzowego w Sopotcie występował w zespole razem z Krzysztofem Komedą. Później wrócił do samodzielnego kierowania swoim zespołem.

³ Leopold Tyrmand (1920–1985), prozaik i publicysta, popularyzator jazzu w Polsce, znawca kultury Zachodu, konsekwentny kontestator komunizmu.

⁴ Young Men’s Christian Association (YMCA), Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej, brytyjska młodzieżowa organizacja kulturalno-oświatowa.



Publiczność w czasie koncertu jam session nr 1

coraz więcej młodzieży, co nie mogło umknąć uwadze władz. Do kontaktu z jazzem zachęcała nie tylko sama muzyka. Atmosfera klubów i ludzie, którzy je tworzyli, przyciągały odmiennym stylem bycia. Luz, szczerłość i brak patosu były to zjawiska niespotykane wówczas w życiu publicznym. Jazzmani inaczej się ubierali, inaczej zachowywali, wreszcie – używali zupełnie innego języka. O charakterze tych spotkań niech świadczy projekt tekstu zaproszenia do klubu, który miał zostać otwarty w 1947 r. w Warszawie. W programie otwarcia znalazły się: „1. Zagajenia, 2. Speech orientacyjno-zamiarowy, 3. Proklamacja zamierzonego stworu organizacyjnego, 4. Kłótnia o nazwę i inne rzeczy, 5. Trzy jedności, 6. Ogólne nieporozumienie, 7. Rozwiązanie klubu, 8. Wszyscy jedzą i są zadowoleni. (Zastrzega się możliwość przesunięcia ostatniego punktu na początek)”⁵. W zestawieniu z komunistyczną nowomową język jazzowego klubu brzmiał jak głos z innego świata.

„Katakumby” i jazz

W końcu lat czterdziestych spontaniczny rozwój ruchu jazzowego zatrzymano. Rozpoczął się atak na „formalistyczną jazzową tandetę”, a muzyków potępiło walne zgromadzenie Związku Kompozytorów Polskich⁶. W dobie zjazdu zjednoczeniowego i powszechnej unifikacji nie było miejsca na tego rodzaju niekontrolowane zjawiska.

Przeciwko jazzmanom wytoczono najcięższe działa, a niektóre głosy brzmiały wręcz przerażająco, tak jak poniższy, autorstwa znanego pisarza Tadeusza Borowskiego: „Pamiętajcie, że muzyka jest polityką. Tak samo jak literatura i sztuka. Jak sadzenie drzew i rodzenie dzieci. Nie uchronisz dziecka przed zniszczeniem i śmiercią, jeśli nie zajmiesz się polityką, nie będziesz

⁵ Za: M. Urbanek, *Zły Tyrmand*, Kraków 1992, s. 53.

⁶ R. Kowal, *Polski jazz*, Kraków 1995, s. 53.

Zespół „Melomani” na wakacjach; od lewej: Witold Sobociński, Andrzej Trzaskowski, Andrzej Wojciechowski, Krzysztof Trzciniński, Jerzy Matuszkiewicz; Ustronie Morskie, 1952 r.

Fot. Jerzy Matuszkiewicz





walczył przeciwko wojnie. Drzewo zrąbą na opał, dziecko zginie w okopie, spali się w kotłyszce. I muzyka nie ochroni siebie od zniszczenia, choć nam wydaje się wieczna. Fosfor ją spali, but gestapowca rozdepce, komora gazowa otruje artystę, kolba rozbije instrument. Dlatego wiedźcie, że grając [Fryderyka] Chopina, czy chcecie, czy nie chcecie – bronicie pokoju. Pragnąłbym, abyście bronili go świadomie. Abyście słuchając muzyki [Dimitrija] Szostakowicza i Arnolda Schoenberga, bronili pokoju na świecie przed zbrodnierzami wojennymi. Przed imperialistami, którzy chcieliby z nas uczynić mięso armatnie, a z kultury pornografię i jazz”⁷.

Z czasem uprawianie jazzu władze zaczęły utożsamiać z sympatią dla wrogiej ideologii. Nic dziwnego, że w Łodzi, jak na stosie, spalono całą bibliotekę Ymki. Nawet ówczesne „Po prostu” żądało zlikwidowania zespołów jazzowych, uznając ich działalność za szkodliwą. W 1949 r. rozwiązano stowarzyszenie YMCA, a tym samym istniejące przy nim kluby.

Skomasowany atak na jazz, jak zwykle bywa w takich wypadkach, niemal natychmiast zwiększył atrakcyjność tej muzyki w oczach młodzieży. Zespoły – dosłownie i w przenośni – zeszyły do podziemia, grając często w klubach-piwnicach, czyli jak to wówczas określano, w „katakumbach”. Najstynniejszym z katakumbowych zespołów byli łódzcy „Melomani”.

Udział w koncertach stawał się wówczas czymś więcej niż tylko samą przyjemnością słuchania muzyki. Manifestowanie wolności i niechęci do oficjalnej kultury stało się głównym celem miłośników jazzu. Sposobem manifestacji nie była już sama muzyka, ale np. oryginalny ubiór. Na ulicach większych miast pojawili się bikiniarze. Tak charakteryzował wygląd najbardziej znanego z nich – Leopolda Tyrmanda – autor książki o pierwszym polskim bikiniarzu: „Tweedowe marynarki, dobre mokasyny, świetnie uszyte flanelowe spodnie, koszule z zaokrąglonymi kołnierzykami i guziczkami zamiast spinek przy mankietach. Nawet te słynne skarpetki, które nosił naszym narodowy sztandar”⁸. Nazwa bikiniarze pochodziła natomiast od krawatów z palmami z Bikini, najczęściej przywożonych z Ameryki. Taki strój wobec oficjalnej, siermiężnej szarości był prowokacją. Ze strony młodzieży stał się sposobem odreagowania tego, co spotykała na co dzień. Jako ciekawostkę dodać można, że słynne skarpetki podarował Tyrmandowi Eryk Lipiński, który przywiózł je ponoć z... Moskwy.

Działalności i sposobowi bycia bikiniarzy towarzyszyły ataki z przeróżnych stron. Z czasem zaczęli być utożsamiani z bumelantami i zwykłymi chuliganami. Oto fragmenty wiersza Jana Brzechwy *Taryfa ulgowa*:

„Pojawił się u nas bikiniarz przed laty:
Plezeza, naleśnik, szalone krawaty,
Wzorzyste skarpety i portki do kostek
Przesiąknął tym stylem niejednen wyrostek,
[...]
Tymczasem bikiniarz się stał chuliganem,
Grasował po mieście z koleżką szmeranem,
Koleżkom podkładał się grzecznie przechodzień
I letko paletko zdzierano zeń co dzień.
Milicja na wszystko patrzyła bez słowa.
Co robić, gdy rządzi taryfa ulgowa?
[...]

A przecież to wszystko są zwykłe przerosty!
Na takich koleżków jest sposób dość prosty:
Pójść tylko do domu, gdzie mieszka koleżka,
Spakować manatki koleżki do mieszka,
Za kołnierz koleżkę i – koniec zabawy!
I fora z mieszkania, i jazda z Warszawy!
Z korzeniem go wyrwać, jak pęk suchej trawy!
Niech po nim mieszkanie natychmiast dostanie
Ten, który na próżno od lat czeka na nie.
Bo nie dla szumowin igraszki ponurej
Robotnik warszawski budował te mury.
Zgniliznę wymiećmy! Nie czas już na słowa!
Niech skończy się wreszcie taryfa ulgowa!”

Młodzież nie dała się jednak przekonać takiej propagandzie. W początkach lat pięćdziesiątych w Polsce praktycznie nie było dobrej muzyki rozrywkowej. Istniały co prawda orkiestry taneczne i rozrywkowe, ale miały bardzo ograniczony repertuar. Orkiestry radiowe – warszawska i katowicka – grywały, jak wspomina Bogdan M. Jankowski, „walczyki, poleczki i marsze, a piosenki śpiewali niestrudzeni i już wówczas nie najmłodszy [Mieczysław]

⁷ T. Borowski, *Muzyka w Herzenburgu*, „Politechnik” 1953, nr 6.

⁸ M. Urbanek, *op. cit.*, s. 146.

Fogg i [Andrzej] Bogucki⁹. Podobnie było z piosenką popularną – do młodzieży nie docierały ballady Sławy Przybylskiej, Marii Koterbskiej czy Marty Mirskiej. W programie wydawnictw płytowych dominowały wznowienia dawnych nagrań oraz pieśni masowe w wykonaniu Chóru i Orkiestry Polskiego Radia.

Tymczasem dla słuchaczy, a także samych muzyków, jazz był szansą ominięcia państwowego mecenasu narzucającego, co i jak należy grać. Pozwalał wyrazić tęsknotę za innym światem, rytmem i zachowaniem, nie tylko na scenie. Improwizacja będąca podstawową cechą tej muzyki dawała muzykom artystyczną wolność i rzeczywistą możliwość poczucia się artystą. Nie na próżno aż do późnego Peerelu funkcjonowało wśród muzyków określenie, że „komunista nie może być jazzmanem, bo w tej muzyce nie ma wytycznych”.

Sami muzycy niekoniecznie stawiali swoją twórczość w opozycji do komunizmu. Konflikt pojawiał się jednak w sposób naturalny: jak zauważyli miłośnicy tej muzyki: „jazz to muzyka wyzwolona, a wszystko, co jest wyzwolone, natychmiast atakuje system totalitarny”¹⁰.

Właśnie dlatego jazz stał się muzyką młodej elity twórczej tamtego okresu, poszukującej w sztuce prawdy, a nie uznania partyjnych decydentów. W środowisku miłośników jazzu w naturalny sposób pojawiło się więc pokolenie „pięknych dwudziestolatków” (Marek Hłasko, Roman Polański), trafili do niego publicyści i artyści myślący podobnie jak twórcy jazzowych klubów (Stefan Kisielewski).

Zielone światło

Zmiana stanowiska władz w stosunku do jazzu nastąpiła dopiero około 1954 r. Już w 1953 r., po śmierci Stalina, dało się zauważyć pewną odwilż. Wydaje się, że w powrocie jazzu nie miała rolę odegrała zręczna agitacja niektórych publicystów (m.in. Kisielewskiego), że to „muzyka uciśnionych Murzynów”, że „pochodzi z ludu, więc nadaje się dla mas” i że polscy muzycy zdecydowanie odcinają się od „zdegenerowanego, dzikiego jazzu amerykańskiego”.

W 1954 r. w Krakowie odbyły się pierwsze *Zaduszki jazzowe*, które można uznać za początek odrodzenia polskiego jazzu. Rozpoczął je Tyrmand, grając na fujarce pierwsze taktory tematu *Swanee River* (późniejszy hejnał festiwalu *Jazz Jamboree*).

Od tego momentu rozwój jazzu nabrał ogromnego tempa. Powstawały kolejne zespoły. Młodzi ludzie we wszystkich większych miastach chcieli mieć swoje kluby. Od stycznia 1955 r. na falach Głosu Ameryki nadawany był codzienny program *Jazz Hour* i *Music USA*, prowadzony przez Willisa Conovera, wielka gratka dla fanów i wykonawców jazzu w Polsce: „Ponieważ magnetofony były niedostępne, każdy z muzyków musiał zapamiętać po kilka taktów melodii. Dopiero po zakończeniu audycji rekonstruowano całość” – wspominał Jan „Ptaszyn” Wróblewski¹¹.

W marcu 1956 r. w Warszawie przy ul. Wspólnej 55 odbyło się słynne *Jam session* nr 1, początkujące cykl podobnych imprez organizowanych przez Leopolda Tyrmanda. Na kolejne spotkania z muzyką jazzową zapraszano znanych artystów, a konferansjerami podczas koncertów byli m.in.: Andrzej Łapicki, Wieńczysław Gliński i Edward Dziewoński. Pierwszej edycji *jam session* nostalgiczną piosenkę poświęcił nawet Wojciech Młynarski:

„Rok
był pięćdziesiąty, a
Żurawią pamiętnego dnia
cudowna Karawana szła
Na
jej czele szedł Pan Tyrmand sam
i Melomani byli tam

grać *Jam Session Number One...*
Przez
pustynię realizmu-soc
w warszawską przerażoną noc
cudowna karawana szła – bis
więc załapałem się i ja”.

Wojciech Młynarski, *Caravana*

⁹ B.M. Jankowski, *O muzyce rozrywkowej*, Warszawa 1976, s. 11.

¹⁰ M. Urbanek, *op. cit.*, s. 175.

¹¹ W. Kot, *Polskie Dekady. Kronika naszych czasów 1950–1990*, b.m. 2001, s. 56.

Ofensywa jazzu nie wszystkim się jednak podobała, a niektórzy próbowali nawet zmienić sytuację. Jan Cajmer, któremu jako dyrygentowi Orkiestry Tanecznej Polskiego Radia najwyraźniej palił się grunt pod nogami, pisał: „We wszystkich prawie wypowiedziach dominowało żądanie »jazzu«. Autorzy [...] zapewniali, że te ich żądania »jazzu« są wyrazem żądań szerokich rzesz naszej młodzieży. Natomiast w prasie naszych województw ukazywały się raczej wypowiedzi przeciwników jazzu i też pochodzące z kół młodzieży [...]. Muszę tym wszystkim propagatorom oświadczyć, że jeśli myślą, że są jedynymi na boisku, to się grubo mylą. W Polsce jest ogromna masa ludzi pracy i młodzieży, która jest zdecydowanym przeciwnikiem jazzu, nawet w takiej »łagodnej« formie, na jaką godzą się już niektórzy mniej energiczni wyznawcy jazzu”¹². Podobne głosy były jednak coraz bardziej odosobnione.

W 1956 r. odbył się w Sopocie pierwszy festiwal jazzowy, które wzbudził ogromne zainteresowanie. W siedmiu koncertach festiwalu wzięło udział 25 tys. osób, a chętnych było znacznie więcej. Uczestnicy zorganizowali nawet pochód ulicami Sopotu. Hałaśliwa manifestacja zakończyła się podobno interwencją milicji. Młodzież niosła np. „transparent”, a raczej cztery transparenty, z pojedynczymi literami: D, U, P, A. Zamanifestowanie potrzeby wolności i wspólnej zabawy było nawet ważniejsze niż dźwięki płynące ze sceny. Sposób odreagowania głupoty oficjalnej kultury niekiedy przypominał działania bliższej naszym czasom „Pomarańczowej Alternatywy”.

Miłośnicy jazzu mieli już wtedy swoją audycję radiową (*To jest jazz* Leopolda Tyrmanda i Stefana Rogińskiego) oraz ukazujący się od 1956 r. miesięcznik „Jazz”¹³.

Zielone światło dla jazzu i pojawienie się bigbitu wpłynęło na zmianę pozycji jazzu w kulturze PRL i społeczeństwie. Jako muzyka buntu został on z czasem wyparty przez polską odmianę rock’n’rolla. Sami muzycy na pewno nadal widzieli w nim swoją enklawę wolności, ale dla władz bardziej groźny był już dynamiczny i niosący niebezpieczne treści bigbit. Jazz ponownie stał się sztuką elitarną, na pewno nie był już zjawiskiem tak masowym jak w połowie lat pięćdziesiątych.

Fot. Jerzy Matuszkiewicz



Jam session nr 1 – muzycy w akcji; od lewej: Andrzej Wojciechowski – trąbka, Witold Sobociński – puzon, Jerzy Matuszkiewicz – klarnet, Allan Guziński – trąbka, Jan Walasek – saksofon tenorowy, w głębi: Janusz Byliński – perkusja, Maciej Kasprzycki – kontrabas, niewidoczny Andrzej Trzaskowki – fortepian

¹² J. Cajmer, *Ruszamy z martwego punktu*, „Przegląd Kulturalny” 1954, nr 8.

¹³ „Jazz. Miesięcznik ilustrowany”, Gdańsk.

U PINGWINÓW ZA METALOWĄ BRAMĄ

Do kościoła akademickiego dominikanów prowadzi szeroka metalowa brama. Wydziela ona teren nieomal obronny. W czasach Peperelu stał się on prawdziwą twierdzą wolności, a brama rzeczywistą granicą dwóch światów.

- „– 81–00 do 83–90. W tej chwili opuszczają obiekt.
– [...] 82–30 dwoma plutonami niech podciągnie wzdłuż Składowej do Kościuszki, żeby miał jak najbliżej zabezpieczyć ten nasz interesujący obiekt.
– [...] 30–10 dla 30–20. Czy to, co podchodzi pod pomnik, będziemy likwidować?
– Legitymować i wzywać do rozejścia.
– 83–12 przekazuje [...] śpiewają hymn. Jakies flagi widzę i krzyczą: »Niepodległość«
[...] Dużo ulotek.
– 35 ma informację, że [...] chcą grandzić tutaj, ale Pingwiny zamykają w tej chwili tę metalową bramę. [...]”

Ten nielegalnie nagrany fragment informacji przekazywanych sobie drogą radiową przez pododdziały Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej ilustruje scenariusz, jaki – z niewielkimi zmianami – miał się powtarzać przez lata 1982–1988: Po Mszy św. odprawionej w kościele ojców dominikanów w intencji ojczyzny, „Solidarności”, represjonowanych itd. grupy ludzi udawały się pod pobliski Pomnik Poznańskiego Czerwca 1956 r., by tam manifestować swoje pragnienie wolności i sprzeciw wobec panującego systemu.

Prahistoria

Bracia Zakonu Kaznodziejskiego św. Dominika przybyli do Poznania w pierwszej połowie wieku XIII i odtąd, aż do kasaty zakonu przez władze pruskie w latach trzydziestych XIX w., dzielili z miastem jego dobre i złe chwile.

Po odzyskaniu niepodległości zakon był zbyt osłabiony, by podjąć działalność w Poznaniu. Dopiero pod koniec 1937 r. na prośbę kard. Augusta Hlonda, popartą przez środowisko uniwersyteckie z ówczesnym rektorem prof. Stanisławem Kasznicą na czele, dominikanie powrócili. Pierwszym duszpasterzem akademickim został o. Bernard Przybylski.

Ojcowie zakupili działkę w centrum miasta i przystąpili do budowy klasztoru. Ta lokalizacja, w pobliżu dużego domu studenckiego oraz głównych gmachów uniwersyteckich, miała się potem okazać „strategiczna”, a to ze względu na bliskie sąsiedztwo odsoniętego w 1981 r. Pomnika Poznańskiego Czerwca 1956 r.

W dniu rozpoczęcia II wojny światowej dominikanie przenieśli się do niewykończonego jeszcze budynku i urządzili w nim kaplicę. Przez cały październik i listopad odbywały się w niej nabożeństwa różańcowe. Wtedy też – pewnie po raz pierwszy – miejsce to zdobyło sobie w sercach poznanianków rangę obszaru wolności, wprawdzie coraz bardziej kurczącego się, ale trwającego. 12 grudnia 1939 r. dominikanie zostali wysiedleni z miasta, włączono do III Rzeszy.

Zakładanie fundamentów

Jeszcze trwały walki o Poznań, gdy w końcu stycznia 1945 r. o. Stanisław Dobecki dotarł do miasta i zajął się zabezpieczaniem budynku klasztornego przed szabrownikami, a także groźbą zajęcia przez władze na prywatne mieszkania. Wkrótce powrócił również o. Bernard Przybylski.

Najważniejszą sprawą – obok reaktywowania duszpasterstwa – stała się budowa kościoła akademickiego. Niełatwo było już wtedy uzyskać na to zgodę władz, jednak nieugięty o. Mateusz Schutter w końcu stycznia 1948 r. zdobył potrzebne pozwolenie. Wtedy w ogromnym tempie ruszyła budowa kościoła, który otwarto już 2 października 1949 r. Szczęśliwym trafem, ponieważ władze nie życzyły sobie, by kościół stanął bezpośrednio przy ulicy, powstała przed nim przestrzeń – dziedziniec otoczony krążankami, zamknięty od strony ulicy wysokim murem. Prowadzi nań szeroka, trzyczęściowa metalowa brama. W ten niezamierzony sposób wydzielono teren nieomal obronny. Wkrótce miał on stać się prawdziwą twierdzą wolności, a brama – rzeczywistą granicą dwóch światów.

Duszpasterstwo dominikanów obejmowało opieką całą społeczność uniwersytecką, ale szczególną troską otoczono młodzież – poranioną fizycznie i psychicznie przez wojnę, biedną, często bezdomną, głodną, bez żadnego oparcia. O. Bernard od początku służył jej pomocą nie tylko czysto duszpasterską, ale także materialną i zdrowotną. Z jego inicjatywy powstała „Caritas Academica”, tworzona przez samą młodzież. Ta organizacja samopomocy, działająca skutecznie i z dużym rozmachem, cieszyła się poparciem mieszkańców Poznania. Była jednocześnie znakomitą formą wychowania ludzi, uspołeczniania ich, budowania autentycznych więzi.

Jednocześnie trwała usilna praca nad kształtowaniem charakterów i umysłów młodych ludzi. Ojcowie nie mieli złudzeń co do istoty i zamiarów panującego reżimu. Byli świadomi tego, że właściwa walka toczyć się będzie w sercach i umysłach poszczególnych osób i że trzeba możliwie szybko położyć mocne fundamenty pod jasny i trwały system wartości. Temu miały służyć m.in. zorganizowany w klasztorze w listopadzie 1945 r. trzydniowy Ogólnopolski Zjazd Katolickiej Młodzieży Akademickiej oraz cała religijna i społeczna działalność duszpasterska.

Od razu stało się zwyczajem, że po codziennej porannej Mszy św., tzw. „siódemce”, młodzież spotykała się na wspólnym śniadaniu. Tam tworzył się klimat duszpasterstwa, powstawała wspólnota. Co niedziela o godzinie 9.00 odprawiano akademicką Mszę św. dla całego środowiska. Pracy formacyjnej służyły też rekolekcje, konferencje, wspólne wycieczki, oplatki, imprezy towarzyskie oraz bezpośrednie rozmowy z duszpasterzem. Ważną rolę odgrywała biblioteka, w której oferowano – oprócz bardzo poszukiwanych wtedy skryptów – książki nigdzie indziej niedostępne.

Tuż po wojnie przyznany duszpasterstwu przez władze zakres swobód był stosunkowo duży. Konferencje i wykłady mogły się odbywać w dużych salach uczelnianych, na uczelnianych tablicach ogłoszeń zamieszczano wiadomości o duszpasterstwie, a rok akademicki rozpoczynał się uroczystą Mszą św. Duszpasterz bez przeszkód mógł pojawiać się na uczelni, w domach studenckich czy na turnusach wakacyjnych organizowanych przez „Caritas Academica”.

Próba trwałości

Wkrótce jednak dominikański „obszar wolności” zaczął się coraz bardziej kurczyć. W początkach 1950 r. zlikwidowano „Caritas Academica”. Aresztowano jej prezes Janinę Szweyker. Ojców inwigilowano coraz jawniej, wzywano na męczące „rozmowy profilaktyczne”. Działania, postawy, poglądy niezgodne z „oficjalną linią” uznawano za wrogie i często karano. Otwarte przyznawanie się do Kościoła mogło zrujnować karierę zawodową, a nawet zagrozić osobistemu bezpieczeństwu. Mimo to ludzie garnęli się do dominikanów. W czasie niedzielnych Mszy św. czy w porze rekolekcji kościół pękał w szwach.

Duszpasterzami akademickimi w tym trudnym okresie byli o. Stanisław Dobecki i o. Marcin Chrostowski. Do historii przeszło kazanie o. Marcina, podczas którego ten zawsze cichy,



Kordon ZOMO blokuje wyjście z kościoła dominikanów.
W tle metalowa brama na dziedziniec

spokojny, całkowicie oddany pracy charytatywnej zakonnik powiedział z mocą: „Ludzie, nie przejmujcie się! Kościół przeżył Nerona, Kościół przeżył Hitlera, Kościół przeżyje Stalina!”.

Oprócz „siódemek” i niedzielnych „dziewiątek”, wokół których formowała się wspólnota, organizowano rekolekcje oraz dni skupienia dla pracowników uczelni i studentów, a także wspólne opłatki i święcone. Coraz większego znaczenia nabierały wykłady i seminaria, prowadzone wyłącznie na terenie kościoła i klasztoru. Oprócz historii Kościoła, teologii moralnej i biblistyki wykładano etykę życia rodzinnego i naukę społeczną Kościoła. Wykłady prowadzili m.in. ks. bp Kazimierz Kowalski, prof. Stefan Świeżawski, o. prof. Albert Krąpiec i wielu innych. Organizowano spotkania z wybitnymi ludźmi kultury – Jerzym Zawieyskim, Hanną Malewską, Zofią Starowieyską-Morstinową. Ogłoszenia duszpasterskie – „eksmitowane” z tablic uczelnianych – pojawiały się w poznańskich kościołach.

Starano się kontynuować – w granicach możliwości – działalność charytatywną. Spełniła ona doniosłą funkcję wychowawczą i integrującą, ambicją ojców było bowiem kształtowanie nowej, żywej religijności, której podstawą były miłość i wzajemna odpowiedzialność za siebie.

Urządzano także imprezy towarzyskie – wspólne wycieczki i zabawy. Odbywały się one w małych grupach, a ich związek z duszpasterstwem ukrywano. Coraz większego znaczenia nabierały osobiste kontakty studentów i pracowników uczelni z duszpasterzami. Metody pracy musiały przystawać do czasów, cel pozostał ten sam – kształtowanie pełnego człowieka, świadomego swojej godności i wewnętrznie wolnego.

Tymczasem obszar wolności znów miał się skurczyć – 16 września 1954 r. władze wydały formalną decyzję o likwidacji duszpasterstwa. Jednocześnie ojcowie prowadzący działalność duszpasterską otrzymali nakaz opuszczenia Poznania.

Odbudowa

W 1957 r. przybyli do Poznania o. Joachim Badeni i o. Tomasz Pawłowski, by odbudować duszpasterstwo. Trzeba było maksymalnie wykorzystać możliwość poszerzenia zakresu wolności. Powróciły codzienne studenckie „siódemki” i towarzyszące im wspólne śniadania, a niedzielne „dziewiątki” nabrały znów charakteru mszy akademickich. Rozpoczęła się na nowo praca formacyjna – z nowym pokoleniem studenckim, już przeorany jedynie słuszną ideologią i wszechobecnym strachem przed bezpieką. Dlatego duży nacisk położono na samokształcenie, dyskusje, a zwłaszcza rekolekcje, do głoszenia których zapraszano znakomitych rekolekcyjistów, jak choćby ks. Wacława Świeżawskiego, benedyktyna o. Placyda, ks. Stanisława Kluza, ks. Tadeusza Fedorowicza czy świeżo wyświęconego biskupa krakowskiego ks. Karola Wojtyłę. Znów „cały Poznań” zbiegał się do kościoła, by chłonąć ich słowa. Od początku nawiązano współpracę z właśnie powstałym (1957 r.) Klubem Inteligencji Katolickiej.

Nie pominięto także nurtu społecznego, podejmując opiekę nad osobami starymi, samotnymi, chorymi i biednymi studentami, rodzinami z małymi dziećmi, sierotami z domów dziecka, wreszcie wracającymi ze Związku Radzieckiego repatriantami. Organizowano zbiórki odzieży i żywności dla potrzebujących.

Przyjacielską wspólnotę umacniały wspólne zabawy i bardzo ostrożnie, bo wbrew zakazom władz, organizowane wycieczki. Działalność ta odbywała się pod czujnym okiem Służby Bezpieczeństwa, której funkcjonariusze regularnie bywali na spotkaniach duszpasterskich. Ojców wielokrotnie wzywano na przesłuchania do Urzędu do spraw Wyznań. Przesłuchaniami SB nękała też udzielającą się w duszpasterstwie młodzież.

Wczesny okres gierkowski przyniósł pewne rozszerzenie granic wolności. Ojcowie postanowili wykorzystać okazję, by uruchomić własne pismo, stworzyć forum wymiany myśli i prezentacji idei, objąć swoim oddziaływaniem szersze kręgi. Udane negocjacje z władzami prowadził ówczesny główny duszpasterz akademicki o. Konrad Hejmo. Tak powstało pismo pod znamienym tytułem „W drodze”. Redaktorem został współpracownik o. Konrada, duszpasterz akademicki o. Marcin Babraj. Z czasem powstało wydawnictwo „W drodze”, znane z publikacji fundamentalnych dla kształtowania życia duchowego.

Tradycją stały się konferencje czwartkowe oraz spotkania w salce duszpasterstwa, na które zapraszano wybitnych ludzi, jak Stefan Kisielewski, Jerzy Turowicz, o. Karol Meissner, dr Wanda Półtawska. Zwykle w te wieczory trudno było w kościele znaleźć wolne miejsce. Organizowano wieczory pieśni i poezji, misteria, szopki, na które tłumnie ściągali poznaniancy. Każdy, kto przekraczał solidną metalową bramę, czuł, że oto znajduje się w innym świecie, świecie wartości, bez których nie można żyć po ludzku, i niełatwych prawd, dla których zgłębienia warto się potrudzić.

Promieniowanie

Czasy tzw. środkowego Gierka niósł ze sobą zagrożenia może większe niż którykolwiek z dotychczasowych okresów PRL. Tandetny konsumpcjonizm, bezwład ogarniająca ludzi, atomizacja życia społecznego, ogłupiająca propaganda, postępujący zanik wartości – wszystko to mogło doprowadzić do całkowitego ubezwłasnowolnienia społeczeństwa.

Żywo odczuwał ten klimat nowy duszpasterz akademicki o. Honoriusz Kowalczyk. Pisał przecież: „[...] idziemy nie wiedząc, co się z nami dzieje; terażniejsza przeciętność [...] dążymy ku nudzie i otłuszczeniu [...]; bezgraniczna nieświadomość czy bezgraniczna naiwność?” – i z ogromnym dynamizmem wziął się do pracy. Był człowiekiem niezwykłym, obdarzonym prawdziwą charyzmą. Zniewalał uśmiechem, promieniującą życzliwością, a przede wszystkim prostotą i wielką ofiarnością. Potrafił wychodzić naprzeciw ludziom i doprowadził do tego, że dominikański „obszar wolności” przekroczył metalową bramę i zaczął promieniować na całe miasto.

Trudno wyliczyć wszystkie inicjatywy o. Honoriusza. O niektórych jednak wspomnieć trzeba. Przyjął dla duszpasterstwa nazwę DOM i rzeczywiście stworzył prawdziwy dom, do którego garnęła się młodzież, choć stawiał wysokie wymagania. Wszyscy czuli się tam potrzebni i kochani. Kontynuował wiele tradycyjnych działań duszpasterskich, tchnąc w nie nowego ducha. Taki był program „przerzeźbienia dusz i serc” czy program dla absolwentów „Jak żyć prawdą”. Na konferencjach czwartkowych rozważano najważniejsze problemy współczesności, mówiono o prawach człowieka, odkłamywano historię narodową. Zapraszano ciekawych prelegentów, jak choćby prof. Władysława Bartoszewskiego czy prof. Tomasza Strzembosza. Jeszcze nie było „Solidarności”, gdy w kwietniu 1980 r. o. Honoriusz odprawił Mszę św. za ofiary Katynia. W środy dyskutowano o tym „jak być chrześcijaninem dziś”, a w piątki, przy świecach, śpiewano i słuchano poezji. Wspólne wycieczki, w początkowym okresie organizowane jeszcze konspiracyjnie, służyły też wymianie myśli i kształtowaniu charakterów. Wyjazdy kończyły się zwykle lekcją żywego patriotyzmu i wierności wartościom w kwaterze Szarych Szeregów na warszawskich Powązkach. Wspólnie śpiewano pieśni patriotyczne i *Boże, coś Polskę*.

Skupiona wokół o. Honoriusza grupa aktorów scen poznańskich przygotowywała spektakle według Karola Wojtyły, Czesława Miłosza i innych mało znanych wtedy wybitnych twórców. Tworzyły one niezwykle klimat, przyciągający liczną, głęboko przeżywającą te przedstawienia widownię.

Od 1976 r. coraz wyraźniej przejawiała się opozycyjna działalność duszpasterstwa. Wrazem jej była m.in. msza św. za zamordowanego działacza Komitetu Obrony Robotników, krakowskiego studenta Stanisława Pyjasa, i pokazany w wąskim gronie film z jego pogrzebu. Kolportowano także wydawane poza cenzurą ulotki i pisma, np. warszawski „Głos”.

W 1978 r. ukazał się pierwszy numer nielegalnej „Przystani” (do czasów stanu wojennego ukazało się 25 numerów). To pismo miało budzić „twórczy niepokój umysłów i serc”, chęć poszukiwania prawdziwych wartości oraz uczyć odróżniania prawdy od fałszu, pogłębiać wiarę i refleksję religijną, a przede wszystkim szerzyć ideę ofiarnej miłości, bo, jak pisał o. Honoriusz w pierwszym numerze: „[...] jesteśmy nie po to dla siebie, aby być obsłużonym – ale służyć, nie aby być kochanym – ale kochać, nieść nadzieję tam, gdzie jest samotnie, pusto i źle”. Te ideały urzeczywistniał „Bank serc”, organizujący pomoc dla potrzebujących.

Działania duszpasterstwa bacznie śledziły powołane do tego służby. W opinii Wydziału do spraw Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu uznano je za wrogie i szczególnie niebezpieczne, jako że prowadzili je duszpasterze akademicki.

W sierpniu 1980 r. grupa poznańskich intelektualistów wystosowała list do strajkujących stoczniowców, popierający ich postulaty. Widnieją na nim podpisy dwóch poznańskich dominikanów: o. Aleksandra Hauke-Ligowskiego i o. Honoriusza Kowalczyka.

Okres „Solidarności” to czas pełnej entuzjazmu współpracy duszpasterstwa akademickiego z powstającym związkiem, zwłaszcza z komisjami zakładowymi wyższych uczelni. Nawiązano serdeczne więzi z robotnikami i z rolnikami. Bliskiego współpracownika o. Honoriusza w duszpasterstwie akademickim, o. Tomasza Alexiewicza, zaproszono na Zjazd Delegatów Komisji Zakładowych NSZZ „Solidarność” Regionu Wielkopolska. Nie przypadkiem też właśnie Mszą św. u dominikanów zapoczątkowano działalność Wszechnicy Robotniczej NSZZ „Solidarność”. W kościele odbywały się niektóre jej wykłady. Msza św. u dominikanów poprzedziła również zjazd niezależnych organizacji rolniczych, na którym utworzono ogólnopolski NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych. Ojcowie wyraźnie przestrzegli wówczas uczestników przed możliwością „prowokacyjnego skłócenia delegatów”.

Wokół duszpasterstwa skupiła się grupa młodych ludzi, pragnących odrodzić ruch harcerski według starych, przedwojennych ideałów.

Wspieraną także niezależną działalność młodzieży szkół średnich, szczególnie akcję umieszczania krzyży w szkołach. Uroczyste wręczenie przywiezionych z Rzymu, pobłogosławionych przez Ojca Świętego krzyży odbyło się podczas Mszy św. w październiku 1981 r. Opiekunem tej młodzieży był o. Jan Góra.

Nadal owocnie działała grupa aktorów związanych z duszpasterstwem. Powstał niezależny Teatr im. Andrzeja Jawienia. Coraz szersza publiczność mogła poznać utwory „wyklęte” przez władze. W listopadzie zorganizowano w kościele Tydzień Kultury Polskiej.

Szczególne jednak była rola duszpasterstwa w czasie strajków studenckich w lutym, listopadzie i grudniu 1981 r. Ojcowie odwiedzali strajkujących, troszczyli się o ich potrzeby, także te materialne. Prowadzili serdeczne rozmowy, wspierali, spowiadali, odprawiali Msze św. Jeden ze studentów zapamiętał: „[...] przyszedł na strajk z temperaturą 39°C. Nikt nie chciał nam wtedy mszy odprawiać, a Honoriusz przyszedł. Odprawiał po trzy msze dziennie dla strajkujących studentów”.

Wspólnie z całym miastem ojcowie dominikanie przeżywali chwile tragiczne, gdy po zamachu na Ojca Świętego tłumy przybywały do kościoła, by czuwać na modlitwie, i radosne, jak odsłonięcie Pomnika Poznańskiego Czerwca 1956 r., gdy na placu, który w latach pięćdziesiątych nosił imię Józefa Stalina, stanęły dwa krzyże. Towarzystwa temu wielka patriotyczna i religijna manifestacja.

Głaz bodzący morze...

Tragedia stanu wojennego najlepiej unaoczniała, czym dla miasta stał się klasztor i kościół ojców dominikanów. Tu od pierwszych godzin przybiegali ci, których dotknęło nieszczęście – po radę, pomoc, dobre słowo wreszcie. Tu też skupili się ci, którzy chcieli pomagać, tworząc Ośrodek Pomocy Represjonowanym; kierowała nim Łucja Łukasiewicz. Skupieni w nim ludzie udzielali nie tylko pomocy materialnej, ale także prawnej i medycznej. Dokumentowali przypadki represji. Docierali do więzień i ośrodków internowania, pośrednicząc przy tym w wymianie korespondencji i grypsów. Współpracownicy ośrodka także ciężko pracowali fizycznie przy rozładowywaniu ciężarówek z darami, przygotowywaniu paczek, dostarczaniu ich potrzebującym. Pomagali im ofiarnie bracia nowicjusze. Cały parter, sale duszpasterstwa i piwnice stały się magazynami. Nad wszystkim czuwali ojcowie, przede wszystkim o. Honoriusz. Wystuchiwali, pocieszali, dodawali odwagi, udzielali rad w trudnych nieraz sytuacjach moralnych (podpisanie tzw. lojalki, zażalenie się w śledztwie itp.).

Msze św. przyciągały tłumy. Ludzie byli spragnieni słów krzepiących, a jednocześnie mądrych. Dominikanie stali się dla wielu najważniejszym autorytetem kształtującym postawę i opinie. Ojcowie z wielką odpowiedzialnością przyjęli ten ciężar. Mówili w imieniu tych wszystkich, którym odebrano swobodę wyrażania poglądów. Mówili bez nienawiści, ale też bez uciekania się do półprawd. Słowa padające od ołtarza były jednak nie do przyjęcia dla władz. Za kazanie wygłoszone wieczorem 13 grudnia 1981 r. zatrzymano, a następnie internowano o. Tomasza Alexiewicza. Mimo to ojcowie nie uchylali się od przyjmowania niewygodnych dla władz intencji mszalnych. Odprawiali więc Msze św. za ojczyznę, w intencji „cierpiących za sprawiedliwość”, zwolnionych rektorów wyższych uczelni, świata pracy, w obronie krzyży w szkołach, Mszę św. żałobną za ks. Jerzego Popiełuszkę i dziękczynną za Pokojową Nagrodę Nobla dla Lecha Wałęsy. Odbywały się msze w święta narodowe, rocznice zbrodni katyńskiej, Poznańskiego Czerwca, powstania „Solidarności” itp. Ogromne wrażenie robiły zwłaszcza homilie o. Angelika Jarosza i o. Kaliksta Suszyłło. Tłumy uczestniczyły też w rekolekcjach adwentowych i wielkopostnych. Kościół wielokrotnie otaczały kordony zomowców, wychodzących ludzi legitymowano, a nawet bito. Będąc poza jurysdykcją arcybiskupią, dominikanie mogli nie podporządkować się formalnemu zakazowi przyjmowania intencji mszalnych o charakterze politycznym, jaki w stanie wojennym wydał abp poznański Jerzy Stroba.

Oddziaływanie dominikanów już w czasach „Solidarności” wykroczyło poza krąg inteligencji. W trudnych latach stanu wojennego garnęli się do nich i robotnicy, i rolnicy. Tworzyły się wspólnoty wzajemnie się wspomagające. Nie do przecenienia była np. pomoc żywnościowa świadczona przez rolników rodzinom uwięzionych czy wyrzuconych z pracy.

Boże Dziecię
błogosław szczególnie tym,
którzy cierpią dla sprawiedliwości
i tym, którzy biorą na siebie odpowiedzialność
za dobro Ojczyzny.



O. Honoriusz H. Kowalczyk OP

Poznań — Boże Narodzenie 1982

Zaproszenie na spotkanie opłatkowe podpisane przez o. Honoriusza, 1982 r.

W 1982 r. na prośbę studentów i pracowników uniwersytetu zorganizowano niezależne absolutoria¹. Jednocześnie cały czas trwała normalna praca duszpasterska. Kolejne pokolenia studentów i absolwentów podejmowały trud kształtowania swoich charakterów i pogłębiania wiary. Wokół o. Tomasza Alexiewicza powstała wspólnota oazowo-charyzmatyczna „Jerozolima”. O. Tomasz Pawłowski, który wrócił do Poznania po śmierci o. Honoriusza (1983 r.), oparł swoją pracę duszpasterską m.in. na tzw. grupach przewodnickich².

Kościół stał się znów miejscem konferencji i wykładów. Głosili je m.in. prof. Janusz Ziółkowski, prof. Zofia Trojanowiczowa, prof. Jerzy Holzer, prof. Jarosław Maciejewski, prof. Klemens Szaniawski, ks. bp Ignacy Tokarczuk, o. Jacek Salij, o. Jan Kłoczowski i wielu innych. W sali duszpasterstwa odbywały się spotkania dyskusyjne. Gościli na nich m.in. prof. Władysław Bartoszewski, prof. Tomasz Strzembosz, Stanisław Broniewski „Orsza”, gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, Zbigniew Herbert, Roman Brandstaetter. W maju 1988 r. odbył się w kościele cykl wykładów o tematyce ekologicznej, związany z falą protestów przeciwko planom budowy elektrowni atomowej w Klempiczu.

Wokół dominikanów skupiało się też niezależne życie artystyczne. Odbywały się przedstawienia, wieczory poetyckie, występy chórów, wystawy. Z pewnością w pamięci pozna-

¹ Niezależne absolutoria zostały zorganizowane na prośbę studentów polonistyki i biologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza, którzy nie chcieli uczestniczyć w absolutoriach zwołanych przez nowe władze uczelni. Gośćmi studentów i ojców byli odwołani przez władze demokratycznie wybrani wiosną 1981 r. rektorzy uniwersytetu, profesorowie Janusz Ziółkowski i Jarosław Maciejewski, oraz przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy UAM, dr Maciej Henneberg.

² Grupy przewodnickie liczyły do kilkunastu osób. Po około rocznej pracy skierowanej na wewnętrzny rozwój duchowy i kształtowanie formacji religijnej uczestników członkowie grup podejmowali pracę apostołską na zewnątrz, tzn. tworzyli własne grupy, których byli przewodnikami. Opieką duchową, pomocą, radami służył im cały czas duszpasterz akademicki.

niaków pozostały wstrząsające w swej wymowie bożonarodzeniowe żłobki i wielkanocne Groby Pańskie projektowane przez Bolesława Musierowicza.

Poznańscy członkowie organizacji konspiracyjnych lat drugiej wojny światowej wybrali krąganki kościoła na swoiste Mauzoleum Polski Walczącej. Za zgodą o. przeora Aleksandra Hauke-Ligowskiego umieszczono na ich ścianach wiele pamiątkowych tablic.

Oprócz wymienionych działań, niemiłych władzom, ale utrzymujących się w granicach legalności, była jeszcze, głęboko ukryta, sfera czysto konspiracyjna. W klasztorze łączyły się nici różnych ośrodków podziemnych, ludzie szukali ze sobą kontaktu. Przekazywano informacje, dostarczano prasę. W przychodzących z zagranicy darach znajdowały się czasem ukryte materiały drukarskie, np. farba czy woskówki³. Pracownicy Ośrodka Pomocy dbali, by trafiły one dyskretnie do właściwych rąk.

Znaczenie dominikanów dla podtrzymywania ducha poznaniaków doskonale rozumiały władze oraz SB. Informacje o „negatywnym wpływie” ojców pojawiają się często w opracowaniach Sekretariatu Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Poznaniu. Byli oni inwigilowani, zywani na przesłuchania. „Nieznani” rozmówcy telefoniczni próbowali ich zastraszyć. Toteż kiedy w niewyjaśnionych okolicznościach doszło do wypadku samochodowego, w którym śmiertelnie ranny został o. Honoriusz, większość poznaniaków nie miała wątpliwości, kto był sprawcą. Trzy tygodnie walki lekarzy o jego życie, trzy tygodnie modlitw i czuwania wytworzyły niezwykłą więź między poznaniakami a dominikanami. Pogrzeb o. Honoriusza (12 maja 1983 r.), w którym uczestniczyły tysiące ludzi, stał się manifestacją tej więzi.

Z biegiem lat, w miarę pogarszania się sytuacji gospodarczej i coraz wyraźniejszego rozpadu systemu, władza zaczęła nieco liberalizować surowe ograniczenia. Stopniowo coraz więcej działań można było prowadzić jawnie. Pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęła narastać fala otwartych protestów i strajków. Dominikanie włączyli się wtedy w organizowanie pomocy dla strajkujących robotników w Poznaniu i innych ośrodkach w kraju. Jedną z ostatnich tego typu akcji było wsparcie udzielone studentom w zablokowanym przez ZOMO budynku Collegium Maius. Miesiąc później – w niedzielę 16 kwietnia 1989 r. – dominikańska „twierdza” za metalową bramą była świadkiem ukonstytuowania się poznańskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”.

Dzisiaj

W samym centrum Poznania, za wysokim białym murem, za masywną metalową bramą jest obszar, który od sześćdziesięciu z górą lat świadczy, że wolność zewnętrzna może być tak naprawdę oceniona i wykorzystana tylko przez człowieka wolnego wewnątrz, że o tę wewnętrzną wolność trzeba zabiegać przede wszystkim. Jakże aktualnie brzmią słowa o. Honoriusza z 15 lutego 1983 r.: „Jeżeli się ma czyste sumienie, to można patrzeć z podniesioną głową [...] na każdą sytuację. [...] Jest to sprawa właśnie naszego wnętrza. Bo człowiek z siebie emanuje dobro lub emanuje zło. [...] I to jest chyba najstuszniejsza racja stanu [...] – czyste sumienie w każdej sytuacji”.

Wykorzystano:

Poznańscy Dominikanie, oprac. T. Dostatni, Poznań 1997.

Dusz Pasterz. Ojciec Honoriusz Stanisław Kowalczyk OP (1935–1983), red. S. Borowczyk, Poznań 2000.

E.R. Dabertowa, „Solidarność” Wielkopolska 1980–1989. *Kalendarium*, Poznań 1996.

Akta Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Archiwum Państwowym w Poznaniu (sygn. 1174, 3186, 3199, 3202).

Prasa podziemna wydawana w Poznaniu.

³ Były to matryce pokryte specjalnym woskiem. Utrwalony na nich ręcznie lub za pomocą maszyny do pisania tekst można było następnie drukować na tzw. ramce lub powielaczu.

„NASZA SŁUŻBA TRWA”

W lutym 1987 r. w Toruniu w piwnicy jednej z kamienic przy ul. Kopernika zawiązał się Klub Historyczny przy toruńskim Oddziale Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego (ZK-P).

Była to inicjatywa Elżbiety Zawackiej, która już od końca lat sześćdziesiątych, chcąc ocalić od zapomnienia i zakłamania oraz uchronić przed propagandą komunistyczną pamięć o Polskim Państwie Podziemnym, zbierała relacje i wszelkie materiały historyczne dotyczące Armii Krajowej na Pomorzu i Wojskowej Służby Kobiet.

Elżbieta Zawacka „Zo” była od października 1939 r. żołnierzem Służby Zwycięstwu Polski-Związku Walki Zbrojnej-Armii Krajowej (SZP-ZWZ-AK), kurierką Komendy Głównej do Berlina, zastępcą kierownika Wydziału Łączności Zagranicznej Oddziału V Komendy Głównej AK „Zagroda”, następnie emisariuszką do sztabu Naczelnego Wodza w Londynie, skąd do kraju wróciła – jako jedyna kobieta „cichociemna” – drogą powietrzną, skacząc na spadochronie. Uczestniczyła w Powstaniu Warszawskim. Została dwukrotnie odznaczona Krzyżem *Virtuti Militari*¹ i pięciokrotnie Krzyżem *Walecznych*. Po wojnie, nie chcąc pogodzić się z rządami komunistów, kontynuowała jeszcze przez rok niepodległościową działalność w strukturach Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj i Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość”. W 1951 r. za utrzymywanie kontaktów z emigracją londyńską została aresztowana przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, następnie skazana wyrokiem sądowym na dziesięć lat więzienia². Po wyjściu na wolność w 1955 r. uznała, że ważną formą oporu wobec powojennej rzeczywistości może być zachowanie pamięci o żołnierzach AK.

Zaczęła indywidualnie docierać do koleżanek z przedwojennego Przystosowania Wojskowego Kobiet i Wojskowej Służby Kobiet, namawiając je do spisania wspomnień z lat konspiracji. Mieszkając jeszcze w Gdańsku, organizowała raz w miesiącu tzw. „niedziele prywatek”, poświęcone historii PWK. W jej prywatnym archiwum było coraz więcej relacji, zawierających nazwiska uczestników różnych pomorskich organizacji podziemnych z okresu okupacji niemieckiej. „Zo”, mimo odmów składania relacji przez niektórych zniechęconych kombatantów, docierała do coraz to nowych osób, które okazywały jej wsparcie w zbieraniu informacji o konspiracyjnej przeszłości. Jej celem było dotarcie do jak największej liczby uczestników walki niepodległościowej, nie tylko do dowódców i wybitnych konspiratorów, ale także do tych, których udział w konspiracji był niewielki czy nawet epizodyczny.

Konfiskata

Jako samodzielny pracownik naukowy, najpierw gdańskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, następnie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, specjalista w zakresie kształcenia dorosłych, rozumiała od samego początku, że samo gromadzenie relacji o konspiracji pomorskiej, AK i wojennej służbie Polek to za mało. W połowie lat siedemdziesiątych zaczęła przygotowywać monografię „Zagrody” – komórki łączności zagranicznej KG AK. Latem 1976 r. udało się jej wyjechać do Londynu. Rektor UMK poświadczył jej wyjazd służbo-

¹ Pierwszy raz w 1943 r. za skok spadochronowy, drugi raz w 1944 r. za działalność w „Zagrodzie”.

² Fundacja „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej” w Toruniu, Teczka osobowa Elżbiety Zawackiej. Napisano kilka biogramów i życiorysów Elżbiety Zawackiej, ostatnio ukazało się wydawnictwo jubileuszowe *Elżbieta Zawacka „Zo”, Toruń 1999*.

wy. „Zo” przez dwa miesiące prowadziła poszukiwania materiałów historycznych związanych z „Zagrodą” w archiwum Studium Polski Podziemnej i Muzeum gen. Władysława Sikorskiego. Podczas tego pobytu sporządziła trzy teczki notatek i fotokopii z kilkuset dokumentów. Jednak nigdy nie było jej dane wykorzystać tych informacji. Zaraz po powrocie do Polski, 10 września 1976 r., w porcie lotniczym Warszawa Okęcie Urząd Celný skonfiskował jej wszystkie przywiezione z Anglii materiały historyczne. Wśród zarekwirowanych księzek oprócz pozycji dotyczących historii AK, takich jak: *Armia Krajowa w dokumentach*, *Drogi Cichociemnych*, *Armia podziemna*, były też całkiem „niewinne” tytuły: *Panorama kaszubsko-pomorska*, *100 lat historii Towarzystwa Zana*, *Plebiscyt i powstania na Górnym Śląsku*, a także parę numerów paryskiej „Kultury”. Nie odzyskała utraconych notatek i księzek, pomimo zabiegów o ich zwrot nawet u prokuratora generalnego PRL. Uznano je za szkodliwe dla interesów PRL.

Represje i szykany

Opracowanie dziejów „Zagrody” i wydanie planowanej na lata 1978–1980 rozprawy naukowej stało się więc niemożliwe. Wiadomość o konfiskacie „zakazanych” materiałów przekazano do władz UMK w Toruniu i tamtejszej jednostki Służby Bezpieczeństwa. Rozpoczęły się szykany i prześladowania. Polski Komitet UNESCO w Warszawie nie zatwierdził kandydatury Elżbiety Zawackiej na szefa mającego powstać w Toruniu Polskiego Ośrodka Naukowo-Informacyjnego w zakresie kształcenia zdalnego, pomimo że była ona rekomendowana imiennie przez Międzynarodową Radę Kształcenia Korespondencyjnego (ICCE). W konsekwencji nie powołano planowanego ośrodka. Władze UMK opracowały strukturę mającego właśnie powstać Instytutu Pedagogiki bez planowanego wcześniej Zakładu Andragogiki³, którym miała kierować Elżbieta Zawacka. Przez dwa lata pracowała nad stworzeniem od podstaw tego zakładu, przygotowała zespół doktorantów i magistrantów.

SB dokuczała Elżbiecie Zawackiej także w sposób bardziej bezpośredni, począwszy od założenia jej kwestionariusza ewidencyjnego o kryptonimie „Historyk”. Nękanie ją telefonami, nie dostarczano przesyłek pocztowych. Funkcjonariusze SB nachodzili jej mieszkanie, przeprowadzali rozmowy z rodziną i sąsiadami. W październiku 1976 r. wezwano Zawacką na komisariat, przeprowadzono kilkugodzinne przesłuchanie, podczas którego pięciu ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy SB dokonało rewizji w jej mieszkaniu i złożyło podstęp. Na skutek tych szykan i pozbawienia możliwości wykonywania umiłowanej pracy „Zo” zachorowała na serce i postanowiła przejść w 1978 r. na wcześniejszą emeryturę⁴. Wówczas toruńska SB zaniechała dalszej inwigilacji z uwagi na „zły stan zdrowia i podeszły wiek” Zawackiej.

Szykany, jakich doświadczyła od władz PRL, nie zniechęciły jej. Po przejściu na emeryturę cały swój czas poświęciła historii AK i WSK. Z wielką pasją gromadziła i opracowywała materiały do dziejów konspiracji pomorskiej i służby kobiet w latach 1939–1945.

W latach 1978–1984 Elżbieta Zawacka zabiegała w Komisji Weryfikacyjnej Kola Żołnierzy AK w Londynie o przyznanie odznaczeń Krzyża Armii Krajowej⁵ 546 żołnierzom Pomorskiego Okręgu AK i osobiście pośredniczyła w ich przekazywaniu. Swoje działania musiała skrzętnie ukrywać. Listy wysyłane do Londynu ginęły, dlatego każdy z nich sporządzała w czterech kopiach i wysyłała na cztery różne adresy. Z odznaczeniami docierała do kombatantów osobiście lub za pośrednictwem zaufanych osób.

³ Andragogika – jedna z nauk pedagogicznych, zajmująca się zagadnieniami kształcenia i wychowania osób dorosłych; teoria oświaty dorosłych.

⁴ Archiwum UMK w Toruniu, K-23/217, Akta doc. dr Elżbiety Zawackiej. Dopiero powstała w 1981 r. na UMK Nadzwyczajna Senacka Komisja do spraw rehabilitacji doznanych krzywd moralnych pracowników uczelni w minionym okresie wyraziła ubolewanie z powodu szykan, jakich doznała Elżbieta Zawacka.

⁵ Ustanowiony przez ostatniego dowódcę AK gen. Tadeusza „Bora” Komorowskiego 1 VIII 1966 r.

Szansa 1980 r. i stan wojenny

Elżbieta Zawacka, korzystając z szansy, jaką stworzył rok 1980, od razu zaangażowała się w organizowanie pierwszych struktur kombatanckich byłych akowców. Weszła w skład prezydium Rady Głównej Kombatanatów AK powstałej w Gdańsku przy NSZZ „Solidarność”, ponadto kierowała pracami Komisji Historycznej w tej radzie. Jednocześnie wybrano ją na przewodniczącą Rady Kombatanckiej przy Regionie Toruńskim NSZZ „Solidarność”, do której powstania aktywnie się przyczyniła.

Stan wojenny brutalnie przerwał podjęte inicjatywy, środowiska kombatanckie musiały zawiesić swoją legalną działalność i przejść do konspiracji. 13 grudnia 1981 r. funkcjonariusze SB i MO nie zastali Elżbiety Zawackiej w jej mieszkaniu. Przed internowaniem „Zo” uratował pobyt w sanatorium. Po powrocie do Torunia wspierała działalność podziemną, była stałym odbiorcą „bibuły”. Teraz więcej czasu poświęcała na opracowywanie już zebranych materiałów i pozyskiwanie nowych relacji od kombatanatów.

Elżbietą Zawacką ponownie intensywnie zaczęła interesować się toruńska SB, w której dokumentach znajduje się kolejny – założony wówczas – kwestionariusz ewidencyjny o kryptonimie „Penelopa”. Funkcjonariuszy SB niepokoiły kontakty Zawackiej z byłymi żołnierzami AK oraz jej działalność opozycyjna, a szczególnie to, że była jednym z inicjatorów powołania Społecznego Stowarzyszenia Obrony Praw Człowieka w Toruniu⁶.

Legalizacja Klubu Historycznego

Od połowy lat osiemdziesiątych w Toruniu odbywały się spotkania, na których podejmowano zakazane tematy. W prywatnych mieszkaniach organizowano wykłady w ramach Wszechnicy „Solidarność”, podczas których poruszano zagadnienia z dziedziny kultury, polityki i historii⁷. Jednym z wykładowców tego „latającego uniwersytetu” była Elżbieta Zawacka. Przekazywała tam swoją wiedzę o konspiracji akowskiej i Polskim Państwie Podziemnym na Pomorzu. Zetknęła się wówczas ponownie z Józefem Rybickim – legendarnym dowódcą AK, szefem WiN okręgu warszawskiego, członkiem Komitetu Obrony Robotników, który wygłosił jeden z wykładów „uniwersytetu latającego”.

W połowie lat osiemdziesiątych powiększyło się grono osób zainteresowanych dziejami konspiracji, „powstała nagła potrzeba – wspomina Elżbieta Zawacka – przyspieszenia pracy, znalezienia droższych do ogółu jeszcze żyjących konspiratorów i wtedy pojawił się pomysł powołania Klubu Historycznego”. Trzy miesiące przed formalnym zawianiem się klubu, 11 listopada 1986 r., w kościele pw. Najświętszej Marii Panny w Toruniu odsłonięto pierwszą na Pomorzu tablicę upamiętniającą AK. Inicjatorami tego wydarzenia byli – oprócz Elżbiety Zawackiej – Zbigniew Mówka i Jan Wyrowiński, związani z Zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim. 26 lutego 1987 r. odbyło się pierwsze zebranie Klubu Historycznego, formalnie działającego przy toruńskim Oddziale Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Inicjatywę Elżbiety Zawackiej wsparło kilku pracowników naukowych UMK. ZK-P było jedynym legalnie działającym stowarzyszeniem, które odważyło się objąć swoim patronatem Klub Historyczny.

Siedziba Klubu Historycznego znajdowała się w niewielkim dwupokojowym mieszkaniu jego przewodniczącej – Elżbiety Zawackiej. Tam też w każdy wtorek kontynuowano prace archiwalne, mające na celu porządkowanie i opracowywanie zbiorów zawierających relacje i dokumenty dotyczące konspiracji pomorskiej i Wojennej Służby Kobiet, od lat gromadzonych przez „Zo”. Uzupełniano te zbiory o kolejne relacje i nazwiska. Zaczęto także rozwijać działalność popularyzującą historię Polskiego Państwa Podziemnego na Pomorzu. Organizowano otwarte zebrania, początkowo najczęściej w piwnicy jednej z toruńskich kamienic, na których w formie referatów wprowadzających do dyskusji omawiano tematy

⁶ AIPN, Kartoteka byłego Biura „C”.

⁷ O „latającym uniwersytecie” w Toruniu pisze W. Polak, *Najtrudniejsze egzaminy. Niezależne Zrzeszenie Studentów Uniwersytetu Mikołaja Kopernika na tle wydarzeń w kraju i w Regionie (1980–1982)*, Toruń 2001, s. 324.

związane z walką podziemną na Pomorzu, następnie w czasie dyskusji kombatanci opowiadali o swoich przeżyciach. Poruszano m.in. takie zagadnienia jak partyzantka w Borach Tucholskich i działalność AK. W poszczególnych inspektoratach Okręgu Pomorskiego przybliżano sylwetki pomorskich dowódców AK. W comiesięcznych spotkaniach Klubu Historycznego uczestniczyło każdorazowo po kilkadziesiąt osób.

Prowadzono też działalność mającą na celu upamiętnienie osób i wydarzeń związanych z konspiracją. Ufundowano kolejną tablicę pamiątkową, tym razem poświęconą Inspektoratowi Toruń AK, kryptonim „Gospodarstwo”, którą odstonięto w kościele pw. Matki Boskiej Zwycięskiej 27 września 1987 r. Ustanowiono Pamiątkową Odznakę Okręgu Pomorskiego AK; otrzymał ją każdy kombatant, który złożył relację z działalności konspiracyjnej. Delegacje klubu uczestniczyły w pogrzebach dawnych towarzyszy broni. Wydawano też zaświadczenia potrzebne w staraniach o przyznanie uprawnień kombatanckich. Jedną z form spędzania wolnego czasu były wspólne wycieczki szlakami oddziałów partyzanckich po Borach Tucholskich. Starano się stworzyć wśród kombatantów rodzinną atmosferę.

Od listopada 1988 r. zaczęto wydawać „Biuletyn Klubu Historycznego”, który kolportowano wśród członków i sympatyków klubu. Jego redaktorem zastał biolog, doc. Leszek Michalski, pracownik naukowy UMK. Na łamach „Biuletynu” informowano o pracy i planach klubu, umieszczano wspomnienia i przyczynki historyczne.

Początki Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej

W atmosferze zbliżającego się przełomu politycznego końca lat osiemdziesiątych w środowisku toruńskich kombatantów pojawił się pomysł powołania stowarzyszenia skupiającego byłych żołnierzy AK z całej Polski. W listopadzie w realizacji tego pomysłu Elżbietę Zawacką wsparło trzech profesorów UMK: prawnik Jan Łopuski, historyk Stanisław Salmonowicz i archiwista-historyk Andrzej Tomczak. W listopadzie i grudniu 1988 r. w mieszkaniu Elżbiety Zawackiej odbyło się wiele narad, na których ułożono tekst apelu o powołanie planowanego stowarzyszenia i napisano projekt statutu przyszłej organizacji. Apel opublikowano w prasie ogólnopolskiej. Spotkał się on z odzewem kombatantów z całej Polski. Propozycja uzyskała poparcie czołowych przedstawicieli środowisk akowskich w kraju, przede wszystkim byłych oficerów AK. Do zebrania założycielskiego Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej doszło już 11 marca 1989 r. w Warszawie w sali kościoła pw. św. Andrzeja Boboli, a dziesięć dni później w Toruniu powstał tymczasowy Zarząd Oddziału Pomorskiego. 26 maja 1989 r. Sąd Wojewódzki w Warszawie zarejestrował stowarzyszenie⁸.

Na początku 1989 r. w całym kraju rozpoczęły się coraz śmielsze dyskusje o pierwszych latach Polski Ludowej, w coraz bardziej otwarty i zdecydowany sposób potępiano stalinizm. Na jednym ze spotkań Klubu Historycznego, 27 lutego 1989 r., uchwalono akt abrogacji⁹. Potępiając zbrodnie lat 1945–1956, domagano się wznowienia procesów sądowych w sprawach politycznych, w których niewinnie osądzono bohaterów walki podziemnej, gdy ich jedyną winą był sprzeciw wobec nowej rzeczywistości narzuconej przez Sowieć. Domagano się ponownego rozpatrzenia wydanych orzeczeń i społecznej kontroli procesów rehabilitacyjnych. Na tym samym posiedzeniu za patrona klubu przyjęto Antoniego Antczaka, wojewodę pomorskiego, represjonowanego po wojnie, zmarłego tragicznie – zamęczonego 31 sierpnia 1952 r. w więzieniu we Wronkach. W pięćdziesiątą rocznicę utworzenia SZP, w dniach 27–28 września 1989 r. w Toruniu – w ramach spotkań Klubu Historycznego – zorganizowano pierwszą sesję popularnonaukową poświęconą walce podziemnej na Pomorzu w latach 1939–1945. Zaprezentowano na niej wyniki badań nad historią Polskiego Państwa Podziemnego.

⁸ A. Tomczak, *Udział środowiska toruńskiego w powstaniu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej*, „Rocznik Toruński” 2000, t. 27 s. 137–145.

⁹ Abrogacja – odwołanie, zniesienie, uchylene ustawy, przepisu prawnego, wyroku (Słownik wyrazów obcych PWN, Warszawa 2000).

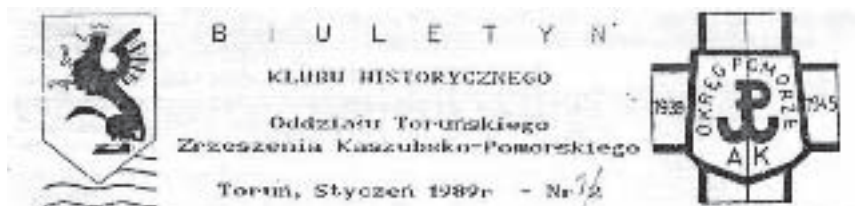
Elżbieta Zawacka uważała, że najważniejszym celem jest zorganizowanie Archiwum Armii Krajowej przy Stowarzyszeniu Żołnierzy Armii Krajowej, do którego mogłaby przekazać również swoje zbiory. Powołano Fundację Archiwum i Muzeum Armii Krajowej im. Stefana „Grotą” Roweckiego w Warszawie, niestety, nie rozwinęła ona działalności. To sprawiło, że Elżbieta Zawacka – wraz ze Stanisławem Salmonowiczem i Grzegorzem Górskim – zdecydowała się na utworzenie w Toruniu Fundacji „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej”¹⁰, która 24 kwietnia 1990 r. uzyskała osobowość prawną. Do Fundacji APAK „Zo” przekazała swoje zbiory archiwalne dotyczące dziejów: konspiracji na Pomorzu w latach 1939–1945, Wojskowej Służby Kobiet oraz „Zagrody” – Wydziału Łączności Zagranicznej KG AK. W Fundacji pracowali głównie zapalęcy, pozyskani przez Elżbietę Zawacką.

Klub Historyczny po trzech latach istnienia stał się częścią Fundacji APAK i dalej prowadził działalność w jej ramach. W każdą środę nadal odbywały się spotkania klubowe, a raz do roku, w listopadzie, organizowano sesje popularnonaukowe. Dorobkiem klubu były przygotowane do druku opracowania szczegółowych zagadnień z zakresu historii konspiracji na Pomorzu, których nie zdążono wydać w planowanych *Zeszytach Klubu Historycznego*. Materiały te stały się podstawą wydawanych przez fundację opracowań. Przez ponad dziesięć lat istnienia fundacja – prowadząc badania nad Polskim Państwem Podziemnym – wydała przeszło trzydzieści tomów, na które składają się cztery serie wydawnicze: pierwsza obejmuje pięć tomów *Słownika biograficznego konspiracji pomorskiej*, druga – materiały z sesji naukowych, trzecia – prace dotyczące wojennej służby kobiet, wydawane pod wspólnym tytułem *Służba Polek na frontach II wojny światowej*, czwarta – monografie naukowe dotyczące konspiracji na Pomorzu.

Powołanie Fundacji „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej” było możliwe dzięki wcześniejszej działalności Elżbiety Zawackiej. Fundacja przez 13 lat istnienia stała się swego rodzaju społecznym instytutem naukowym. Ma w swoim dorobku czterdzieści tomów opracowań, zorganizowała dwadzieścia dwie sesje popularnonaukowe. Było to możliwe dzięki niezwyklej osobowości Elżbiety Zawackiej i jej szczególnej umiejętności pozyskiwania do realizacji swoich planów oddanych ludzi i środków finansowych. Fundacja zawsze działała dzięki społecznej ofiarności i wsparciu życzliwych władz i instytucji.

Wyjątkowość postaci Elżbiety Zawackiej oddają słowa Kazimierza Bliskiego, pseudonim „Rum”: „„Zo« była zawsze dziwna i sądzę, że nikt nie mógł w gruncie rzeczy poznać Jej kobiecej natury. Jedno mogę powiedzieć: poznałem bardzo dokładnie Jej pełną poświęcenia pracę dla Polski i Jej kochające Kraj serce”¹¹.

Władze III Rzeczypospolitej uhonorowały Elżbietę Zawacką za jej działalność. W styczniu 1993 r. Rada Miasta Torunia nadała jej tytuł Honorowego Obywatela Miasta, w grudniu 1995 r. prezydent RP Lech Wałęsa odznaczył „Zo” Orderem Orła Białego, a w styczniu 1996 r. otrzymała tytuł profesora. Była członkiem pierwszej kadencji Kapituły Orderu Wojennego *Virtuti Militari* oraz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. W 2002 r. prezes IPN prof. dr hab. Leon Kieres przyznał jej statuetkę i tytuł Kustosza Pamięci Narodowej. Zarówno w PRL, jak i dzisiaj, w III Rzeczypospolitej, powtarzała i powtarza swoim koleżankom i kolegom kombatantom: „Nasza służba trwa!”.



¹⁰ Od 2002 r. fundacja rozszerzyła działalność o nowy dział muzealny i przyjęła nazwę „Fundacja Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Kobiet”.

¹¹ K. Bliski, „Zo” [w:] Elżbieta Zawacka „Zo”, op. cit., s. 23.

ZAKAZANE PIOSENKI'81

20–22 sierpnia 1981 r. w ramach obchodów pierwszej rocznicy podpisania porozumień sierpniowych 1980 r., z inicjatywy władz Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” i środowisk artystycznych, zorganizowano w gdańskiej hali „Olivia” I Ogólnopolski Przegląd Piosenki Prawdziwej *Zakazane piosenki*.

W skład komitetu organizacyjnego imprezy weszli przedstawiciele Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” z Lechem Wałęsą jako honorowym przewodniczącym biura festiwalowego na czele, a także Andrzej Wajda, Maciej Zembaty (dyrektor artystyczny), Jerzy Janiszewski, Andrzej Czeczot, Waldemar Banasik i Maciej Karpiński (reżyser). Jak przystało na niezależną od władz imprezę, również *Zakazane piosenki* objęto specjalną ochroną operacyjną. Trójmiejska Służba Bezpieczeństwa miała przede wszystkim zminimalizować możliwość oddziaływania na społeczeństwo „wrogich antysocjalistycznych treści”, które miały towarzyszyć festiwalowi.

Bob Dylan nawet nie odpowiedział

Kilka dni przed rozpoczęciem imprezy kierownictwo Wydziału III Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku przygotowało odpowiedni plan „zabezpieczenia operacyjnego” I Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Prawdziwej *Zakazane piosenki*. Wynika z niego, że rozmach, z jakim organizatorzy przeglądu przystąpili do organizacji imprezy, wprowadził bezpiekę w zakłopotanie. W tym czasie resort skupiał się bowiem przede wszystkim na wielkiej operacji wymierzonej w „Solidarność” o kryptonimie „Klan”, a w dodatku za parę dni czekało go nie lada wyzwanie w postaci I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”. Informacje uzyskane z biura organizacyjnego przeglądu kazały przypuszczać, że każdego dnia na koncerty przyjdzie około trzech tysięcy widzów, a do tego należało doliczyć trzystu porządkowych, dwustu wykonawców i niewiele mniej dziennikarzy. Z punktu widzenia założeń operacyjnych SB była to zatem swego rodzaju „armia ludzi”, potencjalnie „wrogo ustosunkowanych do ustroju państwa”, którą należało stosownie „zabezpieczyć”. Jedyne pociechą mogło być to, że udziału w imprezie odmówili Kris Kristofferson i Leonard Cohen, a „Bob Dylan nawet nie odpowiedział na wysłane zaproszenie”. Jednak charakter i kształt mieli nadać imprezie artyści krajowi, znani władzom z „negatywnej postawy w stosunku do obecnej rzeczywistości”. Wymieniono wśród nich Jonasza Koftę, Ewę Demarczyk, Jana Pietrzaka, Krystynę Jandę, Jacka Fedorowicza, Leszka Niedzielskiego, Jerzego Skoczylasa, Piotra Skrzyneckiego, Jerzego Stuhra, a także zespoły kabaretowe – „Elita”, „60 minut na godzinę”, „Waty Jagiellońskie” i „E – kompleks”.

Kłopotów dostarczały również zapowiedziane przez organizatorów elementy improwizacji, nadające imprezie charakter odbiegający od „dotychczas przyjętych schematów organizacyjnych”. Ponadto przygotowując festiwal, odmówiono współpracy z uznanymi instytucjami kulturalnymi, które były przecież wyspecjalizowane w organizowaniu rozmaitych imprez rozrywkowych. Dla gdańskiej bezpieki było to potwierdzenie tezy o nieprofesjonalnym charakterze przeglądu. „W związku z założonym przez organizatorów żywiołowym charakterem imprezy – czytamy w jednym z dokumentów SB – liczyć należy się z prezentowaniem utworów nieposiadających debitu komunikacyjnego, a tym samym istnieje możliwość powstania sytuacji nieprzewidzianych przez organizatorów, które mogą stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa i porządku



Scenografia Przeglądu Piosenki Prawdziwej, Gdańsk 20–22 sierpnia 1981 r.

ku publicznego. Sytuację powyższą pogłębić może specyficzny dobór widowni ukształtowany poprzez zamknięty system rozpowszechniania biletów na powyższą imprezę pośród członków »Solidarności« w zakładach pracy. Jednocześnie organizatorzy planują nagłośnienie na zewnątrz hali »Olivia«. W związku z tym należy brać pod uwagę możliwość prezentowania prowokacyjnych tekstów antypaństwowych i antyradzieckich, jak również kolportaż wrogich materiałów».

Kontrola operacyjna Zakazanych piosenek

Przeegląd Piosenki Prawdziwej „zabezpieczył” cztery wydziały KW MO w Gdańsku – II, III, III „A”, „T” i paszportów. Wydział II miał zapewnić bieżący dopływ informacji z festiwalu i ograniczyć „oddziaływanie imprezy na środki masowej informacji”. Wydziały III i III „A” zajęły się całością „zabezpieczenia operacyjnego” przeglądu. Dziewięciu funkcjonariuszy SB, wyposażonych w sprzęt, miało przez cały czas nagrywać przebieg imprezy, dokumentować wszelkie wystąpienia o charakterze „antypaństwowym i antyradzieckim” oraz „ujawniać osoby prowokujące negatywne zachowania publiczności”. Utrzymywali oni stały kontakt z pracownikiem Wydziału „B”, „zaopatrzonego w środki łączności bezprzewodowej”. Wydział „B” zakładał podsłuchy i kamery w hotelach, w których zatrzymywali się przyjezdni goście. Technika operacyjną objął też halę „Olivia”, a w razie potrzeby przekazywał również informacje (fotografie) na temat osób „zachowujących się prowokacyjnie”. Całością operacji dowodził sam zastępca naczelnika Wydziału III KW MO w Gdańsku, mjr Jerzy Domski.

Określona atmosfera imprezy

I Ogólnopolski Przegląd Piosenki Prawdziwej *Zakazane piosenki* rozpoczął się 20 sierpnia 1981 r. Na festiwal złożyły się trzy pięciogodzinne programy artystyczne prezentowane przez trzy kolejne dni. Imprezę podzielono na dwie części: konkursową, w której wykonawcy ubiegali się o nagrody złotego, srebrnego i brązowego „Knebla”, oraz część, podczas której odbywały się koncerty zespołów muzycznych, występy kabaretowe i wręczanie nagród.

Organizatorzy przeglądu zadbałi o odpowiednią oprawę imprezy, którą podkreślał zwłaszcza wystrój sceny w hali „Olivia”. Tak pisali o tym funkcjonariusze SB: „W celu stworzenia określonej atmosfery odpowiadającej charakterowi imprezy jej organizatorzy umieścili nad sceną

karykatury byłych przywódców partyjnych i rządowych (Bolesława Bieruta, Józefa Cyrankiewicza, Władysława Gomułki, Piotra Jaroszewicza, Edwarda Gierka), pozostawiając dwa wolne miejsca, co sugerowało miejsca dla kolejnych przywódców”. Poza tym „przed rozpoczęciem pierwszego koncertu wewnątrz obiektu rozrzucono znaczne ilości prasy codziennej krajów socjalistycznych (NRD i Czechosłowacji), która była rozdeptywana przez jego uczestników”.

W drugim dniu festiwalu sprawa karykatur oraz podeptanej „prasy codziennej krajów socjalistycznych” stała się nawet przedmiotem specjalnej rozmowy organizatorów przeglądu z wicewojewodą i prezydentem Gdańska, którzy nakazali usunąć z „Oliwii” podobizny przywódców Polski Ludowej i rozrzucone gazety. Jednak pomimo ingerencji władz w hali pojawiły się jeszcze inne „antysocjalistyczne akcenty”. Na ścianach przyklejono gazety z informacjami na temat IX Zjazdu PZPR, które przekreślono czerwoną farbą. Ponadto już w pierwszym dniu festiwalu halę oplakatowano afiszami z napisem: „Chcesz znać »Prawdę« – czytaj »Trybunę Ludu«”.

Ballady o dużym ładunku politycznym

Laureatami *Zakazanych piosenek* zostali: Jacek Zwoźniak, który wykonał utwory: *Najpiękniejsza w klasie robotniczej* i *Piosenka na wszelki wypadek*; Jacek Kaczmarski (*Świadkowie* i *Rejtan*); Małgorzata Bratek (*Kiedym stawił się* i *Modlitwa*); Maciej Zembaty (*Izba chorych* i *Brygadzysta Albin*); zespół „Pomorzanie” (*Ten grudniowy dzień* i *Mario Matko*); Zbigniew Sekulski (*List* i *Między wschodem a zachodem światła*); Jan Tadeusz Stanisławski (*Z naganem do MFR*); Aleksander Grotkowski (*Rozmowy ministra ze studentami* i *Ballada o św. Włodzimierzu*) oraz Maciej Pietrzyk (*Piosenka dla córki* i *Sierpień’80*). Nagrodę specjalną, ufundowaną przez Gdański Komitet Obrony Więzionych za Przekonania, wręczono Piotrowi Szczepanikowi i Ewie Dałkowskiej.

W swoich raportach funkcjonariusze SB nie stronili od analiz literackich zaprezentowanych utworów. Szef SB w Gdańsku, płk Władysław Jaworski, pisał nawet, że „większość przedstawionych utworów miała charakter ballad satyrycznych o dużym ładunku politycznym, powstałych spontanicznie w czasie wydarzeń grudniowych i sierpniowych. Swoistym mottem, którym rozpoczynano kolejne dni imprezy, była piosenka w wykonaniu Mieczysława Cholewy *Ballada o Janku z Gdyni* nawiązująca do wydarzeń grudniowych”. Płk Jaworski zwracał uwagę zwłaszcza na dwie zwrotki ballady Cholewy:

Huczą petardy, ścielą się gazy,
Na robotników sypią się razy,
Padają dzieci, starcy, kobiety.
Janek Wiśniewski padł.

Krwawy Kociołek to kat Trójmiasta,
Przez niego giną dzieci, niewiasty,
Poczekaj draniu, my cię dostaniem.
Janek Wiśniewski padł.

Omawiając przebieg festiwalu, bezpieka zwracała uwagę na to, że większość piosenek zawierała akcenty satyry „antypaństwowej, antypartyjnej i antyradzieckiej”. W jednym z raportów SB czytamy: „W wielu tekstach podkreślano manipulowanie Polską przez Związek Radziecki, podkreślano, iż trzymilionowa organizacja uzurpuje sobie prawa do rządzenia trzydziestotrzymilionowym narodem, że IX Zjazd PZPR był marginesowym wydarzeniem w życiu narodu. Drwiono z opieszałości prac Rządu, atakowano Mieczysława Rakowskiego i Wojciecha Jaruzelskiego”. Za szczególnie negatywne uznano zachowanie:

- Macieja Zembatego, który naśmiewał się z sejmu PRL i Albina Siwaka;
- Zbigniewa Sekulskiego, który „popularyzował radzieckich dysydentów na przykładzie Sołżenicyna”;
- Jerzego Klesyka, który miał powiedzieć, że w „Polsce istnieje jednostka prowokacji prasowej – Jerzy Urban”, a „jeden Urban równa się dwóm Siwacom”;

- Stanisława Klawe, który w jednej piosenek śpiewał: „Księżyc jak sierp na gardle, a serce wali jak młot”;
- Jana Tadeusza Stanisławskiego, który w jednej z piosenek zaatakował działacza Komunistycznej Partii Czechosłowacji tow. Lipawskiego oraz odniósł się do ewentualnej interwencji ZSRR w Polsce słowami: „Mówiła mi mama, by się nie bać chama, bo cham to jest cham i się boi sam”;
- Aleksandra Grotkowskiego, który ośmieszał Włodzimierza Lenina „przez interpretację utworu”;
- zespołu „Wały Jagiellońskie”, który w „komentarzu przed piosenką stwierdził, że Jaruzelski jest uczciwy, gdyż jak obiecał, że będzie gorzej, to z żelazną konsekwencją go realizuje”.

Za szczególnie napastliwe SB uznała głównie monologi Jacka Fedorowicza, który ośmieszał postacie Mieczysława F. Rakowskiego, Stanisława Kociołka, Stanisława Gucwy i Albina Siwaka, a ponadto stwierdził „złośliwie pod adresem PZPR, że do kształtowania świadomości politycznej powinna używać tylko dwóch środków masowej komunikacji, które kupi za swoje pieniądze, a nie środków stanowiących własność społeczną”. „Zawarł on również aluzję – pisali funkcjonariusze SB – że artykuły żywnościowe przekazywane do Polski z Zachodu przechodzą tranzytem do Związku Radzieckiego”.

Dłużyzna i monotonia

Jednak I Ogólnopolski Przegląd Piosenki Prawdziwej to nie tylko pasmo porażek SB i obśmiewania partii. Obserwatorzy przeglądu z ramienia bezpieki pocieszali swoich przełożonych w KW MO w Gdańsku, że choć na występy przychodziło każdorazowo 4–5 tys. widzów, to część z nich „na kilkanaście minut przed zakończeniem opuszczała widownię, demonstrując tym swoje niezadowolenie z jego przebiegu, a przede wszystkim dłużyzn, monotonii niektórych utworów i niesprawności organizacyjnej”.

Innym „sukcesem”, które funkcjonariusze SB postanowili odnotować, miało być to, że zazwyczaj „uzyskano wyprzedzające dane, z których wynikało, iż prezentowane na przeglądzie treści piosenek będą miały charakter napastliwy – ośmieszający władzę i ustrój socjalistyczny”. Owe wyprzedzające dane pozwoliły bezpiece podjąć określone „działania specjalne”. I moze najciekawszy fragment opisujący skuteczną walkę z ideologiczną dywersją: „W efekcie ich realizacji [„działań specjalnych” – przyp. S.C.] przez trzy kolejne dni rozkolportowano wśród uczestników przeglądu łącznie 14 tys. różnego rodzaju wierszy satyrycznych i plakatów stanowiących swego rodzaju przeciwwagę dla utworów zgłoszonych na Przegląd Piosenki Prawdziwej. Z posiadanego rozpoznania wynika, że kolportowane materiały wzbudziły zainteresowanie publiczności, były przyjmowane z dużą dozą humoru, a także miały wpływ na kształtowanie nastroju widzów”.

W dalszej części płk Jaworski w taki sposób podsumowywał imprezę, że zdawałoby się, iż okazała się ona kompletną kląpą: „Z naszego rozpoznania wynika, że pomimo dużego zainteresowania przeglądem przed jego rozpoczęciem, już po pierwszym dniu, a także w kolejnych dniach jego trwania, uwidoczniło się rozczarowanie publiczności i malejące z dnia na dzień zainteresowanie. Praktycznie poza osobami, które nabyły bilety, impreza ta nie wzbudziła większego zainteresowania i nie wywołała rezonansu społecznego, na który liczyli organizatorzy. Szczególnie dużo krytycznych opinii wywołała ona w środowisku inteligentnym, artystycznym, a nawet robotniczym. Taka ocena I Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Prawdziwej znalazła również odzwierciedlenie w komentarzach lokalnej prasy, która między innymi określa, że »[...] właściwym miejscem dla wielu produkcji byłaby tąka podmiejska«. Były też przypadki natychmiastowej reakcji publiczności w formie listu protestującego na niewybredne i niewyważone teksty prezentowane w trakcie koncertu. O bałaganie organizacyjnym świadczy dobitnie fakt sprzedaży podwójnych biletów wstępu na imprezę, co spowodowało dużo zamieszania na widowni i w konsekwencji wywołało niezadowolenie kierowane pod adresem organizatorów”.

NIE KRACZ, SŁOWIK!

„Nie kracz, Słowik!” tymi słowami, wypowiedzianymi przez Mirosława Krupińskiego do Andrzeja Słowika, zakończyło się ostatnie przed stanem wojennym posiedzenie Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” z 11–12 grudnia 1981 r. (obrady faktycznie zakończyły się 13 grudnia około godziny 0.30). Miejscem obrad była słynna sala BHP Stoczni Gdańskiej im. Lenina, w której w sierpniu 1980 r. obradował Międzyzakładowy Komitet Strajkowy i gdzie podpisano porozumienie gdańskie.

Komisja Krajowa (przed I Krajowym Zjazdem Delegatów NSZZ „Solidarność” – Krajowa Komisja Porozumiewawcza) była w czasach „polskiej rewolucji” 1980–1981 swoistym sejmem dziesięciomilionowego związku zawodowego – ruchu społecznego „Solidarność”. Siłą komisji stanowiło to, że była wówczas jedyną w Polsce w pełni demokratyczną instytucją o charakterze przedstawicielskim. W odróżnieniu od funkcjonujących urzędów państwowych PRL posiadała – za pośrednictwem struktur związkowych „Solidarności” – społeczny mandat, legitymizację. W skład komisji wchodziło: przewodniczący związku (Lech Wałęsa), przewodniczący 37 regionów oraz 69 osób wybranych przez zjazd, razem 107 osób. Według Statutu NSZZ „Solidarność” do uprawnień KK należało reprezentowanie całego związku wobec władz i organów administracji państwowej i gospodarczej, zawieranie układów zbiorowych oraz „podejmowanie decyzji o strajku o zasięgu ponadregionalnym”.

Zachowane zapisy – w formie stenogramów sporządzonych na podstawie nagrań magnetofonowych – ukazują KK jako ważne forum dyskusji, nieskrępowanej wymiany myśli i poglądów ludzi pierwszej „Solidarności”. Dzisiaj są dla historyków i socjologów niezastąpionym źródłem informacji do badań nad historią polityczną i społeczną PRL początku lat osiemdziesiątych, w tym nad obszarami wolności polskiego społeczeństwa. Znaleźć można tu „w jednym miejscu” zarówno wypowiedzi robotników z zakładów pracy, artykułowane żywym, czasami dosadnym językiem, nieograniczonym konwencją, jak też doradców związku, posługujących się tzw. językiem eksperckim, precyzyjnym w przekazie, bogatym w terminologię specjalistyczną (np. z zakresu prawa czy ekonomii).

Stąd pomysł zaprezentowania najbardziej charakterystycznych dla dramaturgii obrad cytatów z przebiegu posiedzenia ostatniej przed wprowadzeniem stanu wojennego KK (atmosfera obrad, pluralizm związkowy, władza – „Solidarność”, „porozumienie narodowe”).

Publikowane fragmenty rozmów pochodzą z drugiego, uzupełnionego wydania zapisu posiedzenia komisji – *Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”. Posiedzenie w dniach 11–12 grudnia 1981 r.* (Warszawa 2003, w druku). Pierwsze wydanie tej pozycji ukazało się w drugim obiegu wydawniczym w 1986 r., nakładem Archiwum Solidarności i Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, w opracowaniu redakcyjnym Tomasza Tabako, ze wstępem Andrzeja Paczkowskiego.

Atmosfera obrad

ANDRZEJ SŁOWIK [członek Prezydium KK, przewodniczący Zarządu Regionu Ziemi Łódzkiej] – Jak ty mówisz [słowa skierowane do Lecha Wałęsy – B.K. i G.M.], to ja cię nie lekceważyłem, dlatego też siedź jak człowiek, nie jesteś w knajpie! Proszę państwa, jeśli chodzi o sytuację, dalej mówiąc oczywiście, czy... Proszę uprzejmie, nie wygłupiaj się, bądź poważny wreszcie...

Fot. Jarosław M. Golliszewski



Zbigniew Bujak; 1980 r.

[...]
MIROŚLAW KRUPIŃSKI [prowadzący] – Proszę państwa, w takim razie proponuję prze-głosować i tę uchwałę i zadaję pytanie: kto jest za przyjęciem odczytanej uchwały? Dziękuję. Kto jest przeciwny? Dziękuję. Kto się wstrzymał? 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 – 9 głosów wstrzymujących się. Dziękuję.

Proszę państwa, komunikat nr 1 – jutro rozpoczynamy obrady o godzinie 9.00 tu, na tej sali. Prosimy się nie spóźniać, ponieważ dzisiaj, oczywiście na skutek trudności komunikacyjnych, straciliśmy prawie dwie godziny. Dziękuję państwu – idziemy na kolację.

[...]
JAN ŁUŻNY [Region Śląsko-Dąbrowski] – Ja bym chciał na początku powiedzieć tak parę słów, powiedzieć o nas tu. Ludzie, ja wiem, ja dzisiaj spał ze dwoma w hotelu, spali koło mnie i pytali, kto nas obudzi, trzeba zadzwonić. Napoczęli się obrady, mieli się napocząć o 9.00. Wałęsa był jeszcze przed 9.00. Dziwi mnie to i że my go besztamy, a on nas nie zbeształ. Do pierona jasnego, jak my mamy mieć jakiś porządek, jak my mamy robić – róbmy z rana. A nie potem przeciągać i potem wy nie [wieciej] co stary godo, ja, my so zmęczeni, za nos wszystkich odpowiadaj; my so zmęczeni, idymy do hotelu, a potem w hotelu się okazuje, że ci zmęczeni siedzą se na kawie razem z mną, bo ja nie był zmęczony wczoraj, tak to wygląda.

[...]
ZBIGNIEW BUJAK [członek Prezydium KK, przewodniczący ZR Mazowsze] – Od wczoraj obserwuję pilnie Lenina [chodzi o popiersie Lenina, stojące w rogu sali obrad – B.K. i G.M.], dziwnie mu włosy opadły. I w tej chwili jeden wniosek dla nas to wysuwa – trzeba zrobić coś, żeby to nie był jedyny wynik i skutek naszej dyskusji.

[...]
ANTONI KOPACZEWSKI [przewodniczący ZR Rzeszów] – Nie róbmy cyrku, to władza niech przyjdzie do nas i prosi nas o rozmowę, a nie my władzę. Mówiliśmy w dyskusji, że taka ma być kolejność, co wy robicie teraz? My władzę będziemy prosić, żeby ona z nami podjęła rozmowę? Tu w dyskusji mówi się przecież, że kolejność ma być odwrotna. Zastanówmy się, co my robimy! Przecież to władza tyle miesięcy wypięta na nas tyłek, do diabła!

Kołuje nas, a więc z taktycznego względu mówimy, że będziemy z nią rozmawiać, że chcemy, a generalnie walczymy – tak Lechu czy nie? No, potwierdź to, do diabła. Siedzisz jak maharadża, rozumiesz, zamiast też tu coś pracować, nie?

LECH WAŁĘSA [z sali] – Ja patrzę na wszystko.

RYSZARD BOGACZ [prowadzący] – Dziękuję. Czy jeszcze...

LECH WAŁĘSA – Proszę państwa, ja już dałem zalecenie, aby sprawdzono, co my dzisiaj jedliśmy. Dlatego popatrzmy, podyskutujmy jeszcze, a zaczniemy konstruktywnie rozmawiać. Lekarze zbadają, czy my naprawdę dobre potrawy dzisiaj jedliśmy.

[...]

MIROSŁAW KRUPIŃSKI [prowadzący] – Proszę państwa, są dwa wnioski. Wniosek pierwszy o ustalenie terminu tu, na tym posiedzeniu, i wniosek drugi o ustalenie terminu przez Prezydium KK w zależności od potrzeb.

Kto jest za tym, aby ten termin ustalić dzisiaj? 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33. Kto jest za tym, aby ten termin ustaliło prezydium? Większością głosów termin ustalamy dzisiaj.

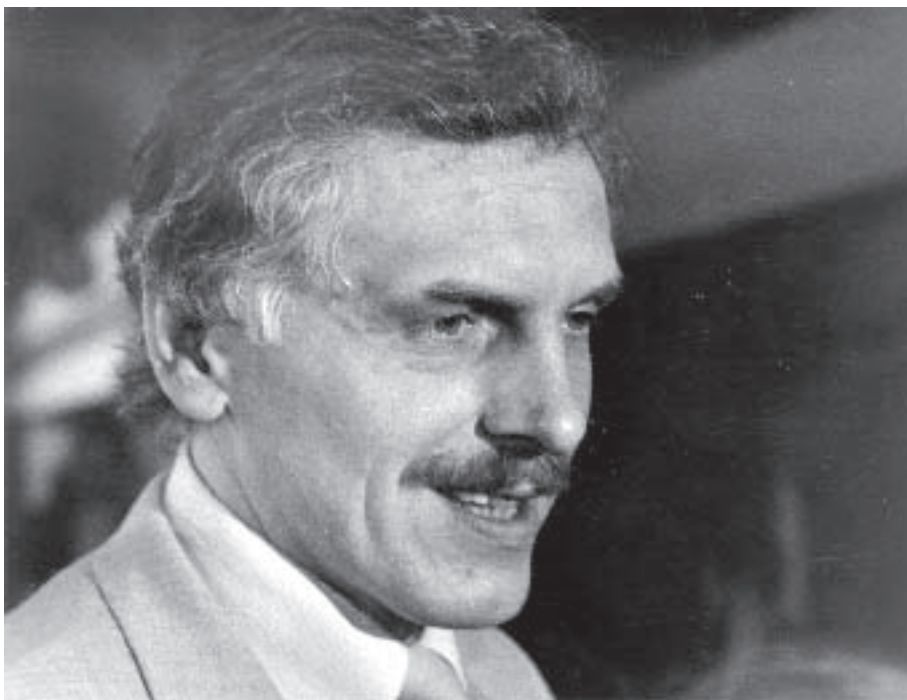
Kto jest za tym, aby tym terminem była proponowana data 21–22 [grudnia 1981 r.]? Dziękuję. Kto jest za tym, aby to była data późniejsza? Proszę państwa, z mojej oceny wynika, że większość jest za tym, aby to była data późniejsza, a więc po Świętach. Chcecie 22–23? Proszę państwa, przepraszam. Nie. Zaczynam manipulować. Zadaję jeszcze raz pytanie: kto jest za tym, aby to była data 21–22 [grudnia]? Będę liczył – 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12 to jest większość. Kto jest za tym, aby to była inna data? Dziękuję. 21 [grudnia] rozpoczyna się następne posiedzenie KK.

Pluralizm związkowy

WŁADYSŁAW SIŁA-NOWICKI [członek Rady Programowo-Konsultacyjnej Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych] – To, co teraz powiem, może będzie kontrowersyjne. Związek obrósł w rozmaite organizacje i wiele osób uważa, że „Solidarność” jest chłopcem do wszystkiego. Ja osobiście uważam, że organizacje te, zwłaszcza o charakterze politycznym, w zasadzie powinny być i działać poza zakresem naszego związku. Proszę państwa, ja tu mówię o moich przyjaciółkach, bo tu siedzą ludzie, których przez szereg lat właśnie myśmy bronili z kol. [Janem] Olszewskim, i to narażając się nawet dla siebie na różne nieprzyjemne konsekwencje; to są nasi klienci, nasi podopieczni, nasi towarzysze, ludzie w jakiś sposób nam bliscy. Niemniej ja uważam, że „Solidarność” chłopcem do wszystkiego nie jest, że organizacja czysto polityczne powinny być poza zakresem „Solidarności”. I tutaj mam bardzo wiele wątpliwości, czy taka organizacja jak np. Związek [właściwie Komitet] Obrony Więzionych za Przekonania, którego jestem członkiem – bo jestem adwokatem i ja tych ludzi najdawniej bronię – czy powinien działać w ramach „Solidarności”, jak również czy powinny działać w ramach „Solidarności” organizacje kombatanckie. To są problemy i nad tym KK, w moim przekonaniu, powinna się zastanowić.

[...]

ANDRZEJ GWIAZDA [Region Gdański] – A więc proszę, koledzy, przez ten czas – ostatni w każdym bądź razie – przegrywamy propagandowo, i to zdecydowanie przegrywamy propagandowo, a to, że ludzie wciąż nam wierzą, że jest ten kredyt zaufania, że mają prawo wyrazić swoje poglądy w tym związku i tęczą z działalnością naszego związku aspiracje, to nie powinno nam przestaniać tego faktu. Wydaje mi się, że podstawowym powodem tego, że propagandowo przegrywamy... To już koledzy pośrednio podkreślali, że związek nasz dobrze kontruje, natomiast nie jest w stanie przeprowadzić propagandy pozytywnej. Otóż wydaje mi się, że podstawowym powodem tego jest, że związek nasz stworzył własną „solidarnościową” nowomowę, czyli znowu stworzył język, język, który służy nie informowaniu, nie porozumiewaniu się, tylko język, który służy kłamstwu. Uważamy powszechnie we wszystkich naszych pismach, w dyskusjach, w ciąch przedstawicielskich, na obradach, języka, w którym używa się słów i określeń, które naprawdę nic nie mówią, ponieważ są tak wieloznaczne, że każdy podkłada sobie pod te pojęcia zupełnie inną treść. Jednym z takich



Andrzej Słowik; 1980 r.

słów stała się „konfrontacja”, drugim – „prowokacja”. Koledzy, jeżeli wychodzi działacz krajowego szczebla i mówi: podwyżka cen to jest prowokacja – no to moi drodzy, tylko sięść i płakać, no, tylko sięść i płakać, no, bo co to znaczy? My w związku z tym przez 8 miesięcy nie broniliśmy interesów ekonomicznych naszych członków w przekonaniu, że to są prowokacje rządu, że oni tylko po to ograbiają naród z pieniędzy, obniżają stopę życiową do po prostu katastrofalnego poziomu, bo chcą nas sprowokować. W związku z tym myśmy się sprowokować nie dali i ludzie są głodni.

[...]

HENRYK WUJEC [Region Mazowsze] – Mam taką propozycję, żeby poddać pod głosowanie oba projekty, [Karola] Modzelewskiego i [Jana] Rulewskiego, łącznie jako ogólne nasze stanowisko. To, co było zgłoszone o grupie ekspertów, nie jest sprzeczne z tym. Grupa ekspertów będzie potrzebna potem, do przygotowania programu realizacji tego. Tak, że te dwie rzeczy można traktować oddzielnie. Kiedy przyjmiemy to stanowisko ogólne, wtedy można głosować konkretnie poprawki, zgłaszane przez poszczególne osoby. Podobnie jak było z innymi projektami, przyjmujemy ogólne stanowisko i potem jeszcze konkretne poprawki głosujemy.

RYSZARD BOGACZ [prowadzący] – Rozumiem, że jest to jako wniosek, jako zgłoszony wniosek, więc jestem zmuszony zapytać: czy jest jakiś kontrwniosek do wniosku kol. Wujca? Kol. Rozpłochowski.

ANDRZEJ ROZPŁOCHOWSKI [Region Śląsko-Dąbrowski] – Wcale się nie wygłupiam – jest normalny kontrwniosek. Otóż proponuję chwilę się zastanowić, czy jest nam potrzebne zostawienie tego tak, jak jest. Przegłosować, oczywiście, i zastanawiać się nad grupą ekspertów, co my zrobimy, jak wejdziemy w ten strajk i jak mamy z niego wyjść. Bo stawiam konkretne rozwiązanie. Wyjścia są dwa: albo będziemy czekać aż się zmienią – pobożnie – albo będziemy brać sprawę w swoje ręce, i to trzeba powiedzieć.

RYSZARD BOGACZ [prowadzący] – To nie jest kontrwniosek!

ANDRZEJ ROZPŁOCHOWSKI – Jest kontrwniosek! To powiedziałem, że są takie wyjścia. Że nie jest prawdą, że my nie wiemy, jak będzie, bo my wiemy, jak będzie – że są tylko dwie możliwości.

RYSZARD BOGACZ [prowadzący] – Ale... bo to jest głos w dyskusji, przepraszam, to nie jest kontrwniosek do złożonego wniosku o głosowanie!

ANDRZEJ ROZPŁOCHOWSKI – Jest kontrwniosek do propozycji powołania ekspertów, a głosowania tych dwóch dokumentów całości jako razem. Otóż proponuję, proponuję: na końcu, w dwóch czy trzech zdaniach dopisać już tu, że na wypadek, że jedynym wyjściem ze strajku będzie przyjęcie i rozwiązanie spraw przez władze; jeśli tego nie zrobią, wtedy własnymi siłami będziemy sprawy rozwiązywać – i to jest normalne, to trzeba powiedzieć.

RYSZARD BOGACZ [prowadzący] – To nie jest kontrwniosek, to jest uwaga do tekstu.

ANDRZEJ ROZPŁOCHOWSKI – Na pewno nie!

Władza – „Solidarność”

ANDRZEJ GWIAZDA – Więc koledzy, wobec tego wydaje mi się, powinniśmy w następnej dyskusji po prostu wydzielić temat, ażeby być przygotowani [tak w tekście] na to, że partia zdecyduje się jednak na – teraz już użyję we właściwej formie – sprowokowanie społeczeństwa do zdecydowanego wystąpienia. Oczywiście, będzie to dla nas bardzo trudne i to musimy ludziom powiedzieć, dlatego że wystarczy ustawić dwa czołgi na torach kolejowych i praca górników już nic nam nie pomoże. W lecie, jeśli nam odetną całkowicie dopływ paliwa, to krzesetkami i płotami zupełnie ugotujemy, bo nam więcej nie będzie potrzeba. I wystarczą, jeżeli się leży na słońcu na trawniku, dwie kromki chleba, żeby strajk przetrzymać w dobrej kondycji. W zimie trzeba i więcej zjeść, i trzeba ogrzewać. I w takim przypadku na pewno musimy się przygotować na to, że będziemy musieli przetrzymać długi okres bez ogrzewania nie tylko zakładów, ale i mieszkań. I o to musimy się również spytać załogi. Ale w zasadzie pytanie powinno dotyczyć tylko, w jaki sposób załogi widzą możliwość przetrzymania takiego zwarcia z władzą, dlatego że – powtarzam – nie będziemy mieli żadnej szansy, ażeby temu zapobiec, jeżeli tylko oni uznają, że jest to celowe.

[...]

ZBIGNIEW JANAS [Region Mazowsze] – Co my proponujemy? Proszę państwa, najważniejszym chyba naszym postulatem musi być Społeczna Rada Gospodarki Narodowej. W przypadku (tutaj trzeba termin ułtymatywnie postawić) jeżeli władze nie zgodzą się, proponujemy w Ursusie następujące działanie: po pierwsze, przeprowadzimy referendum i wyprowadzenie komitetów PZPR z zakładu; nie trzeba traktować [tego] jako zwykłe działanie polityczne, jest to potrzebne po prostu po to, żeby nie przeszkadzały w przeprowadzeniu reformy gospodarczej – będą jątrzyć, będą po prostu przeszkadzać. Następna sprawa: powołanie Społecznej Rady Gospodarki Narodowej przez związek, no i oczywiście umożliwienie przejścia całej gospodarki w stan reformy gospodarczej. Następna sprawa: to jest, po ogólnonarodowym referendum, przeprowadzenie wyborów do Sejmu, absolutnie konieczna sprawa, a następnie – do innych szczebli władz, również terenowych.

Proszę państwa, w tej chwili rzeczywiście ostry stan wrzenia w załogach, bardzo ostry. Przejawia się to nieraz niebezpiecznymi działaniami, na przykład tak jak w Ursusie – postawiono dwie szubienice, to jest, oczywiście to wskazuje na, no, bardzo ostre nastroje. Tu związek musi wyjść z ofensywnym działaniem, w innym przypadku ludzie mogą zwrócić się w kierunku – i tu coraz częściej zaczynają padać takie głosy – w kierunku dyktatury wojskowej, która oczywiście w naszych warunkach nic kompletnie nie gwarantuje, a może doprowadzić do, no, rozlewu krwi w którymś momencie.

[...]

KAROL MODZELEWSKI [Region Dolny Śląsk] – Nie mamy się na co oglądać, proszę państwa, i nie jest to sprawą naszych ideałów demokratycznych. Tu bardzo dużo o nich mówiono, ale nie mówiono o środkach. No dobrze, ale jeżeli przyjdziemy do Jaruzelskie-

Fot. ze zbiorów Fundacji Ośrodka KARTA



Zbigniew Janas w towarzystwie Vaclava Havla; lata osiemdziesiąte

go, pokażemy mu Konstytucję – powiedzmy – o, tu jest napisane: „Władza należy do ludu pracującego miast i wsi... Wojtuś! Idź sobie”. No? Proszę państwa, jeżeli my w tej chwili, w tej chwili mamy zamiar wysunąć żądania, które równają się obaleniu tej władzy, to proszę sobie zdawać sprawę, że wysunięcie tych żądań jest równoznaczne z wszczęciem wojny, i to ja bym powiedział: wojny bez cudzysłowu nawet. Bo nawet strajkiem generalnym można zmusić władzę, strajkiem generalnym [do] wielkich ustępstw, ale nie do tego, żeby ona popełniła pełne samobójstwo polityczne.

„Porozumienie narodowe”

JANUSZ ONYSZKIEWICZ [Region Mazowsze] – Trzeba zacząć rozmawiać z innymi liczącymi się aktualnie bądź potencjalnie ugrupowaniami w naszym kraju, prowadzić po prostu – poza PZPR – rozmowy na temat porozumienia narodowego, prowadzić rozmowy z SD, ZSL, z PAX, prowadzić polityczne rozmowy ze środowiskami katolickimi, np. ze środowiskami KIK (bo mamy dobre kontakty, ale politycznych rozmów właściwie nie prowadzimy). Sądzę, że po prostu koniecznie trzeba to zrobić. Wobec tego sądzę, że trzeba by było po prostu powołać zespół jakiś negocjacyjny, czy też zespół do prowadzenia tego rodzaju rozmów. To powinien być zespół doraźny i w związku z tym on się nie powinien znaleźć w spisie tych zespołów [KK], które tu zostały zaproponowane, ale taki zespół trzeba powołać, zespół do prowadzenia rozmów na temat porozumienia narodowego.

[...]

KAROL MODZELEWSKI – Komisja Krajowa przede wszystkim musi wypracować strategię związku. Jesteśmy po Radomiu [posiedzenie Prezydium KK wraz z przewodniczącymi regionów „S” w Radomiu, 3 grudnia 1981 r., na którym zapowiedziano 24-godzinny strajk protestacyjny w wypadku uchwalenia przez Sejm PRL nadzwyczajnych pełnomocnictw dla rządu i strajk powszechny, gdyby zostały one wprowadzone w życie; ponadto określono warunki minimalne „porozumienia narodowego”: zaprzestanie represji, uchwalenie ustawy o zwią-

kach zawodowych, demokratyczne wybory do rad narodowych, utworzenie Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, dostęp do środków masowego przekazu – B.K. i G.M.], proszę państwa, i zwracam uwagę, że ta groźba stale nad nami wisi, bo to, że przestraszano się Radomia, że się przestraszano reakcji w Sejmie i że się wycofano chwilowo, być może, ze stanu wyjątkowego, to wcale nie znaczy, że w logice polityki, którą prowadzą władze – czy też [w] braku tej logiki – nie leży właśnie stan wyjątkowy. Ustawa o związkach zawodowych jest „zamiast”. Na razie „zamiast”. I mam wrażenie, że popełniliśmy błąd. Popełniliśmy błąd, ponieważ ta ustawa, tak jak nam ona została przedstawiona wczoraj... to jest znakomity tekst wyjaśniający ludziom, o co chodzi, tekst prof. [Andrzeja] Stelmachowskiego. Ale proszę zwrócić uwagę, że to jest związane w pewien sposób: gdy my zaczniemy naruszać tę ustawę – a nie możemy jej nie naruszać – wówczas wprowadza się środki nadzwyczajne po to, aby tę ustawę wyegzekwować choćby, i to nawet już tak, jak w wywiadach było mówione, w wywiadach osobistości sejmowych. No, na miłość boską, proszę państwa, ta ustawa – nie wystarczy ją oprotestować, trzeba powiedzieć wyraźnie, że został przekreślony jeden z warunków minimum, bo to jest także jeden z warunków minimum porozumienia narodowego określonych w uchwale radomskiej. Nam nie wolno traktować tej uchwały niepoważnie. Nam nie wolno być miększym ani o milimetr od tej uchwały, bo to byłoby nasze samobójstwo. To by oznaczało, że ta mobilizacja związku, jaka nastąpiła, zaczyna ustępować, zaczyna wkradać się w jej miejsce brak zdecydowania. I to dopiero prowadzi do konfrontacji. Bo w takiej sytuacji, jaka jest w tej chwili, jaką scharakteryzowałem, dla władz jest to sygnał, że uderzyć można. Proszę państwa, te władze – wiemy to dobrze – uderzają tam, gdzie miętko. Jak to się mówi w jednym z przysłów: atakują tylko padlinę. To my nie bądźmy tą padliną po prostu.

Stąd kwestia strategii: nie ma problemów z tym, co mamy zrobić pomiędzy ewentualnym wprowadzeniem ustawy o stanie wyjątkowym (lub niewprowadzeniem jej) a początkiem stycznia, bo na początku stycznia mamy nowe konflikty.

[...]

JAN ŁUŻNY – Jak mamy strzelać, to strzelajmy tak z grubej rury, a nie ze śrutówki, bo to jest dziwne bardzo. Jeżeli my gadamy o referendum, zastanawiamy się – Jan Kułaj przed chwilą powiedział – jeżeli ma coś powstać, to referendum do 15 stycznia [1982 r.], jo tyż jest za tym. Ale do... po prostu do ostatniego grudnia niech się spotka tak: rolnictwo, niech się spotka „Solidarność” robotnicza, niech się spotka „Solidarność” drobnowytórczości [Indywidualnego Rzemiosła], niech się spotkają eneszety [właściwie NZS!], bo studenci też będą głosować, i uznajmy, że funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej niech się tyż spotkają, my ich uznamy jako związek i my będziemy gadać, że jest związek. I będzie to to spółka, a chce do tego przystąpić, to niech przystępuje – wtedy to będzie porozumienie narodowe, a rząd niech se siedzi na ty patelni we Warszawie i niech się smaży. Tak będzie najłepi, bo inaczej nie idzie. To jest, jeżeli my zespolimy cały ten ruch, cały w jedność, jeżeli zespolimy się wspólnie, wtedy bedymy wiedzieli, jak bić i kaj bić, a tak to co – bedymy tylko „Solidarność” gadała o referendum. Niech się wszystkie organizacje wypowiedzą. A te, co my po prostu zaprosimy, a te co chcą, to niech przyjadą, a jak nie przyjadą, to znaczy się, że ich jest mało i bedymy wiedzieli, że oni są niepotrzebni – przyszykujemy im pociąg i na białe niedźwiedzie niech jadą.

Podczas gdy w Gdańsku toczyły się jeszcze obrady KK „Solidarności”, w całym kraju trwała już akcja wprowadzania stanu wojennego. Rozkaz inicjujący działania resortu spraw wewnętrznych przekazano do komendantów wojewódzkich MO kilka godzin wcześniej. Nakazywał on rozpoczęcie pierwszych działań jeszcze przed formalnym wprowadzeniem stanu wojennego – 12 grudnia 1981 r. o godzinie 23.30 (operacja „Azalia”, polegająca na zajęciu obiektów Polskiego Radia i Telewizji oraz zablokowaniu łączności telekomunikacyjnej). Na 24.00 wyznaczono z kolei rozpoczęcie operacji „Jodła”, czyli akcji internowania.

Do początku stycznia 1982 r. internowano 74 spośród 107 członków KK NSZZ „Solidarność”.

ESBECKIE PODCHODY

„O Panie Boże, Ojcze nasz,
w opiece swej nas miej.
Harcerskich serc Ty drgnienia znasz,
Nam pomoc zawsze chciej.
Wszak Ciebie i Ojczyznę
Miłując chcemy żyć.
Harcerskim prawom w życia dniach
Wiernymi zawsze być”.

Modlitwa Harcerska

Instruktorski Krąg Puszczański „Czarnego Dębu” działający w ramach oficjalnego Związku Harcerstwa Polskiego stał się obiektem rozpracowywanym przez krakowską Służbę Bezpieczeństwa w ramach tzw. operacyjnego sprawdzenia o kryptonimie „Skaut”.

W latach siedemdziesiątych organizacja o nazwie Związek Harcerstwa Polskiego nie miała prawie nic wspólnego z tradycyjnym, mającym przedwojenne korzenie harcerstwem. Ówczesne władze zainteresowane były działalnością podporządkowanej sobie młodzieżowej organizacji o charakterze masowym. Nie miały dla niej znaczenia ideały i specyfika ruchu skautowego. Działalność części drużyn nie różniła się w praktyce od zajęć szkolnych. W 1974 r. wprowadzono do szkół średnich program Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej. Władze harcerskie były całkowicie zależne od władz państwowych (partyjnych). Instruktorzy, pełniący funkcje od szeregowych hufcowych wzwyż, byli etatowymi pracownikami oświaty. Naczelnikiem ZHP w ówczesnym okresie mógł być tylko zaufany i pewny towarzysz. Praca większości instruktorów harcerskich nie miała nic wspólnego z pracą społeczną. Byli oni po prostu członkami partii oddelegowanymi do wychowywania młodzieży dla socjalistycznej ojczyzny. W chórągwiach prowadzono kształcenie polityczne dla instruktorów. Nadzorowali je przedstawiciele Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR. Wytyczne i kierunki pracy ówczesnych władz harcerskich najlepiej obrazuje cytat z harcerskiej gazety „Motywy”: „Raport Partii. Chcemy go złożyć z okazji rocznicy [...] powstania PZPR, przodującej siły naszego narodu, pod przewodnictwem której budujemy rozwinięte społeczeństwo socjalistyczne. Pod ideowym kierownictwem partii pracuje nasza organizacja i cały ruch młodzieżowy”.

W praktyce sytuacja w harcerstwie była jednak zróżnicowana. Istniały drużyny w pełni akceptujące wytyczne władz zwierzchnich oraz takie, które nie uznawały oficjalnej ideologii i kształtu harcerstwa. Instruktorzy – drużynowi angażowali się w bezpośrednią pracę z dziećmi i młodzieżą, tak aby harcerstwo sprawiało im jak najwięcej radości. Istniały środowiska harcerskie mocno związane z przedwojennymi tradycjami, izolujące się od władz i realizujące prawdziwe harcerskie wychowanie w służbie Bogu, Polsce i bliźnim. W enklawach tych instruktorzy nieoficjalnie realizowali swą misję wychowawczą, zaznajamiając młodych ludzi z potępianym przez oficjalne władze ZHP dorobkiem przedwojennego harcerstwa i ruchu skautowego.

W tych enklawach rodził się ruch harcerski, który doprowadził do powstania niezależnych organizacji harcerskich. Tworzono struktury grupujące niepokornych instruktorów. W środowiskach tych dyskutowano nad kształtem wychowania harcerzy, postawami kadry instruktorskiej, przywróceniem w społeczeństwie właściwych znaczeń słowom: harcerz, harcerstwo, służba.

Przykładowo w Warszawie pod koniec lat sześćdziesiątych powstała „Gromada Włóczew” skupiająca harcerzy „Czarnej Jedyńki”, jej członkami było wielu późniejszych działaczy opozycji.

Instruktorski Krąg Puszczański „Czarnego Dębu”

W Krakowie i Rzeszowie instruktorów nastawionych opozycyjnie do oficjalnych władz harcerskich, myślących niezależnie i zwolenników harcerstwa w jego przedwojennym kształcie grupował Instruktorski Krąg Puszczański „Czarnego Dębu”. Krąg zrzeszał wyróżniających się instruktorów harcerskich, kontynuował, a zarazem przywracał tradycje przedwojennego harcerstwa. Był forum wymiany myśli i dyskusji nad sytuacją w ZHP. Jego zadaniem było dotarcie do jak największej liczby środowisk harcerskich, aby krzewić negowane przez oficjalne władze tradycje, zwyczaje i obrzędy harcerskie. Posługiwano się przedwojenną rotą Przyrzeczenia Harcerskiego. 22 lutego obchodzono Dzień Myśli Braterskiej – święto przedwojennego harcerstwa i ruchu skautowego.

Krąg rzeszowski grupował kilkadziesiąt osób. Na jego czele stał druha Adam Rząsa z Rzeszowa, a jego zastępcą był druha Ryszard Wcisło, którego przyjęto do Kręgu jako pierwszego krakowskiego instruktora.

Krąg grupował jedynie wybranych instruktorów. Kandydaci, którzy mieli być przyjęci w jego szeregi, musieli harcerskim postępowaniem udowodnić, że bliskie ich sercom są „idee puszczańskie”. Łączono je ze zdobyciem kilku sprawności harcerskich, związanych z puszcza i przyrodą – jej poznaniem, a zarazem ochroną. Szczególnym wyzwaniem było zdobycie „Trzech piór”, tradycyjnej, przedwojennej sprawności, nieobowiązującej w ZHP po 1956 r., a przywróconej dopiero w 1980 r. wraz z powstaniem Kręgów Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego (KIHAM). Ci, którzy ją zdobywali, musieli wykazać się szczególnym hartem ducha i ciała. Była to próba charakteru, która trwała nieprzerwanie przez trzy doby, a poddawana niej osoba przechodziła etap milczenia, powstrzymania się od jedzenia i samotności w lesie.

Do Kręgu mogli należeć ci instruktorzy, którzy, jak zapisano w Kronice Kręgu „czcili Boga – Mistrza, co te cuda uczynił i bratem się czuje każdego stworzenia, co z nami żyje”. Warto zauważyć, że odwołanie się do Boga było czymś zupełnie przeciwnym do ateistycznego światopoglądu lansowanego przez władze ZHP. Członkowie Kręgu byli także, jak wynika z akt sprawy „Skaut”, jednymi z inspiratorów i zarazem uczestników odprawienia po raz pierwszy 17 stycznia 1969 r. harcerskiej Mszy św. za spokój duszy śp. Andrzeja Małkowskiego – założyciela harcerstwa, który zginął w nocy z 15 na 16 stycznia 1919 r. Mszę koncelebrował kard. Karol Wojtyła. Tradycja ta trwa do dnia dzisiejszego.

Obrzęd przyjęcia do Kręgu odbywał się w leśnej scenerii, wieczorem, w aurze tajemniczości i niezwykłości, dalekiej od sztywnych oficjalnych uroczystości, gdzie harcerze byli często tylko tłem partyjno-politycznych wieców i świąt. W trakcie tego wydarzenia odwoływano się do symboli związanych z przedwojennym harcerstwem oraz ruchem skautowym. Najbardziej charakterystycznym z nich było nadanie obrzędowych imion, które odzwierciedlały cechy danej osoby. Na zakończenie uroczystego spotkania Kręgu uczestnicy śpiewali Modlitwę Harcerską, zaczynającą się od słów „O Panie Boże, Ojciec Nasz”.

Spółeczna służba harcerska

Instruktorzy przyjęci do Kręgu byli zobowiązani do pełnienia społecznie służby harcerskiej (w przeciwieństwie do obowiązującego w ZHP systemu płatnych etatów dla instruktorów). Mieli wspierać i inspirować działalność drużyn harcerskich, tak aby była ona ukierunkowana na jak najczęstszy kontakt harcerzy z przyrodą (organizację wycieczek, biwaków, obozów). Chcieli pracować z młodzieżą w taki sposób, aby mogła z harcerstwa czerpać to, co najbardziej wartościowe. Pokazywali, czym jest przyroda, jak ją podziwiać i szanować. Instruktorzy Kręgu swą pracę z drużyną często ukierunkowywali tak, aby zaznajomić młodzież z wartościami i ideami oficjalnie negowanymi przez władze harcerskie. Duży nacisk



Członkowie Kręgu w czasie obozu letniego, od lewej: hm Łukasz Węsierski „Kormoran Samotnik”, hm Adam Rzęsa „Chytry Lis” – wódz Kręgu i hm Ryszard Wcisło „Chytry Jastrzęb”

kładli na naukę historii harcerstwa, a w szczególności jej okresu przedwojennego. Organizowali spotkania z żołnierzami AK i Szarych Szeregów, harcerskimi seniorami.

Niezmiernie istotnym zadaniem realizowanym przez Krąg było patriotyczne wychowanie jego członków oraz będących pod ich opieką harcerzy. Od najmłodszych lat starali się wpajać im miłość i oddanie ojczyźnie, które powinno cechować każdego harcerza. W czasie obozów zagranicznych odwiedzano miejsca szczególnie ważne dla Polaków, a oficjalnie niedostępne, jak np. Cmentarz Orłąt Lwowskich, odwiedzony przez krakowskich harcerzy m.in. w czasie wyjazdu do Bułgarii w 1971 r. Druh Janusz Hejmo wspominał o wielkim przeżyciu, jakim była możliwość odwiedzenia nekropolii na Monte Cassino. W 1984 r. niezależni instruktorzy zorganizowali pierwszą harcerską pielgrzymkę do Ojca Świętego.

Te formy działalności wzbogacały pracę drużyn, które prowadziły przede wszystkim zwykłą działalność harcerską. Organizowano gry terenowe, ogniska, wycieczki, szkolenia z samarytanki (pierwszej pomocy), topografii, łączności. Istotnym elementem były akcje zarobkowe, mające na celu uzyskanie środków na działalność drużyn – przykładowo harcerze sprzedawali znicze w dniu Święta Zmarłych. Niezmiernie ważna była służba harcerska – mająca za zadanie pomoc osobom potrzebującym. Druh Ryszard Wcisło był komendantem ogólnokrakowskiej akcji „Pogotowie Zimowe”, mającej na celu niesienie pomocy w szczególnie ciężkich dniach zimowych tym, którzy jej najbardziej potrzebowali.

Mgielka tajemnicy

Trudno precyzyjnie ocenić liczbę młodzieży znajdującej pod wpływem oddziaływania instruktorów należących do Kręgu. Z pewnością jednorazowo było to kilkaset osób, a w całym czasie jego działania kilka tysięcy. Wielu z nich zostało instruktorami, przekazując innym to, czego nauczyli się w Kręgu. Nie ulega także wątpliwości, że wielu z tych instruk-

torów miało bardzo duży wpływ na rozwój całego niezależnego krakowskiego harcerstwa.

Spotkania Kręgu odbywały się w czasie obozów letnich. To właśnie wtedy przyjmowano do Kręgu nowych instruktorów. Szczególnie uroczysty charakter miały zloty Kręgu. W jego kilkudziesięcioletniej historii miały miejsce tylko trzy takie wydarzenia.

W 1981 r. powołano Kanclerza Kręgu, który był depozytariuszem proporca, kroniki i pieczęci Kręgu. Instruktorzy szczególnie wyróżniający się w działalności Kręgu otrzymywali znak „najwyższego uznania puszczy”.

Istnienie i forma działania Kręgu była i jest owiana mgiełką tajemnicy, co nie zawsze wynikało jedynie ze skutecznie ukrywanych przed „profanami” harcerskich zachowań i obyczajów. Jako struktura nielegalna i nigdzie nie rejestrowana Krąg stał się obiektem zainteresowania SB. Na podstawie uzyskanych operacyjnie informacji Wydział III SB w Krakowie założył sprawę operacyjnego sprawdzenia o kryptonimie „Skaut”. Impulsem do wszczęcia sprawy były zdobyte przez SB informacje o planowanym na 17 lutego 1973 r. spotkaniu nielegalnie działającej „grupy staroharcersko-skautowskich działaczy”. Wniosek o wszczęcie sprawy został zatwierdzony 10 lutego 1973 r. przez pierwszego zastępcę KW MO ds. SB w Krakowie płk. Stanisława Watacha. Głównym celem operacji było sprawdzenie, z jakiego typu nielegalną grupą władze mają do czynienia, i uzyskanie „materiałów potwierdzających prowadzenie antysocjalistycznej działalności wychowawczej” przez instruktorów harcerskich skupionych w Kręgu Puszczańskim. Głównymi „figurantami” w sprawie byli harcmistrz Ryszard Wcisło – instruktor z krakowskiego Hufca Krowodrza, oraz harcmistrz Adam Rzęsa z Rzeszowa.

Wykorzystano metody inwigilacji wybranych osób i agenturę działającą w środowisku harcerskim. Starano się pozyskać współpracowników spośród wytypowanych instruktorów harcerskich, korzystano z już posiadanej agentury i kontaktów osobistych (KO): „Bystry”, „Halina”, „Miś” oraz tajnych współpracowników (TW) „Chojceki” i „Mały”. Z wybranymi instruktorami przeprowadzono rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze. Jak wynika z akt sprawy (sygn. IPN Kr 010/11202), do jednej z akcji mających na celu rozpracowanie Kręgu wyznaczono 21 pracowników Wydziału III SB i Wydziału Śledczego wraz z odpowiednim zapleczem technicznym.

17 lutego 1973 r. odbył się Zlot Kręgu Puszczańskiego; podczas niego dyskutowano nad zmianami w harcerstwie, które miały nastąpić po V Zjeździe ZHP. Przyjęto także nowych członków do Kręgu. Spotkanie to było inwigilowane przez SB.

Uczestnicy umówili się na kolejną zbiórkę 17 marca 1973 r., w czasie której delegat na Zjazd ZHP, a zarazem członek Kręgu, druh Marek Pieniążek miał złożyć sprawozdanie ze zjazdu. Spotkanie to było również inwigilowane przez SB. W aktach znajduje się pismo, w którym naczelnik Wydziału IV Departamentu III MSW informuje o wydaniu przez wiceministra spraw wewnętrznych gen. bryg. Henryka Piętka zgody na zastosowanie metod „T” (prawdopodobnie chodziło o zamontowanie aparatury podsłuchowej).

Likwidacja Kręgu Puszczańskiego przez SB

Po okresie rozpracowywania instruktorów należących do Kręgu, 15 maja 1973 r. Wydział III SB wraz z Wydziałem Śledczym przeprowadził akcję likwidacji Kręgu Puszczańskiego. Miała ona na celu doprowadzenie do zaprzestania przez instruktorów „wrogiej” i nielegalnej działalności, a także zahamowanie ich wpływu na młodzież. Dokonano rewizji w mieszkaniach czterech instruktorów – Ryszarda Wcisło, Adama Rzęsy, Bolesława Leonharda i Łukasza Węsierskiego. Pracownicy SB przeprowadzili z kilkunastoma osobami rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze. Jak wspomina druh Ryszard Wcisło, był on zatrzymany przez SB na 48 godzin, przesłuchiwał go kpt. Tadeusz Majewski, a następnie płk. Stanisław Watach. Druh Ryszard nie przyznał się do stawianych mu zarzutów, uparcie twierdząc, że Krąg Puszczański nie był nielegalną organizacją godzącą w ustrój PRL i mu zagrażającą. Po wypuszczeniu z aresztu był zobligowany przez miesiąc meldować się codziennie w siedzibie KW MO w Krakowie.

Kwestii Kręgu Puszczańskiego – jako nielegalnej organizacji – było poświęcone specjalne spotkanie 23 maja 1973 r., w którym wzięli udział: tow. Andrzej Czyż – sekretarz KW PZPR w Krakowie, płk Stanisław Wałach, ppłk Józef Adamczyk, mjr Jan Bill – funkcjonariusze krakowskiej SB, tow. Tadeusz Prokopiuk – komendant Krakowskiej Chorągwi ZHP. Ustalono, że „poszczególne osoby z tej grupy dały się poznać z antyradzieckiej, nacjonalistycznej i klerykalnej postawy”. Słowa te prawdopodobnie odnosiły się głównie do przywódców Kręgu. Władze partyjne miały się zająć kwestią instruktorów należących do Kręgu, a będących jednocześnie członkami PZPR. Kierownictwo Komendy Chorągwi zostało zobowiązane do odsunięcia członków Kręgu od pracy z młodzieżą i usunięcia ich z kierowniczych stanowisk.

Po formalnym zlikwidowaniu Kręgu sprawę skierowano do Prokuratury Wojewódzkiej w Krakowie. Jego przywódcy – Ryszard Wcisło i Adam Rzęsa – zostali oskarżeni o przestępstwo z art. 278 § 1 kk. Zarzucano im „[...] dążność [do] uzyskiwania wpływów niekontrolowanych przez oficjalne władze na wychowanie młodzieży”. Ostatecznie postępowanie umorzono ze względu na dotychczasową niekaralność sprawców i małe społeczne niebezpieczeństwo czynu. Postanowienie o umorzeniu sprawy i nieprzekazywaniu jej na drogę sądową podjęto w trakcie wspomnianego spotkania 23 maja 1973 r., czyli przed formalnym zakończeniem sprawy przez prokuraturę.

Prokuratura w swoim postanowieniu z 13 lipca 1973 r. zobowiązała głównych oskarżonych do wpłacenia grzywny na cele społeczne. Była to prawdziwa ironia losu – ukarać grzywną na cel społeczny osoby, które dużą część swego życia poświęciły pracy społecznej.

Mimo formalnego zakończenia sprawy, należący do Kręgu instruktorzy nadal pozostawali w sferze zainteresowania SB. Świadczą o tym akta sprawy operacyjnego sprawdzenia o kryptonimie „Zawisza”.

Krąg Puszczański nie zaprzestał działalności, choć formalnie został rozwiązany przez SB. W jego szeregach nadal przyjmowani byli wyróżniający się instruktorzy. Odbływały się spotkania Kręgu (m.in. w Tenczynie koło Krakowa w 1985 r.).

Członkowie Kręgu odegrali dużą rolę w tworzeniu niezależnego Ruchu Harcerskiego w latach osiemdziesiątych. W 1989 r. instruktorzy harcerscy, skupieni w niezależnym Ruchu Harcerskim, reaktywowali ZHP w jego przedwojennej formie, nadając nowo powstałej organizacji nazwę Związek Harcerstwa Polskiego – rok założenia 1918. Przetamano monopol nomenklaturowego ZHP na wychowywanie młodzieży. Druh Ryszard Wcisło został Naczelnikiem Harcerzy. Sprawdziły się słowa, jakie zapisał w kronice Kręgu: „Żadna przemoc nie jest w stanie zniszczyć prawdy”.

W artykule wykorzystano materiały z AIPN Kr 07/4976; AIPN Kr 010/11202, t. 1–2 oraz udostępnione przez druha Ryszarda Wcisło, któremu autor serdecznie dziękuje za pomoc.



JAK ROZWALIĆ MINISTRANTÓW?

Wśród dokumentów dotyczących Kościoła katolickiego, które powstały w latach sześćdziesiątych w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Poznaniu, znajduje się opracowanie zatytułowane „Ocena kół ministranckich w parafiach na terenie województwa poznańskiego z 1967 r.”, dla autora tego artykułu tym bardziej interesujące, że sam był kiedyś ministrantem.

Pracownik aparatu partyjnego zajmujący się tym zagadnieniem musiał otrzymać informacje ze źródeł operujących w badanym środowisku. Z lektury wspomnianego dokumentu odnosi się wrażenie, że sam w młodości mógł należeć do tego grona.

Opracowanie składa się z trzech części; pierwsza dotyczy założeń, jakimi kieruje się hierarchia kościelna w swojej pracy z młodzieżą, druga – form naboru młodych chłopców w szeregi służby ołtarza, a trzecia – struktur organizacyjnych i metod pracy z ministrantami. Chciałbym pokrótce omówić te trzy części, odnosząc je do własnych wspomnień i przeżyć.

W założeniach, jakimi kierowała się hierarchia Kościoła w swojej pracy z młodzieżą – według dokumentów Komisji Duszpasterskiej Episkopatu, których treść przytacza partyjny urzędnik – podstawowymi zadaniami, jakie miały spełniać (i spełniają nadal) koła ministranckie, są funkcje religijne i wychowawcze. Ministranci poprzez działalność w kołach ministranckich mają lepiej poznać i zrozumieć zasady swojej wiary, ukształtować i przygotować się do pracy w Kościele w roli czynnego laikatu lub w szeregach Kościoła hierarchicznego i pomóc duszpasterzom w dotarciu do swoich środowisk.

Kołami ministranckimi opiekowali się w małych parafiach księża proboszczowie, a w dużych – wyznaczani przez nich młodszy księża.

Swoje zadania opiekunowie wypełniali poprzez cykle szkoleń, których tematy związane były z następującymi dziedzinami: życiem religijnym, pracą nad sobą, wiedzą religijną, szkoleniem liturgicznym, udziałem w życiu parafii, zarówno religijnym, jak i kulturalnym.

Ważne dla kształtowania się postaw religijnych młodego człowieka zagadnienia poruszano na spotkaniach organizowanych przez opiekunów kół ministranckich. Z własnego doświadczenia wiem, że omawiane przez księży opiekunów tematy spotkań ministranckich i lektorskich rozszerzały naszą wiedzę religijną wynoszoną z lekcji religii, prowadzonych wówczas – z braku salek katechetycznych – w warunkach często dość nietypowych. Pogadanki na tematy związane z czytaniem w trakcie Mszy św. i poszczególnymi okresami roku kościelnego pozwalały na lepsze rozumienie i pełniejsze przeżywanie liturgii, w której się uczestniczyło. Poznawanie historii Kościoła w Polsce i postaci jego świętych dawało młodym ludziom inny od lansowanego przez władze obraz dziejów własnego narodu. Uczestnictwo w życiu społecznym parafii, np. opiekowanie się dziećmi w czasie wakacji czy pomoc w organizacji rekolekcji i misji, uczyło młodzież bezinteresownej pracy dla innych, bez przymusu i politycznej nadbudowy.

Od połowy lat siedemdziesiątych, będąc już nieco starszym ministrantem i lektorem, wraz z kolegami w moim wieku i z podobnym stażem w kole ministranckim, mogłem sam prowadzić spotkania z chłopcami, którzy chcieli wstąpić w szeregi służby ołtarza. Organizowaliśmy też z grupą młodzieży związanej z ruchem oazowym Światło-Zycie spotkania formacyjne i modlitewne. Co najmniej raz na dwa miesiące wszystkie grupy oazowe z Gdyni, gdzie wówczas mieszkaliśmy, koła ministranckie i uczestnicy wakacyjnych rekolekcji spotykali się na wspólnej



Fot. ze zbiorów Jana Miłosza

Ministranci przy ołtarzu w kościele pw. św. Mikołaja w Gdyni Chyloni, 1973 r.

„agapie” – spotkaniu przy stole Pańskim i przy wspólnym posiłku. Organizowaliśmy także międzyparafialne turnieje piłki nożnej i wycieczki do mniej znanych miejscowości na Kaszubach.

Droga do służby ołtarza

We wspomnianym opracowaniu omówiono zagadnienie naboru grup młodzieży do kół ministranckich. Autor wyróżnia trzy metody: bezpośrednią rozmowę księży z upatrzonymi przez nich wcześniej kandydatami; rozmowy w trakcie wizyt duszpasterskich (kolęd); bezpośrednie apele do rodziców. Takie postrzeganie problemu prowadzi do wniosku, że to presja rodziny i księży wywierana na młodych ludzi powodowała, iż zostawali oni ministrantami. Działania księży pozwalały dotrzeć do wielu kandydatów, z których część sama nie zdecydowałaby się wstąpić w szeregi służby ołtarza.

Były jednak i inne drogi prowadzące do tej formy służenia Bogu i ludziom. Miałem osiem lat, gdy pierwszy raz stanąłem, przyprowadzony przez babcię, w drzwiach plebanii parafii św. Mikołaja w Gdyni Chyloni – to nie ksiądz ani katecheta wywarli na mnie presję. Była to raczej rodzinna tradycja. Ksiądz kanonik Wojciech Zieliński wtedy zażartował, że mam jeszcze czas, bo misie właśnie poszły spać (była jesień 1968 r.) i jak się obudzą, będę mógł przyjść do niego jeszcze raz, wtedy mnie przyjmie.

Różne były drogi do kół ministranckich. Często sami zapraszaliśmy tych spośród naszych kolegów, którzy wydawali nam się godni zaufania. Cieszyliśmy się, gdy nasi księża ogłaszali w kościele coroczne nabory kandydatów. Niektórzy koledzy ministranci mieli w naszym gronie swoich braci. Przykładem może być rodzeństwo Koszałków. Było ich w domu dwanaścioro, w tym jedenastu braci i jedna siostra. Czterech braci należało do naszego koła. Jeden wstąpił później do zgromadzenia księży salezjanów.

Urzędnik aparatu partyjnego w swoim opracowaniu sugerował, że niektóre parafie przyjmowały tylko chłopców z tzw. „dobrych domów”. Oczywiście łatwiej było dotrzeć do tych rodzin, które co niedzielę przychodziły do kościoła i co roku przyjmowały kolędę. Nie było to jednak regułą i nasz ksiądz opiekun starał się pobudzić inwencję „misyjną” swoich podopiecznych.

W partyjnym opracowaniu autor podjął próbę opisu struktury kół ministranckich i metod pracy z nimi. Podkreślał, że w parafiach miejskich, dużych i dobrze zarządzanych, koła ministranckie były liczne i pracowali z nimi dobrze przygotowani księża. Natomiast w małych parafiach, zwłaszcza wiejskich, w których nie było wikarych, niewielkie grupy ministranckie spotykały się jedynie w niedzielę i święta.

Organizacja

Partyjny urzędnik dokonał analizy liczebności kół ministranckich – zarówno tych z Poznania, jak i działających na terenie województwa w 1967 r. Wynikało z niej, że najokazalej przedstawiało się koło ministranckie z parafii zmartwychwstańców (około 160 ministrantów), kolegiaty fanej (prawie 150) oraz św. Floriana na Jeżycach (140). Porównał je z liczebnością takich kół w niektórych parafiach mniejszych miejscowości. W Gostyniu w parafii św. Małgorzaty np. było wówczas 130 ministrantów, a u ojców franciszkanów w Jarocinie – 100.

Tak liczne koła ministranckie – w relacji aparatczyka – podzielono na grupy (6–12 chłopców), na których czele stali grupowi odpowiedzialni za swoich podopiecznych. W rzeczywistości podziały zależały od decyzji księdza opiekuna. Sądzę, że taki podział wymuszony był potrzebami związanymi ze służbą ołtarza. Jeżeli w parafii odprawiano w każdą niedzielę sześć Mszy św., to koło podzielone było na sześć grup, jeżeli więcej – to grup było więcej. W pierwszej z parafii, w której należałem do koła ministranckiego prawie dziesięć lat, w niedzielę odprawiano dziesięć Mszy św. (siedem w kościele i trzy w kaplicy). W związku z tym stu ministrantów i dwudziestu lektorów podzielono na dziesięć grup. Lektorzy, jako bardziej doświadczeni, pełnili funkcje grupowych i dbali o wyszkolenie i morale swoich młodszych kolegów. W drugiej z parafii, gdzie Mszy św. niedzielnych było zaledwie siedem, podzielono koło (około 60 członków) na siedem grup. Hierarchia w kołach była dosyć wyraźnie zaznaczona, nie miał na nią wpływu wiek chłopców – na co zwraca uwagę partyjny informator – lecz długość stażu w kole i zaangażowanie w służbę liturgiczną.

Odowiedzialność

W omawianym opracowaniu zauważono, że najbardziej zasłużeni byli wynagradzani. Nie chodziło tylko o możliwość pójścia na kolędę, gdzie można było otrzymać datki pieniężne. Ci najbardziej obowiązkowi mogli częściej korzystać z wyjazdów na obozy i rekolekcje. Część pieniędzy otrzymywanych w trakcie kolęd trafiała do tzw. „kasy ministranckiej”. Uczyło to młodych ludzi odpowiedzialności za wspólnotę i uczciwości. Młodzież była różna, a pokusy często dla młodego człowieka wielkie, ale mądry ksiądz opiekun potrafił tak zorganizować sprawy finansowe, by nie tworzyły pokusy do złego. Każdy uczestnik kolędy odprowadzał do kasy określoną kwotę – rodzaj podatku, a reszta pozostawała dla niego. Kasa ministrancka służyła całej małej wspólnotce. Opłacano z niej wyjazdy, sprzęt sportowy, a także – w wypadku trudnej sytuacji któregoś z kolegów – kupowano mu nowe szaty liturgiczne. Opiekun koła konsultował się z grupowymi przy podziale środków finansowych, a także w sprawach decyzji o zdyscyplinowaniu lub usunięciu któregoś z ministrantów z koła. Ksiądz opiekun po przedyskutowaniu problemu z grupowymi podejmował decyzję, o której informował wszystkich ministrantów.

Wielką radość starszym ministrantom sprawiał moment, gdy mali chłopcy po raz pierwszy sami służyli przy ołtarzu albo pomagali kapłanowi przy chrzcie lub ślubie.

Wśród uwag umieszczonych w partyjnym opracowaniu na zastanowienie zasługuje jedno, a mianowicie że koła ministranckie miały wychowywać młodych ludzi na świadomych katolików i być miejscem rozpoznawania powołań kapłańskich. Można się z tym zgodzić, ale chyba bardziej zdanie takie dotyczyło naszych rodziców. Większość z nas garnęła się do tych kół, żeby lepiej poznać zasady naszej wiary i móc je realizować w codziennym życiu. Przynależność do grona ministrantów uczyła obowiązkowości, odpowiedzialności za siebie i innych. Wskazywała sprawy ważniejsze od dóbr materialnych. Sporo kolegów z mojego najbliższego otoczenia poszło drogą kapłańskiego życia. Ci, którzy tej drogi nie wybrali, wychowują teraz swoich synów i córki na odpowiedzialnych katolików. Często widzę ich wśród ludzi pomagających kapłanom w posłudze, organizujących życie w parafiach, prowadzących działalność charytatywną, zaangażowanych w Akcję Katolicką czy grupy modlitewne.

Ostatnie zdanie z partyjnego dokumentu, znamienne dla tamtych czasów, brzmi: „Istnieją jednak takie parafie, w których liczba i rozmiary działalności kół ministranckich wybiegają daleko poza ramy służby ołtarza, nosząc już pewne znamiona nielegalnych organizacji”. Jest dowodem na to, jak bardzo władze komunistyczne bały się tych, którzy mogli wychować młodzież na obywateli o innym światopoglądzie i systemie wartości niż reprezentowany przez komunizm. Nie dziwi więc odręczna notatka sporządzona na tytułowej stronie: „T. Sobolewski – warto zastanowić się, jak te duże koła rozwalić?”.

Fot. ze zbiorów Jana Miłosza



Drużyna piłkarska Koła Ministrantów parafii pw. św. Mikołaja w Gdyni Chyloni, 1978 r.

JAZZ – WYJŚCIE Z PODZIEMIA

Na przełomie lat 1995 i 1996 w Redakcji Edukacyjnej TVP SA powstał cykl programów dokumentalnych zatytułowany *Nasza generacja*. Opowiadano w nich o fascynacji młodego pokolenia muzyką dochodzącą z wolnego świata – i szerzej, związanej z nią kulturze. Najpierw był to jazz, później bigbit, rock... W programach przywołane zostały atmosfera konspiracyjnie granych koncertów i duch walki o dopuszczenie do mass mediów zakazanej muzyki, traktowanej jako coś więcej niż tylko bunt pokoleniowy. Zamieszczony tekst jest zapisem obszernych fragmentów wywiadów pozyskanych w trakcie realizacji pierwszego odcinka pt. *Jazz – wyjście z podziemia* w reżyserii Jacka Sawickiego, który wyemitowano w grudniu 1995 r. w Programie 1 TVP SA.

Jerzy Skarżyński

W Krakowie jeszcze na początku wojny było takie dziwaczne miejsce przy Małym Rynku. Bez żadnej tabliczki z informacją, nie wiadomo kto i co. Ale kto wiedział, zapukał odpowiednio i wchodził do środka. Było dwóch panów. Jeden duży pokój, zakurzony, bez mebli. Jeden stoliczek i jedno krzesło. Tylko trochę płyt na podłodze. Tam się wchodziło i można było w tych płytach pogrzebać, coś wybrać. Bo była to aktualna, współczesna muzyka jazzowa na płytach DECCA i innych. Wtajemniczeni dostawali sygnał: będą płyty, tego i tego dnia. Nie wiadomo, jakim cudem, ale były. Te płyty mnie fascynowały, słuchałem ich z wypiekami na twarzy. Były przecież też mieszkania, gdzie po godzinie policyjnej można było sobie usiąść, zapomnieć o wszystkim i słuchać jazzu. Po wojnie ojciec mój był w Londynie i przysyłał mi paczki. Prosiłem, by nie przysyłał mi w nich kaszy czy masła, tylko płyty. On był rozsądny i przysyłał mi płyty: Duke'a Ellingtona, Goodmana i innych wykonawców.

Włodzimierz Sokorski

W Związku Radzieckim [Andriej] Żdanow przekonał [Józefa] Stalina, że trzeba stworzyć coś nowego. Sztuka miała zbudować wielkość jego epoki. I tak wielkie gmachy, co prawda też w duchu amerykańskim, miały świadczyć o sile socjalizmu, chociaż oparte na tradycyjnych wzorach, ale głosić miały nowoczesne treści. Tak samo muzyka. [Bolesław] Bierut nie rozumiał tego zupełnie, bo on nie rozumiał sztuki w ogóle. [Jakub] Berman więcej...

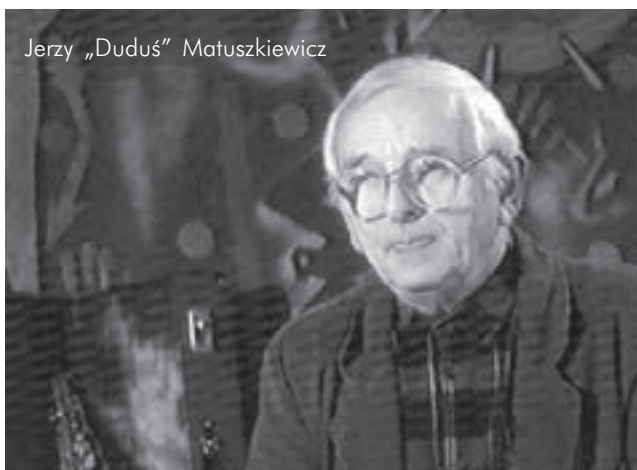
Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz

Z prawdziwym jazzem zetknąłem się w środowisku związanym z Ymką w Krakowie. Było ono bardzo czynne i dobrze zorganizowane, jak to sobie przypominam. Było to miejsce, gdzie młodzi ludzie mogli rozwijać wszystkie swoje hobbyistyczne zamiłowania, zaczynając od sportu, kończąc na literaturze, teatrze czy muzyce. Kilkanaście osób krakowskiego środowiska studenckiego zawiązało około 1947 r. jazz-klub w Ymce. Zrobiliśmy to na wzór Ymki w Warszawie, w której tę działalność zapoczątkował Leopold Tyrmand. Trwało to mniej więcej do roku 1949, kiedy to YMCA w całym kraju została rozwiązana i zamieniona w tzw. domy kultury. Oczywiście represję władzy poszły znacznie dalej. W tym czasie, wraz z utrwaleniem się podziału na tę i tamtą stronę żelaznej kurtyny, jazz stał się muzyką zabronioną.

Jerzy Skarżyński

Nie chcę przesadzić, że bez jazzu nie zaznałbym tego najważniejszego przeżycia metafizycznego. Oczywiście mam szereg innych gatunków muzyki, które mnie interesują. Ale

jazz był jedyną w ówczesnej rzeczywistości początku lat pięćdziesiątych muzyką wyzwalającą to wszystko, czego naprawdę nie było wokół, co było zabronione. Jak w każdej epoce młódzież ma swoją muzykę, dzięki której rozładowuje emocje. Jazz to muzyka młodości. I on był dla mnie czymś ważnym, kiedy należałem do pokolenia poszukującego wolności, demokracji. Bo jazz to muzyka grupowa, gdzie indywidualne improwizacje wymagają porozumienia wszystkich muzyków. I to właśnie znakomicie rozumiała młódzież.



Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz

Kadr z filmu *Jazz – wyjście z podziemia* w reżyserii Jacka Sawickiego

Jan „Ptaszyn” Wróblewski

Skąd w ogóle wziął mi się ten jazz? Należałoby się cofnąć do czasów, kiedy nie byłem jeszcze muzykiem. Przede wszystkim film *Serenada w Dolinie Słońca* z orkiestrą Glenna Millera, który zrobił na mnie niesamowite wrażenie. A później – była taka dziwna wystawa pod nazwą „Oto Ameryka”, która pokazywała tę „dekadencję zgniłego Zachodu”, jakie to potworne rzeczy się tam dzieją. A jako przykład totalnie zdegrengolowanej muzyki prezentowano jazz. Pamiętam do dzisiaj komentarze, jakie wówczas padały. To było strasznie zjadliwe. Ale w charakterze ilustracji mieliśmy nagranie, które wykonywali Charlie Parker i Dizzy Gillespie. I to było najważniejsze. Pamiętam, że pomimo tych wszystkich komentarzy staliśmy z otwartą gębą, bo to było pierwsze spotkanie z jazzem nowoczesnym.

Andrzej Trzaskowski

Granie i słuchanie jazzu było przejawem protestu, jak to normalne u młódzieży, przeciwko obowiązującej standaryzacji czy unifikacji życia. Ten okres, w którym to się zaczęło w Polsce, zbiegł się z okresem wprowadzenia rygorystycznego socrealizmu. Ale raczej trudno uznać, że był to protest ściśle polityczny. Nie, raczej był to bunt przeciwko zakazom.

Jerzy Skarżyński

Jazz, okazało się, można było grać w jakiś tam półkonspiracyjny sposób. Należało mieć jednak pełną świadomość: na tego pana trzeba uważać, przyszedł tu, nigdy wcześniej nikt go nie widział, mogą być kłopoty. Ale skrzykiwaliśmy się, puszczaliśmy wiadomość, że coś będzie. Nagle pojawił się u mnie nieznanym młody człowiek, przedstawił się – [Witold] Kujawski i wręczył dwie płyty. Dwie dobre płyty jazzowe. Powiedział, że gra na kontrabasie. I jeszcze że możemy razem zrobić w Polsce jazz. Bowiem ja wiem, **co to jest**, a razem znajdziemy takich, którzy będą wiedzieli, **jak to zagrać**. I tak się zaczęło.

Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz

Zespół powstawał spontanicznie, na przestrzeni od 1949 do przełomu 1952 i 1953 roku, kiedy już miał określone oblicze. Oczywiście mówię o zespole „Melomani”. Ta nasza grupa, której z czasem zostałem liderem, składała się ostatecznie z muzyków pochodzących z różnych miast. Nigdy nie zakładaliśmy, że powstanie profesjonalny zespół o wyraźnym obliczu. W 1949 r. przeprowadziłem się na studia do Łodzi i tam zetknąłem się z koń-



Marek Karewicz

Kadr z filmu *Jazz – wyjście z podziemia* w reżyserii Jacka Sawickiego

cem działalności Ymki. Stamtąd pozyskałem dwóch niezwykle zdolnych muzyków potrafiących grać jazz: Witka Sobocińskiego na perkusji i gitarze oraz Andrzeja Wojciechowskiego na trąbce. Ze środowiska krakowskiego wywodził się Andrzej Trzaskowski – młody pianista – i Witek Kujawski grający na kontrabasie. Ja grałem wtedy na saksofonie i klarynie. Współpracowali z nami muzycy z Warszawy, a z Poznania przyjechał Krzyszto Trzciniński. Z całej Polski musieli się skrzyknąć ludzie, żeby stworzyć grupę grającą jazz. Taka była prawda.

Marek Karewicz

Chodziłem do technikum, gdzie mieliśmy „orkiestrę symfoniczną”. Stąd pierwsze moje kontakty z muzyką. Jak wspominać dziś ten pierwszy okres, kiedy nie było płyt, literatury fachowej, kiedy nie było nawet instrumentów, np. perkusja jako instrument była w Polsce nie do kupienia, saksofon był napiętnowany – uważany bowiem za instrument imperialistyczny, to są rzeczy dziś nie do pojęcia. A ja do tego strasznie chciałem grać, choć z tym moim graniem nie było najlepiej...

Andrzej Trzaskowski

Moja nauczycielka fortepianu była przerażona, gdy próbowałem zagrać jej jazz. Dzisiaj to rozumiem. Ale na muzykologii było nieco więcej luzu. I chociaż trwał socrealizm, byli kompozytorzy wpisani na tzw. czarną listę, jak Igor Strawiński, to jednak unifikacja kultury nie była unifikacją poglądów.

Jan „Ptaszyn” Wróblewski

Jeżeli mówimy o naszych pierwszych kontaktach z muzyką jazzową, to nie można pominąć radia i postaci Willisa Conovera. Jego *Jazz Hour* nadawany z Ameryki na falach średnich to była audycja wyspecjalizowana, prezentująca tylko najlepszy jazz. I co ważne, była ona nadawana codziennie o stałej porze.

Andrzej Trzaskowski

Pamiętam, czasami trzeba było spisywać tematy jazzowe po jednokrotnym wysłuchaniu w audycji Willisa, bo tylko tą drogą mogliśmy je zdobyć. Ale dość często na falach średnich występował zanik dźwięku. Wtedy trzeba było wydzwaniać po znajomych i pytać: słuchaj stary, może próbowałeś zapisać taki temat, to może masz ten fragment, może u ciebie nie było zaniku? Tak z trudem rodził się repertuar, który z czasem włączaliśmy we własne występy.

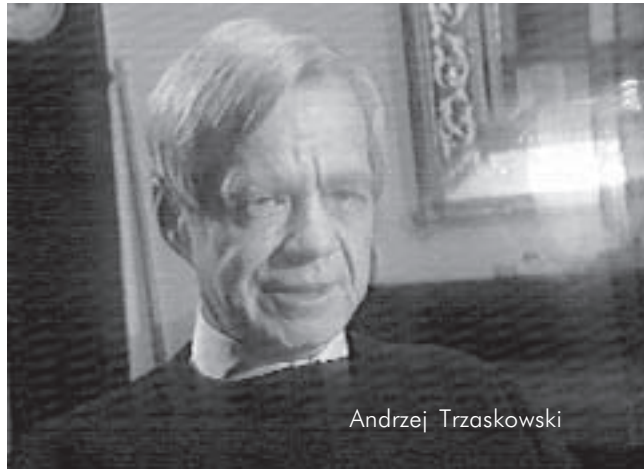
Jerzy Skarżyński

Mieszkanie Witka Kujawskiego w Krakowie. Maleńka kuchienka i maleńki pokój na 10 do 15 osób. Tam przychodzili różni. Zjawił się Trzaskowski – taki młodziutki chłopczyk, przyniósł ze sobą akordeon. Przyjechał „Komeda” – Trzciniński, milczący student medycyny, ale już wówczas

miał coś ciekawego do zaproponowania. Inni... Pojawienie się każdej z tych osób ogromnie nas wzbogacało. Co ważne, można tam było grać głośną muzykę. Działo się to bowiem w kamienicy, której właścicielem, a w każdym razie głównym użytkownikiem, był Związek Głuchoniemych. Dlatego można tam było grać do upadłego, bez żadnych przeszkód.

Włodzimierz Sokorski

W odróżnieniu od polityków radzieckich mieliśmy w Polsce świadomość, że świat się zmienia i my musimy się zmieniać. Dzięki temu Festiwal Młodzieży, który był w 1955 r., mógł być nowoczesny. Mimo że był zorganizowany w Polsce. Wszystkie festiwale dotychczasowe były partyjne, propagandowe, sztywne. U nas młodzi mogli się śmiać i dyskutować.



Andrzej Trzaskowski

Kadr z filmu *Jazz – wyjście z podziemia* w reżyserii Jacka Sawickiego

Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz

Najważniejszym koncertem było pierwsze *jam session*, które się odbyło w Warszawie w 1955 r. Zorganizował je Leopold Tyrmand. To był przełomowy moment, kiedy jazz wyszedł z podziemia i dostał się oficjalnie na deski estrady w stolicy Polski.

Leopold Tyrmand

Jest rok 1955. Początek marca. Wszędzie pełno ważnych narad i zjazdów, niektóre już były, inne dopiero będą. W oślawionym z chuligańskich bitew baraku na Wspólnej odbywa się w międzyczasie [tak w tekście] pierwsza publiczna jam session. Sala wybita jest niebywałym tłumem: ludzie tkwią w oknach, zwisają z sufitu, piętrzą się pod ścianami, w całej przestrzeni kubicznej brak jest milimetra wolnego miejsca. Tłum przecięty w poprzek dałby wierny przekrój społeczeństwa polskiej młodzieży: są tu kosioły z Targówka i studenci konserwatorium, młode medyczki i wiślarze, młodzi alkoholicy i młodzi terminatorzy z FSO. Poza tym radio, kronika filmowa, jupitery, skromny podest z desek obstawiony jest mikrofonami i magnetofonami. Kończę mówić, wchodzę za kurtynę. W łoskot aplauzu z sali wdziera się triumfalny, dixielandowy trójgłos granej spoza kurtyny Swanee River. Kurtyna rozsuwa się powoli, klarnet, puzon i trąbka kroczą grając ku przodowi oblanej tłumem estrady. „Melomani” ruszają do boju, rozpoczynają marsz otwierający nowy okres. [L. Tyrmand, O Melomanach moich słów parę – wspomnienie z programu pierwszego koncertu muzyki jazzowej w Filharmonii Narodowej w Warszawie w 1957 r.]

Jan „Ptaszyn” Wróblewski

Myśmy wiedzieli, że są jacyś polscy muzycy jazzowi. Ale nikt ich nie widział, nie słyszał, wydawało się to jakąś legendą. Kiedy zaczęła się odwilż, oni jako pierwsi zabrali głos. Pewnego dnia dostałem telegram od brata: grają „Melomani” – przyjeżdżają. Szturmowaliśmy wejście, jakoś po filarach i do środka. Po tym koncercie rozmawialiśmy z Krzysiem, którego już znaliśmy. Zaproponował granie jazzu nowoczesnego. Niedługo później nas zwołał. Siedzieliśmy u niego w kilka osób, słuchaliśmy muzyki, on tłumaczył. Skończyło się



Jerzy Skarżyński

Kadr z filmu *Jazz – wyjście z podziemia* w reżyserii Jacka Sawickiego

rozpoczyna się w Sopocie pierwszy festiwal jazzowy. Pojechaliśmy do Sopotu. Nie mieliśmy żadnych pieniędzy, spaliśmy w koszach na plaży. Ale przeżyliśmy niebywałą eksplozję muzyki i młodości. Pochłanialiśmy tam każdą nutkę, chodziliśmy w organizowanych tam pochodach. Potem to wszystko po swojemu opisał popularny „Express Wieczorny” i zamieścił na pierwszej stronie fotografię moją oraz moich przyjaciół, podpisując ją: „Młodzi chuligani z Warszawy grasują w Sopocie”. Wiadomo, rodzice dowiedzieli się, że nie byłem na obozie. Ale nie żałuję, to był punkt zwrotny mojego życia.

Jan „Ptaszyn” Wróblewski

Jazz wówczas nie był tak łatwo przyswajalny. Pamiętam „Komedę”, który na pierwszym festiwalu w Sopocie pokusił się o repertuar wyłącznie nowoczesny. Tyrmand musiał długo tłumaczyć i przestrzegać, że jeśli ktoś będzie rozczarowany, to musi pamiętać, że to muzyka dla znawców. Nikt nie chciał się przyznać, że znawcą nie jest, i reakcja na muzykę była fantastyczna.

Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz

Moja rola muzyczna właściwie się spełniła w momencie, kiedy nasz zespół „Melomani” doprowadził muzykę jazzową do filharmonii. To się wydarzyło w 1957 r. Wtedy odbył się pierwszy koncert jazzowy w sali kameralnej Filharmonii Narodowej. Zapoczątkował on całą serię takich koncertów, granych regularnie raz na miesiąc w Warszawie. Nastąpiły normalne dla jazzu czasy, kiedy muzyka była tylko muzyką. Chociaż... wkrótce miała zacząć się kolejna wojna z muzyką i kulturą następnej generacji.

Oprac. Jacek Sawicki



Fot. Jerzy Matuszkiewicz



Leopold Tyrmand – pisarz, publicysta, animator polskiego jazzu w latach 1946–1960;
zdjęcie z lat sześćdziesiątych

POZNAŃSKI CZERWIEC '56

Mirośław Szlązak urodził się w 1934 r. w Warszawie. Po wojnie jego ojciec, poszukując bezpiecznego miejsca przed prześladowcami z Urzędu Bezpieczeństwa – ścigany za powiązania z Narodowymi Siłami Zbrojnymi – osiedlił się z rodziną w Kościanie. Po egzaminie dojrzałości autor poniższych wspomnień rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Poznańskiego. Ostatni egzamin zdał 28 czerwca 1956 r. w Collegium Iuridicum przy ul. Kantaka w Poznaniu. Kilkaśmet metrów od tego miejsca, na pl. Józefa Stalina, zebrał się właśnie tłum demonstrantów; wydarzenia Poznańskiego Czerwca stały się faktem, a Mirośław Szlązak ich uczestnikiem. Obecnie prowadzi indywidualną kancelarię adwokacką w Warszawie. Prezentowane poniżej fragmenty pochodzą z większej niepublikowanej całości.

„[...] Powstańcy – bo tak się teraz nazywali, zamierzali opanować siedzibę UB i oswobodzić więźniów politycznych. Sławek i Rysiek maszerowali razem z nimi. [...]

Na czele kolumny kroczył robotnik, trzymając wysoko uniesiony w górę sztandar powstańczy. Płaszczynę białego pola flagi znaczyła rozległa rdzawa plama o nieregularnych kształtach. Było to krwawe znamię pierwszej ofiary tego dnia, wyrwanej z życia kulami bezpieki. Żywa krew, zakrzepła na płótnie, okryła kirem barwy narodowe i stała się relikwią tłumy.

Zwarte szeregi maszerowały ulicą Poznańską. Zaledwie kilkaśmet metrów dzieliło grupę od siedziby UB. Im bliżej do skrzyżowania Poznańskiej z Kochanowskiego, tym szybciej poruszał się tłum. Nikt nie podawał komendy, a mimo to wydłużał się krok marszowy, przechodząc z wolna w bieg. Od czoła kolumny rozległy się krzepiące do czynu słowa: »Hej, kto Polak na bagnety«. Melodię podchwyciły dalsze szeregi, łącząc głosy w jeden bojowy zew. Za chwilę z tysiąca piersi wyrwał się okrzyk – hurra! [...]

Powstańcy jak lawina wpadli zbitymi szeregami na skrzyżowanie. Wirujący wciąż w powietrzu okrzyk »hurra!« ledwie zdążył odbić się echem od zabudowań, a już został zagłuszony salwą karabinową. Po niej nastąpiły krótkie serie z broni maszynowej. Ulicę Kochanowskiego splamiła rozlana krew bratnia. Strzały były równie celne, jak i niespodziewane dla bezbronnych demonstrantów. Ich atak w istocie nie zagrażał uzbrojonej po zęby twierdzy bezpieki. [...]

Na środku skrzyżowania spoczywał nieruchomo człowiek z rozłożonymi ramionami na kształt wielkiego ptaka. Zastygłe dłonie trzymały w pośmiertnym uścisku drzewce sztandaru. Obok leżącego wykwitła plama szkarlatu, odcinając się jaśniejszą barwą od zakrzepłego stygmatu na białym polu chorągwi. [...]

Brak nowych strat w ludziach rozzuchwiał demonstrantów. Powychodzili z zakamarków, zalegając prawie całą szerokość ulicy. Nie baczili na niebezpieczeństwo, które groziło najeżonymi lufami karabinów w oknach bezpieki. W ich oczach palił się gniew, a w sercach tłukła rozpaczliwa niemoc. Dyszeli jednym wielkim pragnieniem: zdobycia UB. Za każdą cenę. Duch walki zawładnął po raz wtóry duszą tłumy i miał go pchnąć w krąg kalectwa i śmierci.

Tak zebrało się kilkadziesiąt osób. Zbyt dużo, żeby wszyscy mieli zginąć, i o wiele za mało, żeby zwyciężyć. Nikt nie czekał na słowa komendy. Wspólne i gromkie »hurra!« rzuciło do szaleńczego ataku. Rwali naprzód, zbrojni w zapał – czasem kamień, kij lub inne naprędce zabrane narzędzie. Główną bronią tej szarzy były szybkie nogi, rozgorączkowane głowy i rozpalone ręce. Przed oczami biegnących majaczyło w odległości około 50 m siedlisko urzędu bezprawia – plugawe i dotąd nietknięte.

Instykt walki ogarnął również i Sławka. Sadził susami po chodniku; byle prędzej i przed siebie. Kątem oka widział sylwetki paru zaledwie osób – tych, którzy go wyprzedzali; za siebie – nie czas się oglądać. Pierwszych strażów nie słyszał. Nie dotarli do jego świadomości krzyki rannych. Tylko wzrok zarejestrował rozkołysaną – jak łódka na wodzie – sylwetkę biegnącego przed nim człowieka. Z karku nieszczęśnika tryskała struga krwi, znacząc czerwoną smugą szerokie plecy. Sławek parł do przodu, omijając leżącego. W przelocie uchwycił szklisty wzrok ofiary i dziwny grymas twarzy: ni to zdziwienia, ni przerażenia.

Ten krwawy epizod to jeden z licznych obrazów, ulice bowiem wnet pokryły ciała ofiar ataku. Niemilknąca kano-nada wyla w powietrzu i cięła jak nóż gilotyny. Ludzie padali, by więcej nie powstać.

– Padnij – przemknęło przez głowę Sławka. Rzucił się więc na chodnik, przywierając powierzchnią całego ciała do zimnych płyt. Rękami osłaniał głowę, wtulając ją pod skrzyżowane ramiona. Czynił rozpaczliwe wysiłki człowieka, któremu śmierć zajrzała w oczy; chciałby się przed nią zapasać bodaj pod ziemię, byle ratować życie. Daremny trud. Sławek odczuł bolesnie niewczesną złośliwość martwych przedmiotów, równą okrucieństwu człowieka. Kamienie chodnika nie chciały ustąpić pod naporem ciała i nie znalazła się taka szczelina, w którą można by wcisnąć choćby palec, a cóż dopiero głowę z resztą ciała. Musiał więc leżeć bez osłony, jak zwierzę wystawione na odstrzał. [...]

– Pod mur – zaświtała zbawcza myśl. Mięśnie zaczęły się napinać, a postulszne im członki – wykonywać ruchy pełzania – ze skraj chodnika w stronę zabudowań. Z wysiłkiem, którego nie czuł, zdobywał przestrzeń życia: cal po calu zbliżał się do podmurówki ogrodzenia, oddzielającego chodnik od budynku. [...] Sposób, w jaki się poruszał, przypominał raka lub kraba, pełzał bowiem w odwróconej pozycji – nogami do przodu. (Takiej osobliwej formy czołgania nie przewidywał żaden regulamin walki piechoty). [...]

Nareszcie stopa trafiła na oczekiwaną próżnię. Jeszcze skręt tułowia, parę szybkich ruchów ku tyłowi i... czyjeś ręce wciągnęły Sławka do bramy. – Dziękuję, koleś – wymamrotał zmęczony na podziękowanie. [...]



Fot. ze zbiorów Mirosława Szlzaka

Mirosław Szlzak w poznańskim Parku Jeżyckim; 1955 r.

Doprowadzenie wyglądu zewnętrznego do stanu jako takiej przyzwoitości poprawiło na tyle samopoczucie, że zapomniał o chwilach trwogi. Gardło wyschło niczym wypalona słońcem kałuża, żołądek zdawał się skurczyć do rozmiarów piłeczki tenisowej. Kanapki, wyciągnięte z kieszeni płaszcza i cudem nie zgniecione – zaspokoily łaknienie; pragnienia, niestety, nie było czym ugasić. Pozostał na pociechę papieros i ukontentowanie, że wydo- stał się bez szwanku z opatów. [...]

Pokrzepiony na ciele i duchu, nie chciał sobie pozwolić na dłuższe lenistwo. Walcząca ulica przyciągała go jak magnes i dla niej opuścił schronienie.

W powietrzu wisała cisza, rzadko przerywana hukami broni palnej. Demonstranci jesz- cze nie zdążyli całkowicie ochłonąć po ostatniej krwawej łaźni i pewnie żaden z nich nie myślał o akcji zaczepnej, przynajmniej na razie. Ukryci w miejscach dla kul niedostępnych, lizali świeżo zadane rany. Nie było nawet czasu, żeby pożegnać tych, którzy na zawsze odeszli. Walka nie dobiegła przecież końca, a każda kolejna chwila miała dopisać na- stępną scenę do tego dramatu. Ludzie sami tworzyli jego sekwencje. Na plan wychodziły pojedynczo, czasami rojnie – zgięte wśród postaci. Padali na ziemię, podnosili się i pędzili; przeważnie na oślep – nie wiadomo dokąd i po co. Umorusane twarze, uszargane ubrania i amok w oczach upodabniały ich bardziej do widziadeł niż do ludzi.

Wymuszoną beczynność przerwał niezwykle wyczyn. Jego bohaterami stali się dwaj młodzi ludzie. Pierwszy z nich, barczysty, o spalonej słońcem twarzy i tak wyrazistych rysach, że bez trudu można było z nich wyczytać cały życiorys. Typowy lekkoduch i praw- dziwy poznański pener¹ – wyróżniał się z otoczenia fryzurą i ubiorem: włosy z ułożoną nad czołem falą i przystryżone z tyłu »w kant«, samodziałowa marynarka, mocno zwę- żone ku dołowi spodnie, skarpetki w prążki i zamszowe buty na grubej »stoninie« (ze- lówce). Wzorzysty (malowany) krawat dopełniał stroju. Krótko mówiąc: bikiniarz, jak to uczenie określały zetempowskie gremia, skore przypiąć łatę każdemu, kto wyrastał poza szarżynę socrealizmu. Ten drugi był kontrastem lub raczej przeciwieństwem pierwsze- go: szczupłej, żeby nie powiedzieć – drobnej budowy ciała, o spokojnym wejrzeniu piwnych oczu, osadzonych głęboko poniżej linii ciemnych włosów. Zarówno jego ubiór, jak i cała powierzchowność mieściły się w stereotypie robotnika, początkującego urzęd- nika, bądź też studenta. Na pozór nie wykraczał poza przeciętność, a jednak przyćmił wszystkich odwagą.

Obaj młodzieńcy nie przystawali do siebie, a mimo to nikt inny, tylko oni dwaj – powa- żyli się na desperacki czyn. Stanęli bok przy boku, rękami oplekli ramiona i jak na paradzie wojskowej – rozpoczęli lewą marsz. Szli wolnym i równym krokiem. Wyprostowani. Z po- gardą dla życia. Spokojnie i godnie nieśli głowy pod topór. Wśród obecnych powiato grozą. Przykład dwóch straceńców podziałał tak dalece na pozostałych, że zerwał zasłonę obawy o swój własny los. Ukryci dotąd po bramach i za opłotkami, wylegli tłumnie na jezdnię. Nie zakwilił żaden ptak i nie padło żadne słowo. Widzowie tego spektaklu wstrzy- mywali oddech, bo życie tych dwóch było teraz tkane tak cienką pajęczyną, że lada po- dmuch mógł ją przerwać. Umilkły strzały z willi pod numerem 49; zmowa ciszy objęła cały kwartał ulicy i nikt nie ważył się jej zakłócić. Również ubowcy zaprzestali strzelaniny w tym kierunku. Echa wystrzałów, które stamtąd dochodziły, były dalekie i przytłumione. Zapew- ne cały ogień skierowano na ulicę Dąbrowskiego, gdzie skupiły się znaczne siły demon- strantów.

Przez ten czas i na tej ulicy szły równo i miarowo dwie przytulone do siebie postacie mężczyzn, trzymając ręce na ramionach w braterskim splocie. – Dać im osłonę ogniową – przerwał męczącą ciszę jakiś cywil w wojskowej czapce. – Lepiej wiara nie strzelać, bo to ich rozpici² – trafnie zauważył ktoś inny i na tym urwano wymianę zdań. I pewnie dobrze się stało, że nikt nie sprowokował użyciem broni bezwzględnych przeciwników

¹ W gwarze poznańskiej: rozrabiaka.

² W gwarze poznańskiej: rozzłości.

do nowego wybuchu przytłumionej agresji. – Doszli – z westchnieniem ulgi wyszeptał Sławek, widząc jak na dłoni zastygłe w bezruchu sylwetki – na wprost bezpieki. Z nadmiaru emocji uszedł chwilowo jego uwadze ważki szczegół: na wysokości gmachu obaj młodzieńcy zgrabnym w prawo zwrot zmienili front i stanęli twarzą w twarz z zaczajoną za murami śmiercią. Stali krótko; potem rozpletli ramiona, uściśniły sobie dłonie i pochylili głowy. Patrzyli jakby w otchłań ziemi, podobni do pasterzy, którzy w głębi studni szukają swojego odbicia. Odnaleźli siebie żywych. Przeżyli. I wrócili – w ramiona demonstrantów. [...]

Czas upływał, a cel akcji pozostawał nietknięty. Demonstranci oczekiwali czegoś niezwykłego lub raczej cudu – zagłady UB przy pomocy wojska, które dotąd nieobecne, miało się objawić zbrojne w pancerze czołgów, armatnie kule i wołę walki wspólnie z ludem. To pobożne życzenie dzisiaj się spełniło – nieoczekiwanie szybko i nadszpiewanie żałośnie. Dla ludu. Na razie próby skrócenia dystansu do atakowanych spełzły na niczym. Zapal nie mógł zastąpić odpowiedniego uzbrojenia. Nawet willa przy Kochanowskiego 49 dawała coraz bardziej anemiczne oznaki swego istnienia; długie przerwy w ostrzale wymownie świadczyły o wyczerpującej się amunicji. Odmierna sytuacja panowała u przeciwników. Wskazywała na nią gęstniejąca strzelanina, i to w obu kierunkach ulicy.

Niespodziewaną nadzieję na korzystny przełom w tych beznadziejnych zmaganiach wzbudziło w tłumie pojawienie się czołgu. Autentyczny kolos sunął z łośkotem żelaza od strony Dąbrowskiego. Przedefilował przed gmachem UB i zawiadaczając obracając wieżę, walił całą mocą silników w kierunku Poznańskiej, jakby chciał staranować wszystko, co stało murem w poprzek jego drogi. Pojawienie się maszyny wywołało trudną do opisu euforię; czapki fruwały nad głowami, nieznanymi ludzie brali się w objęcia, a okrzyków triumfu nie mógł zagłuszyć nawet łomot metalowych kół na ogniach gąsienic. Czołg przeleciał wzdłuż ulicy z prędkością huraganu i równie gwałtownie się zatrzymał; stalowe blachy wryły



Fot. ze zbiorów Mirosława Szlązaka

Autor wspomnień (u góry, pierwszy od lewej) z kolegami z III roku Wydziału Prawa przed wejściem do Collegium Minus Uniwersytetu Poznańskiego (obecnie UAM); maj 1955 r.

się w jezdnię skrzyżowania. Z otwartego wjazdu wyskoczył mężczyzna w cywilnym ubraniu, w geście rozpaczy rozłożył ręce i wskazał na milczące działo. Nie wyrzekł ani słowa, a zrozumieli go wszyscy; brakowało amunicji. Równie bezużyteczne jak armata były karabiny maszynowe, wbudowane w skorupę pancerza. Tkwiły w nim bezwstydnie, okazując swoją słabość. Na przekór rozbudzonym oczekiwaniom.

Kilku śmiazków podjęło próbę wykorzystania pojazdu jako tarczy i pobiegło za jego osłoną w kierunku UB. Ruch czołgu sprowokował ostrą kanonadę broni maszynowej; pociski trzaskały po osłonie czołgu, a rykoszety wzbijały pył z rozbijanych płyt chodników. Ta ruchoma barykada przesunęła się wzdłuż murów bezpieki i zniknęła z pola widzenia gdzieś na wysokości Dąbrowskiego. Po czołgu pozostały tumany kurzu i utracona nadzieja.

Mimo bezsilności nie załamywano rąk. Szukano usilnie sposobu na przełamanie obrony UB. I znaleziono bardzo groźną broń zaczepną – butelki z benzyną. Zamysł, zanim dojrzał na Poznańskiej, został wprowadzony w czyn przez tych z Dąbrowskiego. Zwiastowały go smugi czarnego dymu, wybuchające z okien bezpieki. Na ten widok radośnie jak alleluja – zabrzmiało »hurra«. Wiwatowali ci z Poznańskiej. Strategia walki ogniem potoczyła obie ulice. W ludzi wstąpiły nowe siły. [...]

Nienawiść, niestety, pokazała i tu [po stronie demonstrantów – red.] swoje właściwe – ślepe oblicze. Ugodziła młodego człowieka, który nie myśląc [...] co robi, wyciągnął ukradkiem spod bluzy aparat fotograficzny i nerwowo wycelował obiektyw w kiluosobową grupę, przygotowaną do natarcia na UB. Skutek był natychmiastowy: okrzyk »ubowiec« zelektryzował najbliższych i w następnej chwili twarda pięść wylądowała na podbródku fotografa amatora. Cios był silny i precyzyjnie wymierzony. Każdy obserwator, nawet nieobeznany z arkanami boksu, mógł poznać po technice uderzenia, że ręka, która go zadała, nie należy do dyletanta. Prawy sierp był wyprowadzony z barku i poparty skrętem nóg i tułowia, nadając pięści miazdzącą siłę. Przyjęcie takiego ciosu w podbródek powinno spowodować natychmiastową utratę przytomności i upadek na wznak. Przypadek zrzędził, że tak się nie stało; atakowany poślizgnął się w momencie, w którym kułak miał go grzmotnąć, i ten mimowolny unik ocalił go przed nokautem, a szczękę przed zdruzgotaniem. Przez krąg ludzi patrzących przeszedł szmer podziwu dla błyskotliwej akcji napastnika, a w chwilę później jęk zawodu, gdy zaatakowany nie padł jak kłoda na ziemię. Jedynym dotąd widocznym efektem natarcia był upadek aparatu fotograficznego. Nie mogło to zadowolić widzów, którzy stali półkolem; rzucili się więc spotem na ofiarę, zadając razy ze wszystkich stron i z każdej pozycji. Lawina uderzeń, jak dobrze pracującej młockarni, spadła na głowę atakowanego i otoczyła cały jego tułów. Nacierali nie jednym, ale seriami ciosów, skłębionych w powietrzu i szybkich jak gromy. Prawdziwa nawałnica wściekłości, siejąca zniszczenie. Dziwne, że fotograf trzymał się jeszcze na chwiejnych nogach, chociaż zataczał się coraz bardziej; bezbronny, z opuszczoną gardą i bez cienia szansy. To nie była walka ani zwykłe mordobicie, lecz zabójstwo na raty. Nikt nie miał co do tego żadnych wątpliwości, a każdy – zdawało się – rad by widzieć krwawą bryłę mięsa w miejsce tego człowieka.

Przed zupełnym linczem uratowała go przytomność umysłu i rozważa starszego wiekiem robotnika, który dotąd w milczeniu przyglądał się tej scenie. – Sprawdzić go, wiara! – ryknął basem, i nie czekając na reakcję, rzucił się na pokrwawioną ofiarę. Ostudziło to na tyle zapal napastników, że podtrzymali sflaniającego się na nogach i przetrząsnęli zewnętrzne kieszenie jego ubrania. Gorączkowo przeszukano ich zawartość i zamiast czarnej legitymacji znaleziono dowód osobisty z ostemplowanym miejscem pracy. Pieczętka rozwała wszelkie wątpliwości: bitym był cegielszczak.

I oto ci sami ludzie, którzy przed chwilą masakrowali ciosami człowieka, teraz w uniesieniu nieśli pechowca na ramionach, podtrzymując troskliwie jego porozbijaną głowę. Krwiożercze dotąd bestie zmieniły się w stadko potulnych baranków, a rozbudzony nieracjonalną podnieętą instynkt gwałtu przeszedł raptowną metamorfozę, przeradzając się w opiekuńczy samarytanizm.

Ogień wzniesiony w budynku UB dopalał się powoli, wraz z nim gasta nadzieja opowania twierdzy. [...]

Postanowił wracać do domu. Już zamierzał opuścić Kochanowskiego, gdy dał się słyszeć warkot motoru i z Poznańskiej wynurzyła się przysadzista bryła wojskowego zisa. Zwiększyła zgubna pokusa – zamiast niezwłocznie uciec, zdecydował się pozostać i sprawdzić, co oznacza przybycie pojazdu. Ciekawość zaspokoił szybciej, niż się tego spodziewał i – na swoje nieszczęście. Samochód, perkocząc dychawicznym silnikiem, zatrzymał się tuż za skrzyżowaniem, kryjąc się za chmurą czarnego dymu z rury wydechowej. Z okrytej brezentem budy wysypał się pluton podchorążych, starannie uzbrojonych, co świadczyło korzystnie o ich wartości bojowej, w przeciwieństwie do środka transportu, z jakiego korzystali. Żołnierze rozsypali się w tyralierę, a Sławek znalazł się w matni. Uświadomił sobie bez trudu, że klatka schodowa daje mizerne schronienie przed łapanką. W ostateczności pozostawały do dyspozycji dach i piwnice, o ile był do nich dostęp, bo mieszkania – o czym się wcześniej przekonał – były zamknięte na cztery spusty. Po krótkim namyśle zdecydował się podjąć ryzykowną, ale – jak sądził – najprostszą próbę; przedrzeć się z potrzasku.

Spostrzegł też niebawem ku swemu zdumieniu, że rozsypani wzdłuż ulicy żołnierze byli niezdecydowani – jakby się wahali, sprawiając wrażenie stada wilków, pozbawionego przewodnika. Naiwni demonstranci przyjęli to jako oznakę życzliwości ze strony żołnierzy. Kilku robotników podbiegło do podchorążych, unosząc ręce na znak radości i braterstwa. Zawiedli się sromotnie: młodzi i na pozór sympatyczni kadeci wysunęli przed siebie ostrza bagnietów, kierując je wprost w robotnicze piersi. Jeszcze nie kąsali, ale pokazali szpony bestii. Powiało grozą i smętkiem. Odruch przyjaźni i zaufania dla munduru trafił na »blaszany bębenek«. Ślepe bagnety nie zaczęły myśleć.

– Strzelaj, synu! – wykrzyknął nagle stojący obok Sławka zdeterminowany robotnik; potem rozpiął koszulę i obnażoną piersią rzucił nieme wyzwanie żołnierzowi. Podchorąży nie wiedział, co począć; przestępował z nogi na nogę, raz opuszczał broń, to ją znów podnosił i wodził wokół niepewnym wzrokiem. Brak zachęty ze strony żołnierzy i groźne błyski w oczach demonstrantów przechyliły szalę na stronę życia; kapral podchorąży, ociągając się, zawiesił karabin na ramieniu i przyjął wyczekującą postawę. Kolejny akt dramatu został zażegnany. [...]

Ukradkowa obserwacja ulicy Poznańskiej nie pozwalała na optymizm; na skrzyżowaniu pojawiły się czołgi, a sformowani obecnie w kordon podchorążacy przeczesywali teren, penetrując również bramy i – być może – klatki schodowe kamienic. Poszukiwali owych »rozwydrzonych chuliganów« i pewnie dlatego zatrzymywali każdego, kto wpadł im w ręce – nawet dzieci.

Właśnie z pobliskiej bramy wybiegł dwunastoletni – na oko – chłopiec i niezdarnie wymachując pistoletem maszynowym, podbiegł radosny do żołnierzy, pokazując im z dumą swoją zdobycz. Wywołało to bandycką reakcję ze strony dowódcy patrolu – młodsze oficera: odkomenderował żołnierza i pewnie rozkazał mu pilnie strzec małego terrorysty, ponieważ chłopcu kazano stanąć pod murem i twarzą do niego. Za plecami dziecka – i w bezpiecznej odległości – sterczał bagnet, karabin i żołdak.

– Musi mu być bardzo nieswojo stać z karabinową lufą tuż za plecami – przemknęło przez głowę Sławka. – Wystarczy lekko nacisnąć na spust i nawet ten mały człowiek nie usłyszy huku, a już będzie po nim. Zaśmiał się pogardliwie z żołnierza i z jego strzelby i na koniec z tej kuli, która mogła wystrzelić ręką dużego człowieka. Potem zaklął w duchu, a klął długo i siarczyście. Z obrzydzeniem. Zanim zdążył obrzucić błotem żołnierzy, a wraz z nimi prawie całą nieprzyjazny dzisiaj świat, spostrzegł dziwny ruch w oknie kamienicy z naprzeciwka. Czyjaś ręka ostrożnie uchyliła okno i powoli wysunęła się lufa karabinu. Sławek z wrażenia wstrzymał oddech i zastygł w bezruchu, wskazując wzrokiem koledze swoje radosne odkrycie. Krótki, urywany huk wystrzału zaświdrował w uszach i dobrze wymierzona kula nie chybiła celu. Żołnierz osunął się bezgłośnie na jezdnię, a przestraszony strzałem chłopak podskoczył do góry, tak jakby w niego uderzył pocisk; potem dał drapaką, znikając za rogiem Jeżyckiej.

– Pysnął, jak rany Boga, pysnął – zagrzmiał triumfalnie Sławek prosto do ucha kolegi. [...]

„CHCIAŁEM TOWARZYSZOWI MINISTROWI PODZIĘKOWAĆ...”

Dwadzieścia pięć lat po robotniczych protestach w Radomiu, Ursusie i Płocku w czerwcu 1976 r., Janusz Prokopiak, były I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Radomiu, wydał książkę¹. Znalazły się w niej nie tylko wspomnienia z pobytu w Radomiu w latach 1975–1981, fragmenty udzielonych przez niego wywiadów, ale również wybór spośród dwóch tysięcy listów otrzymanych w 1981 r.

Wokół publikacji rozpętała się burza. Janusz Prokopiak zakwestionował bowiem istnienie radomskich „ścieżek zdrowia”². Sprzeciw budziły również jego stwierdzenia – na temat pozostających w ścisłym związku z Czerwcem 1976 r. – okoliczności śmierci Jana Brożyny (we wspomnieniach Prokopia Zbrożyny) i ks. Romana Kotlarza³. W czasie burzliwej dyskusji przy okazji promocji książki w Klubie Księgarza przy Rynku Starego Miasta w Warszawie 6 listopada 2001 r. Prokopiak – ignorując istnienie dziesiątków relacji zarówno brutalnie pobitych osób zatrzymanych w związku z protestem 25 czerwca 1976 r., jak i związanych z opozycją osób, które na własne oczy jeszcze we wrześniu 1976 r. widziały na ciałach represjonowanych ślady po uderzeniach – stwierdził, nawiązując przy tym do dotychczasowych publikacji, że to, „co obecnie piszą historycy o wydarzeniach w Radomiu, jest manipulacją i oszustwem [...] ścieżki zdrowia są terminem wymyślonym przez Zbigniewa Romaszewskiego w 1981 roku”⁴.

W świetle wszystkich dotychczasowych publikacji na ten temat uważam⁵, że w tym miejscu nie ma sensu polemizować z tak postawioną tezą. Pragnę natomiast – za pomocą zaledwie kilku przykładów – skłonić do refleksji nad wartością poznawczą wspomnień bytego I sekretarza KW PZPR w Radomiu.

Janusz Prokopiak pisze bowiem, że wraz z egzekutywą Komitetu Wojewódzkiego został poinformowany o planowanej „operacji podwyżki cen” „trzy dni przed zapowiadaną zmianą cen”, która stała się bezpośrednią przyczyną protestów społecznych⁶. Tymczasem nawet jeśli nie znał wcześniej dokładnego terminu jej przeprowadzenia, to uczestniczył w spotkaniach I sekretarza KW PZPR w Komitecie Centralnym PZPR w Warszawie, na których omawiano założenia zbliżającej się „reformy struktury cen”. Jedno z takich spotkań odbyło się w dniach 8–9 czerwca 1976 r.⁷

¹ J. Prokopiak, *Radomski czerwiec '76. Wspomnienia partyjnego sekretarza*, Warszawa–Radom 2001.

² *Ibidem*, s. 196–198.

³ *Ibidem*, s. 71, 73.

⁴ P. Wroński, *Kłamstwa radomskie. Skandaliczna książka o Czerwcu '76*, „Gazeta Wyborcza”, 8 XI 2001 r. Obszernie na temat głosów związanych z publikacją wspomnień Prokopia – zob. W. Młynarczyk, *Post scriptum [w:] Czerwiec 1976. Spory i refleksje po 25 latach*, red. P. Sasanka i R. Spatek, Warszawa 2003, s. 90–92.

⁵ Autor pod kierunkiem prof. Jerzego Eislera przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą przyczynom, przebiegowi i konsekwencjom Czerwca '76.

⁶ J. Prokopiak, *op. cit.*, s. 49.

⁷ Zob. *Czerwiec 1976 w materiałach archiwalnych*, wybór, wstęp i oprac. J. Eisler, Warszawa 2001, *Informacja o spotkaniach z I sekretarzami KW w sprawie zamierzeń dotyczących decyzji cenowych*, dokument nr 6, s. 86–92.

Wątpliwości wzbudza również podawany przez Prokopiaka czas, w którym zapoznał się z nowymi – już dostarczonymi do Radomia – cennikami. Napisał on bowiem, że 24 czerwca 1976 r. wieczorem „ku ogólnemu zdziwieniu stwierdziłem, że nic nie wiem o konkretnych, nie widziałem nowych cenników. Miały być dostarczone specpocztą i były w komendzie milicji, cały worek, jednak z dyspozycją przekazania do mnie 25 czerwca 1976 r. rano o godzinie 10. Natomiast rano od siódmej zaczynały się konsultacje, bez poznania nowych cen”⁸. Według tej informacji, na wyraźne żądanie I sekretarza KW, nowe cenniki – wieczorem 24 czerwca 1976 r. – miał doręczyć komendant wojewódzki MO w Radomiu płk Marian Mozgawa.

Obecnie wiadomo już, że dostarczanie dokumentów I sekretarzom KW PZPR i wojewodom we wszystkich województwach odbywało się 24 czerwca 1976 r., a więc dniu, w którym premier Piotr Jaroszewicz z trybuny sejmowej mówił o „projekcie propozycji cenowych”⁹. I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Płocku Franciszek Tekliński i wojewoda płocki Kazimierz Janiak odebrali tego dnia – co potwierdzili własnoręcznymi podpisami w protokołach przekazania – adresowane do nich przesyłki o godzinie 12.00¹⁰. O skali przedsięwzięcia, doskonale zsynchronizowanego w czasie, świadczy to, że uczestniczyło w nim niemal 1500 funkcjonariuszy ZOMO oraz 480 samochodów różnego typu. W pierwszym etapie osiem specjalnych konwojów przetransportowało 2000 worków z „przesyłką specjalną” z Warszawy do Byd-



Demonstranci przed budynkiem
Urzędu Miejskiego w Radomiu

⁸ J. Prokopiak, *op. cit.*, s. 50.

⁹ Zob. AIPN, IPN 0753/36, Harmonogram druku i ekspedycji przesyłek specjalnych (w ramach ćwiczenia „Lato-76”), 16 VI 1976 r., k. 161–166.

¹⁰ AIPN, IPN 0753/39, Protokół przekazania podpisany przez komendanta wojewódzkiego MO w Płocku płk. T. Dutkiewicza i wojewodę płockiego Kazimierza Janiaka, 24 VI 1976 r., k. 104; *ibidem*, protokół przekazania podpisany przez Dutkiewicza oraz I sekretarza KW PZPR w Płocku Franciszka Teklińskiego, 24 VI 1976 r., k. 105.

goszczy, Częstochowy, Kielc, Lublina, Łodzi, Łomży, Poznania i Wrocławia. W tych miejscowościach cenniki odebrały konwoje z pozostałych miast, które dostarczyły je na miejsce przeznaczenia¹¹. Wolno przypuszczać, że szyfrogram dyrektora Biura Operacyjnego Komendy Głównej MO płk. Czesława Kurpiasa – wysłany 24 czerwca o godzinie 20.30, w którym wszystkim komendantom wojewódzkim MO nakazano niezwłoczne przekazanie całego pakietu adresowanego do sekretarzy komitetów wojewódzkich PZPR – oznaczał ponaglenie tych komend wojewódzkich, w których do tej godziny jeszcze tego nie uczyniono, przy czym mogło się to odnosić raczej do województw najbardziej oddalonych od Warszawy, choć nie można też oczywiście wykluczyć Radomia¹².

Nie zamierzając nawiązywać do przedstawionego w książce Janusza Prokopiaka obrazu wydarzeń w Radomiu 25 czerwca 1976 r., pragnę zwrócić jeszcze uwagę na to, w jakim świetle przedstawił się autor wspomnień, pisząc o kulisach organizacji wiecu potępiającego „radomskich warchołów”, jaki odbył się 30 czerwca 1976 r. na stadionie Radomiaka. Prezydent Radomia Tadeusz Karwicki wygłosił wówczas przemówienie, przygotowane w Komitecie Centralnym PZPR, o którym sam po latach powiedział: „Ubliżono naszemu społeczeństwu, naszej klasie robotniczej, na naszej radomskiej ziemi”¹³. Sam Prokopiak we wspomnieniach stwierdził, że zastępca członka Biura Politycznego i sekretarz KC Jerzy Łukaszewicz „przywiózł wystąpienie, które miałem odczytać”, następnie zaś podkreślił, że Łukaszewicz postawił wobec niego sprawę jasno: „czytam przygotowany tekst lub zrobi to ktoś inny”. O samym wiecu zaś napisał, że była to „swoista demonstracja pogardy wobec radomian”¹⁴.

Podobnie po latach wypowiadał się na tamach prasy: „To zbiegowisko ludzi wymierzone przeciwko radomianom przypominało najgorsze czasy PRL, kiedy scenariusze takich imprez rodziły się w gabinetach sekretarzy KC”¹⁵. Wobec faktu, że w czasie wiecu ostatecznie przemawiał Karwicki i „mówił to, co mu napisali”¹⁶, autor zdaje się sugerować, iż odmówił wygłoszenia przygotowanego tekstu. Zresztą potwierdzał to wcześniej publicznie¹⁷. Kilkanaście lat wcześniej ujmował rzecz inaczej: „Wiem, że [oprócz Łukaszewicza – P.S.] uczestniczył w tym również czynnie Zdzisław Żandarowski, sekretarz KC, który oświadczył mi osobiście, że ja nie będę na wiecu przemawiał. Sądzę, że byłem już przygotowany do zdjęcia ze stanowiska i dlatego nie miałem przemawiać [...] Byłem przeciwny ściąganiu delegacji z innych województw”¹⁸.

Tymczasem Tadeusz Karwicki – starając się odtworzyć decydującą rozmowę – wspominał, że wezwano go do gabinetu I sekretarza KW w Radomiu, w którym zastał już „dwóch towarzyszy z Komitetu Centralnego. Zakomunikował mi sekretarz, że będzie wiec w Radomiu i mam odczytać gotowy już tekst”¹⁹. Na zgłoszone wątpliwości miał usłyszeć: „Wasze miasto, wy prezydent, to czytacie”²⁰. To zamykało dyskusję.

¹¹ AIPN, IPN 0753/36, Podstawowe założenia transportu siłami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przesyłek specjalnych do Komend Wojewódzkich MO w ramach ćwiczenia „Lato-76”, 11 VI 1976 r., k. 60–67.

¹² AIPN, IPN 0753/35, Szyfrogram dyrektora Biura Operacyjnego KG MO płk. Czesława Kurpiasa do komendantów wojewódzkich MO, 24 VI 1976 r., k. 104.

¹³ Cyt. za: S. Ciesielski, Wydarzenia czerwcowe 1976 roku [w:] *Przesilenia i zwroty w dziejach Polski Ludowej*, „Zeszyty Naukowe WAP” 1982, nr 110, s. 119.

¹⁴ J. Prokopiak, op. cit., s. 64.

¹⁵ *Radom w ogniu. Pierwszy od 20 lat wywiad z I sekretarzem KW PZPR w Radomiu Januszem Prokopiakiem dla „Słowa Ludu” na temat wydarzeń 25 czerwca 1976 r.*, „Magazyn Słowa Ludu” 1996, nr 1924.

¹⁶ *Ibidem*, s. 64.

¹⁷ *Miasto z wyrokiem*, oprac. K. Madoń-Mitzner, „Karta” 1998, nr 25, s. 55.

¹⁸ J. Prokopiak, *Czy dzisiaj ludzie uwierzą – rozmowa z J. Prokopiakiem*, „Życie Warszawy”, 25 VI 1981 r.

¹⁹ K. Falkiewicz, *Czerwiec 76 w Radomiu*, „Życie Załogi”, 10–20 VI 1981 r.

²⁰ Cyt. za: *Miasto z wyrokiem...*, s. 55.

Zatrzymując się jeszcze przez chwilę przy wiecu na stadionie Radomiaka, warto zastanowić się nad tym, jak duży musiał być wysiłek włożony w jego organizację, zarówno ze strony Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Radomiu²¹, jak i jednostek podległych Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Co do tych ostatnich, skazani jesteśmy na poszukiwanie analogii, gdyż dysponujemy opisem „zabezpieczenia operacyjnego” wiecu, jaki odbył się 28 czerwca 1976 r. na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie²². Otóż do „ochrony” wiecu, w którym miało uczestniczyć blisko 100 tys. osób, zaangażowano łącznie około 4300 funkcjonariuszy, w tym m.in. zwarte jednostki ZOMO, wyposażone w armatki wodne, oraz ubranych po cywilnemu słuchaczy Akademii Spraw Wewnętrznych, Wyższej Szkoły Oficerskiej w Legionowie i członków Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej. W tej chwili trudno powiedzieć, jak duże siły zaangażowano w czasie wiecu w Radomiu, zważywszy, że części jednostek uczestniczących w pacyfikacji miasta 25 czerwca 1976 r. z pewnością jeszcze nie odesłano do macierzystych miejscowości. Niemniej wydaje się, że właśnie ten wiec, „w mieście warchotów”, pod względem „zabezpieczenia operacyjnego” był wiecem szczególnym.

W swoich wspomnieniach Janusz Prokopiak jawi się jako osoba, która – niejako przez przypadek – znalazła się w samym centrum dramatycznych wydarzeń, przy czym miała minimalny wpływ na ich przebieg, gdyż większość decyzji podejmowano w Warszawie, albo w KC PZPR, albo w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Prezentuje się również jako osoba, która o wielu rzeczach nie wiedziała – nic nie widziała i nic nie słyszała. Brzmi to zaskakująco, zwłaszcza gdy odniesie się to do kogoś zajmującego najważniejsze stanowisko w województwie radomskim. Tymczasem jeden z dokumentów odnalezionych w Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej stawia postać I sekretarza KW PZPR w Radomiu w innym świetle. Zapisu z nagranej²³ w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych rozmowy między Januszem Prokopiakiem a wiceministrem spraw wewnętrznych i kierownikiem sztabu MSW gen. Bogusławem Stachurą nie trzeba chyba opatrzyć komentarzem.

Dokument nr 1

1 lipca 1976 r., Warszawa – Stenogram rozmowy telefonicznej pomiędzy sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Radomiu Januszem Prokopiakiem a wiceministrem spraw wewnętrznych gen. Bogusławem Stachurą.

„Linia 11” (M) (Mrz Wcz)
z dn[ia] 1 lipca 1976
Godz[ina] 12.04
Szp[ula] R-252

Sekretarz Prokopiak z Min[istrem] Stachurą

P – Chciałem Towarzyszowi Ministrowi podziękować. Na wasze ręce złożyć podziękowania za dobrą tutaj działalność, postawę naszych wszystkich służb, Milicji i Bezpieczeństwa.

²¹ Por. wstęp autorstwa Jerzego Eislera, *Czerwiec 1976 w materiałach archiwalnych...*, s. 56.

²² Zob. AIPN, IPN 0753/48, Plan zabezpieczenia wiecu organizowanego na Stadionie X-lecia w Warszawie, 27 VI 1976 r.

²³ Regulamin pracy Sztabu MSW przewidywał m.in., że polecenia „kierownictwa i sztabu MSW będą rejestrowane oraz wydawane w formie decyzji pisemnych albo ustnych. Decyzje ustne będą potwierdzane pisemnie”. AIPN, IPN 0753/36, Regulamin pracy sztabu MSW, 11 VI 1976 r., k. 22.

M – Ku chwale Ojczyzny, towarzyszu Sekretarzu.

P – Po prostu, słuchajcie, muszę Wam powiedzieć taką rzecz. Zaangażowanie tych ludzi, postawa, w tych takich, powiedziałbym trudnych warunkach przecież. I w trudnej sytuacji. No jest tak wielkie, tak ogromne, że my nie jesteśmy w stanie. No ten wiec na przykład wczorajszy żeśmy zrobili, który nawet nieźle zupełnie wyszedł, no bardzo szybko, bardzo sprawnie. Ci towarzysze stanęli wszyscy na wysokości zadania. No muszę Wam powiedzieć, że jestem pełen podziwu dla tych ludzi.

M – Dziękuję bardzo.

P – Dlatego na Wasze ręce przekazuję te słowa najwyższego uznania.

M – Towarzyszu Sekretarzu, ja myślę, że te słowa tego waszego podziękowania dotyczą również tego 25 [25 czerwca 1976 r. – P.S.].

P – Wszystko od początku do końca.

M – Całości?

P – Od początku do końca.

M – No to mnie bardzo cieszy, dlatego że czasami potem, jak już jest po wypadkach, to tak się ludzie zastanawiają: a co by było gdyby. Uważamy, że wszyscy razem w Radomiu żeśmy prawidłowo działali.

P – Jasno i sprawnie.

M – Wszyscy razem. Bo gdybyśmy byli bardziej nerwowi, to w tej chwili by się z nami reakcja rozprawiła.

P – Jasne.

M – A tak to my się będziemy mogli rozprawić z nimi, jak będziemy oczywiście na tyle silni i zdecydowani.

P – Jasne, tak jest.

M – No to dziękuję bardzo.

P – Ja sądzę, Towarzyszu Generale, że my zrobimy tak, jak już się nam tu wszystko trochę unormuje.

M – Tak.

P – Bo my tu w odpowiednim zespole tych ludzi będziemy się musieli spotkać i dać im wyraz naszego szacunku i stosunku, i podziękować za ich tę piękną służbę.

M – No to dziękuję bardzo.

P – Ja z taką inicjatywą wyjdę.

M – Tak jest. Dziękuję bardzo. Przekażę wasze podziękowanie Ministrowi, który w tej chwili jest na posiedzeniu Biura.

P – Tak jest. Bardzo serdecznie proszę. Ja też jeszcze do niego odrębnie zadzwonię.

M – Bardzo proszę. Dziękuję.

P – Wszystkiego dobrego, kłaniam się.

M – Do widzenia.

Wyk[onano] w 1 egz[emplarzu]

Otrz[ymał] Sekr[etarz] Sztabu MSW

Tow. Wadowski

Oprac[ował] Insp[ektor] Wydz[iału] I Dep[artamentu] Techn[icznego]

Mjr M. Nowaczyk

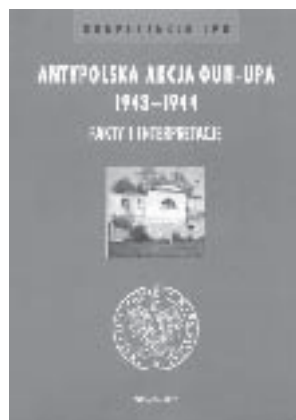
Źródło: AIPN, IPN 0753/37, k. 102–103, oryginał, mps.

Pierwsza w serii „Słowniki” książka jest zapisem życiorysów ludzi, którzy nie pogodzili się z powojenną rzeczywistością i w najtrudniejszych czasach prowadzili walkę o niepodległą Polskę. Autorami biografii są znawcy powojennej historii Polski, którym udało się dotrzeć do skrytych w okresie PRL dokumentów i świadectw. W przygotowaniu kolejny tom.



(cena: 40,00 zł)

W nowym tomie z serii „Konferencje IPN” prezentujemy materiały z odbytej w maju 2001 r. w Lublinie konferencji „Antypolska akcja OUN-UPA w latach 1943-1944”. Autorzy omawiają przebieg antypolskiej akcji OUN-UPA na Wołyniu oraz w Galicji Wschodniej, a także sposób jej przedstawienia w literaturze naukowej i podręcznikach szkolnych.



(nakład wyczerpany)

Kolejny tom serii „Konferencje IPN” jest poświęcony Nowej Hucie, która miała być wzorcowym, komunistycznym miastem zamieszkanym przez ludzi szczęśliwych, z poświęceniem budujących kombinat i nowy system, lecz stała się bastionem antykomunistycznego oporu. Przez kilkadziesiąt lat ścierały się tu dwa światy: partyjnej władzy, kłamstwa, ideologicznej presji oraz wierności przekonania i sumienia, godności, uczciwości, patriotyzmu i solidarności.

Publikacja prezentuje wyniki badań naukowych nad zbrodniami popełnionymi na polskich Żydach w Jedwabnem, Radziłowie i innych miejscowościach łomżyńskiego i białostockiego latem 1941 r. Tom pierwszy zawiera studia, które przedstawiają te wydarzenia na szerokim tle historycznym. W tomie drugim opublikowano dokumenty polskie, sowieckie i niemieckie, relacje uczestników wydarzeń, raporty wojskowe, świadectwa ocalałych Żydów oraz akta śledztw i procesów karnych w sprawie zbrodni w Jedwabnem i Radziłowie.

(cena: t. I/II 95,00 zł)



- **„Podziemie zbrojne na Lubelszczyźnie wobec dwóch totalitaryzmów 1939–1956”**
 Tom poświęcony jest losom pokolenia konspiratorów na Lubelszczyźnie. Autorzy tekstów analizują metody działania i szanse podziemia zbrojnego lat 1939–1956. Stawiają tezę, że konspiracja antykomunistyczna była kontynuacją konspiracji antyhitlerowskiej. Celem jednej i drugiej była niepodległa i demokratyczna Polska. (nakład wyczerpany)
- **„Ukraińcy na zachodnich i północnych ziemiach Polski 1947–1957”**
 W serii „Monografie” publikowane są książki poświęcone najnowszej historii Polski, opisujące losy obywateli polskich w latach 1939–1989. Pierwszy tom serii prezentuje politykę władz Polski Ludowej wobec Ukraińców – od akcji „Wisła” (1947) po utworzenie Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (1957). Opisuje trudne adaptowanie się Ukraińców na terenach, na które zostali przesiedleni, i ich uparte dążenie do powrotu. (nakład wyczerpany)
- **„Obóz pracy w Świętochłowicach w 1945 r.”**
 Obóz pracy w Świętochłowicach (luty–listopad 1945 r.) założony został w barakach po filii obozu oświęcimskiego Eintrachthütte, przeznaczony był dla „zdradców narodu polskiego”, „zbrodniarzy faszystowsko-hitlerowskich” i „wrogich elementów”. Stał się miejscem odosobnienia przede wszystkim dla Ślązaków, których jedyną winą było wpisanie ich podczas okupacji na niemiecką listę narodowościową. Tom jest pierwszym wyborem dokumentów ukazujących funkcjonowanie obozów pracy w powojennej Polsce. (nakład wyczerpany)
- **„Poznański Czerwiec 1956”**
 Kolejny tom serii „Konferencje IPN” jest poświęcony poznańskiemu Czerwcowi 1956 r. Autorzy tekstów analizują pomijane dotychczas wątki, jak sytuacja w więzieniach, reakcje społeczeństwa polskiego na wydarzenia w Poznaniu oraz komentarze prasy krajowej i zagranicznej. Ich ustalenia potwierdzają tezę, że poznański Czerwiec był początkiem walki o demokratyzację życia w Polsce. (cena: 15,00 zł)

W serii „Monografie” publikujemy książkę Grzegorza Jakubowskiego (1954–2001), archiwisty i historyka, który od września 2000 r. do śmierci piastował funkcję dyrektora Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN. Książka ukazuje proces odbudowy i organizacji systemu sądowniczego w powojennej Polsce. Przedstawia działania władz zmierzające do podporządkowania wymiaru sprawiedliwości potrzebom bieżącej polityki i starania prawników o zachowanie jego niezawisłości.

(cena: 35,00 zł)



„Pamięć i Sprawiedliwość”

Pismo naukowe, ukazujące się w cyklu półrocznym; prezentuje wyniki badań nad zbrodniami popełnionymi na obywatelach polskich przez III Rzeszę i Związek Radziecki w czasie drugiej wojny światowej oraz nad systemem komunistycznym w Polsce. Działy: *Dyskusje, Studia, Dokumenty i relacje, Recenzje*.



Publikacje Instytutu Pamięci Narodowej można zamówić, pisząc na adres Gospodarstwa Pomocniczego IPN, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa. Do podanej ceny książek należy dodać koszty przesyłki pocztowej. Opłata za przesyłkę będzie pobierana od zamawiającego przy odbiorze. Można je także kupić w siedzibach oddziałów IPN oraz w wybranych księgarniach na terenie całego kraju. Biuletyn i inne publikacje IPN są dostępne na <http://www.poczytaj.pl>

K S I A Ź K I P N

- **„Aparat bezpieczeństwa w Polsce w latach 1950–1952: taktyka, strategia, metody”**
Tom obejmuje:
 - protokoły z porad kierownictwa resortu bezpieczeństwa publicznego ● przemówienia i referaty ministra BP Stanisława Radkiewicza ● rozkaz ministra BP w sprawie „walki z wywiadem państw imperialistycznych” ● pisma kierownictwa resortu dotyczące spraw i zadań bieżących MBP ● analizy i opracowania obrazujące sposoby zwalczania przez aparat bezpieczeństwa niepodległościowego podziemia zbrojnego, a także „wrogiej działalności” na wsi, w przemyśle, szkolnictwie oraz działających oficjalnie organizacjach społeczno-politycznych. (nakład wyczerpany)

- **„Grudzień 1970 w dokumentach MSW”**
Na zbiór składają się:
 - codzienne informacje o sytuacji w kraju, przeznaczone dla członków najwyższego kierownictwa partyjno-państwowego ● notatki z posiedzeń Sztabu MSW w grudniu 1970 r. (niekompletne) i zapisy telekonferencji z komendantami wojewódzkimi MO, organizowanych w grudniu 1970 r. przez komendanta głównego MO gen. Tadeusza Pietrzaka. (nakład wyczerpany)

- **„Przestępstwa sędziów i prokuratorów w Polsce w latach 1944–1956”**
Książka jest rezultatem czterech konferencji naukowych poświęconych różnym aspektom funkcjonowania komunistycznego wymiaru sprawiedliwości w Polsce w latach 1944–1956. Obok opracowań ogólnych dotyczących zarówno polityki karnej państwa, jak i porządku prawnego zamieszczono w niej teksty omawiające konkretne przykłady przestępstw sądowych. Na szczególną uwagę zasługują artykuły o represjach wobec zbrojnego podziemia, duchowieństwa katolickiego oraz chłopów przeciwstawiających się kolektywizacji rolnictwa.

- **„Czerwiec 1976 w materiałach archiwalnych”**
Zawiera 57 krytycznie opracowanych, dotychczas niepublikowanych (z wyjątkiem jednego) dokumentów, które ukazują ówczesne wydarzenia w nowym świetle. Na zbiór – oprócz materiałów wytworzonych przez strukturę MSW – składają się m.in.: ● protokoły i informacje z posiedzeń KW PZPR w Radomiu ● dyrektywy i informacje KC PZPR ● sprawozdania Prokuratury Wojewódzkiej w Radomiu. (cena: 20,00 zł)

- **„Rozpracowanie i likwidacja rzeszowskiego Wydziału WiN w dokumentach UB (1945–1949)”**
To pierwszy krytycznie opracowany wybór dokumentów operacyjnych komunistycznych służb bezpieczeństwa. Tom zawiera: ● 96 dokumentów z teczek obiektowych ● raporty specjalne ● sprawozdania dekadowe, miesięczne i roczne z pracy operacyjnej funkcjonariuszy WUBP w Rzeszowie i PUBP w województwie rzeszowskim. (cena: 20,00 zł)

- **„Rozwiązanie kwestii żydowskiej w dystrykcie Galicja”**
Friedrich (Fritz) Katzmann zapisał jedną z najczarniejszych kart okupacji niemieckiej w Polsce. Był współorganizatorem tak zwanej akcji Reinhard (Einsatz Reinhard). Cel akcji – eksterminacja polskich Żydów – został osiągnięty. W latach 1942–1943 w Generalnej Guberni zginęła większość z niemal 3 mln zamordowanych podczas niemieckiej okupacji polskich Żydów. (cena: 45,00 zł)

- **„Diariusz podręczny 1939–1945”**
Diariusz podręczny archiwisty Adama Kamińskiego stanowi interesujący zapis życia w Krakowie pod okupacją niemiecką. Z kart jego dziennika wylania się poruszający obraz codziennej walki o przetrwanie: zdobywania żywności, mieszkania oraz pracy. Równocześnie jest to znakomite źródło informacji o ówczesnej obyczajowości: życiu rodzinnym, sposobach spędzania czasu wolnego oraz świętowania. Wiele miejsca Kamiński poświęca swej pracy w archiwum oraz walce o ratowanie dokumentów zagrożonych zniszczeniem. Jego dziennik oddaje także grozę okupacji, dokumentuje wojenną eksterminację, wywózki mieszkańców Krakowa do Oświęcimia, likwidację getta krakowskiego, wreszcie pobyt autora w obozie w Płaszowie. Swe zapiski Kamiński uzupełnia wiadomościami z prasy codziennej o aktualnych wydarzeniach wojennych. (cena: 30,00 zł)

- **„Świadectwa stanu wojennego”**
Świadectwa stanu wojennego to 28 relacji wybranych tak, by pokazywały różne formy działalności opozycyjnej i wszystkie regiony Polski. Dostarczają one wielu informacji na temat oporu społecznego, pozwalają poznać motywacje konkretnych osób. Mogą być ciekawą lekturą nie tylko dla historyków, lecz także dla socjologów i psychologów społecznych. Pozwalają skonfrontować własne doświadczenia z przeżyciami innych. (cena: 25,00 zł)

- **„Stan wojenny w dokumentach władz PRL 1980–1983”**
Tom (książka) zawiera 54 publikowane po raz pierwszy dokumenty ukazujące genezę, przebieg oraz skutki stanu wojennego. Ilustrują one najważniejsze przedsięwzięcia podejmowane przez władze PRL przed i po 13 grudnia 1981 r. Pochodzą z zasobów IPN i pięćmstu innych archiwów (m.in. Archiwum Akt Nowych, Archiwum Centralnego Zarządu Zakładów Karnych, Archiwum Ministerstwa Sprawiedliwości) oraz zbiorów prywatnych. (cena: 35,00 zł)

